

BIULETYN IPN

nr 7/2012

# pamięć POL

**Rzeczpospolita Kampinowska 1944**

**Polskie dominium w Afryce**

**Propagandowa funkcja pieniądza w PRL**

**„Trzynastka” – zapomniany bohater**



**Cena 6 zł (5% VAT)**

ISSN 2084-7317



numer indeksu 284521  
nakład 9500 egz.

**Dodatek specjalny:  
plakat Ligi Morskiej i Kolonialnej  
oraz reprodukcje nieemitowanych  
banknotów z okresu PRL**



**3 AKTUALNOŚCI IPN****4 KALENDARIUM****6 Z PIERWSZEJ STRONY****FELIETON****8** Maciej Rosalak,  
Jeszcze się spotkamy, redaktorze...**10** Antoni Dudek, Nowohucka soczewka**Z ARCHIWUM IPN****12** Grzegorz Majchrzak,  
Kwestionariusz na niepokornych**STOPKLATKA****14** Radosław Morawski, Papież w obiektywie безпеki**WYWIAD****17** „Nie było »polskich obozów«”  
rozmowa z prof. Johnem Merrimanem**18** „Inspirują mnie nieopowiedziane historie”  
rozmowa z brytyjską wokalistką Katy Carr**WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU****19** Janusz Wróbel, Polskie dominium w Afryce?**25** Przemysław Wywiół, Rzeczpospolita Kampinowska**29** Adam Kaczyński, Polscy jeńcy wojenni w ZSRS**33** Małgorzata Sokołowska, Wysiedleni po raz drugi**35** Tomasz Gałwiazek, Śmiertelne żniwo**40** Paweł Niziołek, Propagandowa funkcja  
pieniądza w PRL

Fot. ze zbiorów H. Pienkosz



Fot. ze zbiorów A. Kaczyńskiego



Fot. Archiwum Państwowe we Wrocławiu

**Z SZACHOWNICĄ NA SKRZYDŁACH****45** Tomasz Ginter, Kolorowe skrzydła**HEJ, KTO POLAK...****49** Marcin Zwolski, Bohater, o którym mieliśmy  
zapomnieć**PRZEMINĘŁO Z PEERELEM****53** Jerzy Kochanowski, Cinkciarz**STRAŻNICY NARODOWEJ PAMIĘCI****54** Konrad Białecki,  
Miejsca pamięci o rewolucji węgierskiej**PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU****56** Jerzy Eisler, Giuseppe w Warszawie**Z BRONIĄ W RĘKĘ****59** Michał Mackiewicz,  
Cichociemny z „czterdziestką piątką”**ORZEŁ BIAŁY****62** Tomasz Zawistowski, Emblematy galicyjskich  
ochotniczych Straży Ogniwych**MIEJSCA Z HISTORIĄ****65** Tomasz Stańczyk, Zbrodnia w Kisielinie**EDUKACJA HISTORYCZNA****67** Znicz pamięci  
rozmowa z Anną Gruszecką**70 RECENZJE****72 BIBLIOTEKA IPN****PROSTO Z NAJWESELSZEGO BARAKU...****73** Lenin w październiku – a koty w marcu

## Szanowni Czytelnicy!

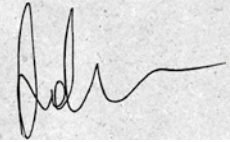
**D**ebaty ekonomiczne, recepty na zażegnanie kryzysu gospodarczego i finansowego zdominowały w ostatnim czasie nagłówki gazet i czołówki programów informacyjnych. W epoce plastikowych kart płatniczych i wirtualnych przelewów powoli gubimy świadomość o istnieniu pozaekonomicznej roli pieniądza. Tymczasem znaczenie dla emitenta miał (czy ma jeszcze?) nie tylko nominal, lecz także treści umieszczone na banknotach i monetach. O propagandowej roli pieniądza na przykładzie PRL przypomina w swoim artykule Paweł Niziołek.

Patrząc na rosnące hale i kominy Centralnego Okręgu Przemysłowego, przemianę Gdyni z rybackiej wioski w jeden z najważniejszych portów na Bałtyku, wielu Polaków uwierzyło, że II Rzeczpospolita ma szansę dołączyć do grona mocarstw światowych. Brakowało tylko zamorskich kolonii. Liga Morska i Kolonialna prowadziła prężną i szeroko zakrojoną akcję, przekonując, że

Polak może i potrafi sprostać wyzwaniom „misji białego człowieka”. Aspiracje te zweryfikowała wojna, a paradoks historii polega na tym, że w latach czterdziestych Polacy założyli sprawnie funkcjonujące wielotysięczne osiedla w Afryce. Nie byli to jednak kolonizatorzy ani plantatorzy, lecz uchodźcy wojenni. Czy pol-

skie kolonie byłyby równie dobrze zorganizowane – tego się nie dowiemy, ale o tym, że było to więcej niż prawdopodobne, przekonuje artykuł Janusza Wróbla o Polakach na Czarnym Łądzie. Niemal w tym samym czasie tysiące kilometrów stamtąd ich rodacy, którym nie udało się wyrwać z rąk Stalina, katorżniczym wysiłkiem kładli tory kolejowe w syberyjskiej tajdze. O losach polskich jeńców w Obozie Północnej Linii Kolejowej przypomina Adam Kaczyński. Im bliżej końca wojny, tym częściej w okupowanym kraju pojawiały się obszary wolne od okupanta, będące przejawem tego, że wbrew radzieckiej i komunistycznej propagandzie Polskie Państwo Podziemne działa. Jednym z nich była tzw. Rzeczpospolita Kampinoska, której granice latem 1944 roku wyznaczyli żołnierze Zgrupowania AK „Kampinos”, idący na pomoc powstańczej Warszawie. Dzieje tego „skrawka wolnej Polski” opisuje Przemysław Wywiół. Wśród żołnierzy „Kampinosu” był cichociemny, por. Tadeusz Gaworski „Lawa”. Jego pistolet, Colt wz. 1911, znajduje się obecnie w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Michał Mackiewicz w dziele bronioznawczym przybliży parametry broni, a także drogę, którą odbyła wraz z „Lawą”. Warto zbierać pamiątki z przeszłości, bo dzięki nim ożywają dzieje minione...

Redaktor naczelny  
Andrzej Brzozowski



## pamięć.pl

Wydawca:  
Instytut Pamięci Narodowej  
– Komisja Ścigania Zbrodni  
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Naukowa:  
dr hab. Grzegorz Berendt,  
dr hab. Krzysztof Szewczyk,  
dr Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski,  
dr Maciej Korcuć, dr Tomasz Łabuszewski,  
dr Agnieszka Łuczak, dr Sławomir Poleszak,  
dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski,  
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),  
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna:  
Dawid Golik, Agnieszka Jaczyńska,  
dr Andrzej Krajewski, Jan Olaszek,  
Kamila Sachnowska, dr Paweł Sasanka,  
Magdalena Semczyszyn,  
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:  
Andrzej Brzozowski  
(redaktor naczelny, tel. (22) 431 83 56;  
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)  
Maciej Foks, Filip Gańczak, Andrzej Sujka

Korekta:  
Magdalena Baj, Anna Kaniewska

Projekt graficzny:  
Krzysztof Findziński, Marcin Koc,  
Sylvia Szafrąńska

Redakcja techniczna:  
Andrzej Broniak

Skład i łamanie:  
Sylvia Szafrąńska, Marcin Koc  
Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,  
Warszawa

Adres do korespondencji:  
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa  
www.ipn.gov.pl

Druk: Drukarnia Edit Sp. z o.o.  
ul. Inwalidów Wojennych 14, 05-400 Otwock

Redakcja nie zwraca materiałów  
niezamówionych i zastrzega sobie prawo  
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

## W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

## GEHENNA „SZMALCÓWKI”

Jesienią 1940 roku na terenie byłej fabryki smalcu w okupowanym Toruniu Niemcy utworzyli obóz dla Polaków. Miał być tylko przystankiem dla wywłaszczanych i wysiedlanych mieszkańców Pomorza. Niektórzy trafili tu jednak nawet na prawie trzy lata. W „Szmalcówce” nie dokonywano egzekucji, nie było komór gazowych, cyklonu B ani zastrzyków z fenolu. Śmiertelne żniwo zbierały za to głód, mróz, choroby zakaźne, przerażające warunki sanitarne i sadyzm niemieckich wartowników. Wśród ponad pięciuset ofiar „Szmalcówki”, które znamy z imienia i nazwiska, prawie dwie trzecie to dzieci. Tomasz Ceran przybliży mało znaną historię tego ponurego obozu.



Fot. ze zbiorów autora

## PRACA PRZYMUSOWA W CZASIE I WOJNY ŚWIATOWEJ

Gdy mowa jest o pracy przymusowej Polaków na rzecz Niemiec, chodzi niemal zawsze o czasy III Rzeszy. Filip Gańczak przypomina, że już w trakcie I wojny światowej niemieckie władze okupacyjne zmuszały naszych rodaków do pracy w rolnictwie, przy budowie dróg czy wycince lasów. Bezrobotnych rekrutowano pod pozorem walki ze „wstrętem do pracy”. Urządzano również dzikie łapanki, których ofiarami padali niekiedy starcy, chorzy i kobiety mające pod opieką nieletnie dzieci. W najgorszej sytuacji byli ci, których wywieziono na roboty na wschód. Śmiertelność była tam bardzo wysoka. Przymusowa praca okazała się nieefektywna. Mocno za to zraziła Polaków do niemieckiego okupanta.

Z okazji Narodowego Święta Niepodległości zapraszamy na II Kiermasz Wydawnictw IPN

9-10 listopada

Centrum Edukacyjne im. Janusza Kurtyki Przystanek Historia  
ul. Marszałkowska 21/25, godz. 10.00-19.00

W ofercie: książki, czasopisma, albumy, nowości,  
komiksy i gry edukacyjne.

Wszystko w atrakcyjnych cenach!



■ We wrześniu pod patronatem IPN odbył się **IV festiwal filmów dokumentalnych „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci”**. Przez trzy dni w Teatrze Miejskim w Gdyni można było oglądać filmy poświęcone historii. Równolegle odbywały się m.in. warsztaty filmowe dla młodzieży.

Złoty Opornik – nagrodę główną festiwalu – odebrał Jędrzej Lipski, współtwórca dokumentu *Okruchy rozbitego dzbana*, którego bohaterem jest Krzysztof Gulbinowicz – opozycjonista, pisarz i drukarz. Jury wyróżniło również filmy *Betar* Roberta Kaczmarka i *Pamięć – NSZ* Iwony Bartólewskiej. Nagrody specjalne przyznano Marii Dłużewskiej za *Degrengoladę w teatrze domowym* i Grzegorzowi Królikiewiczowi za „odwagę wypowiedzi reżyserskiej, nowatorskie formy przekazu historycznego oraz oryginalny język filmowy”. Platynowy Opornik za całokształt twórczości otrzymał Andrzej Trzos-Rastawiecki.

■ Do 26 października w **Muzeum Zamku w Łańcucie** (Budynek Maneżu) gości wystawa „**Polskie Państwo Podziemne na Rzeszowszczyźnie 1939–1944/45**”.

Przybliża ona historię polskiej konspiracji cywilnej i wojskowej w czasie II wojny światowej. Ekspozycja wprowadza w strukturę terytorialną i organizacyjną Polskiego Państwa Podziemnego na Rzeszowszczyźnie. Przedstawione zostały formy i metody walki z okupantem, m.in. akcje sabotażowe i dywersyjne, wywiad i kontrwywiad oraz zagadnienia łączności, aprowizacji i aktywności informacyjno-propagandowej. Omówiono konspiracyjną działalność głównych partii politycznych i delegatów rządu emigracyjnego. Przedstawiono rolę podziemnego sądownictwa, tajnego nauczania i przykłady pomocy niesionej ludności żydowskiej. Przywołano także sylwetki osób zaangażowanych w konspirację: dowódców, żołnierzy, łączniczek, kurierów i kapłanów – którzy po wojnie przez wiele lat byli we własnym kraju traktowani jak obywatele drugiej kategorii. Wystawa ukazuje również przygotowania, przebieg i skutki akcji „Burza” na terenie Podokręgu AK Rzeszów oraz sytuację na Rzeszowszczyźnie po wkroczeniu Armii Czerwonej, w tym sowieckie represje wobec żołnierzy podziemia.



■ Od 12 października do 9 listopada w **siedzibie rzeszowskiego Oddziału IPN** przy ul. Słowackiego 18 oglądać można **wystawę „Cisza przed burzą... ostatnie lato II RP”**.

Lipiec i sierpień 1939 roku to w Polsce czas nerwowego oczekiwania na wybuch wojny – i nadziei, że do konfliktu jednak nie dojdzie. 23 czerwca uczniowie rozpoczęli wakacje. Część Polaków wyjechała na letniska, ale dla większości niewiele się zmieniło. Życie toczyło się niemal zwyczajnie, choć czuło się narastające napięcie.

Wystawa nie pokazuje przygotowań wojskowych ani wielkiej polityki. Ogranicza się do kontekstu społecznego. Nastroj chwili przybliżają artykuły i opinie ówczesnych publicystów, a także zdjęcia wykonywane przez fotoreporterów Agencji Ilustrowanego Kuriera Codziennego. Część tych materiałów ukazała się drukiem już po 1 września 1939 roku, co wynikało z cyklu wydawniczego tygodników. Zdarzało się więc, że czytelnicy mogli przeczytać o przygotowaniach do wojny, która już trwała...



■ Trwa piąta edycja **konkursu „Książka Historyczna Roku”**. O Nagrodę im. Oskara Haleckiego rywalizują autorzy książek opisujących losy Polski i Polaków w XX wieku.

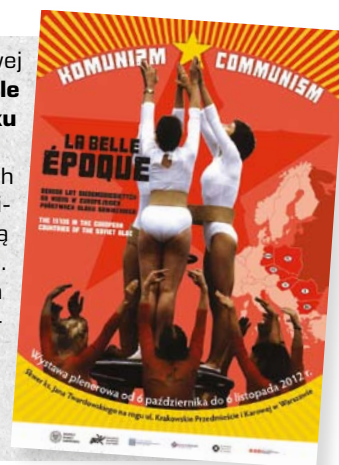
Jury ogłosiło już nominacje. Teraz czytelnicy mogą w drodze głosowania internetowego wybrać spośród nominowanych najlepsze książki w dwóch kategoriach: książka naukowa i popularnonaukowa. Głosowanie odbywa się przez cały październik na stronie [www.ksiazkahistorycznaroku.pl](http://www.ksiazkahistorycznaroku.pl). Swoich zwycięzców wyłoni także jury. Laureaci otrzymają statuetki i nagrody pieniężne o łącznej wartości 60 tys. złotych. Uroczysta gala wręczenia nagród odbędzie się w listopadzie.

Organizatorami konkursu są Instytut Pamięci Narodowej, Telewizja Polska i Polskie Radio.

■ Do 6 listopada na Skwerze im. ks. Jana Twardowskiego w **Warszawie** (róg ul. Karowej i Krakowskiego Przedmieścia) prezentowana jest plenerowa **wystawa „Komunizm – La Belle Époque. Dekada lat siedemdziesiątych XX wieku w europejskich państwach bloku sowieckiego”**.

Tematem ekspozycji jest życie codzienne mieszkańców krajów „demokracji ludowej” w latach siedemdziesiątych, wspomnianych przez wielu jako najlepszy okres w dziejach realnego socjalizmu w Europie Środkowo-Wschodniej. Reżimy komunistyczne cieszyły się już wówczas stabilną pozycją i za kredyty z Zachodu kupowały poparcie społeczne poprzez poprawę warunków życia. Jednak sposób sprawowania rządów przypominał średniowieczny system feudalny. Rolę seniora sprawował sowiecki przywódca Leonid Breżniew, a jego wasalami byli sekretarze partii komunistycznych w zależnych od ZSRR krajach.

Wystawa przygotowana została w językach polskim i angielskim. Powstała we współpracy IPN z Bułgarskim Instytutem Kultury, Czeskim Centrum, Rumuńskim Instytutem Kultury, Instytutem Słowackim oraz Węgierskim Instytutem Kultury.



oprac. Filip Gańczak

## POSTAĆ MIESIĄCA

**21 października 1947:** Stanisław Mikołajczyk, prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego, potajemnie opuścił kraj.

Mikołajczyk, w latach 1943–1944 premier emigracyjnego rządu, to dziś symbol legalnej opozycji wobec komunistycznego zniewolenia. W obliczu zwycięstwa ZSRR w II wojnie światowej pogodził się z utratą wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Wierzył jednak, że w Polsce uda się ocalić demokrację i choć część suwerenności. Latem 1945 roku wrócił do kraju i wszedł do zdominowanego przez komunistów Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Objął funkcje wicepremiera i ministra rolnictwa, a po śmierci Wincentego Witosa także przywództwo w PSL, które cieszyło się wówczas ogromnym poparciem społecznym. Wielu widziało w nim jedyną realną alternatywę wobec komunistów z Polskiej Partii Robotniczej. Niezależna partia ludowa była jednak nie do przyjęcia dla PPR i Stalina. Na porządku dziennym były aresztowania i zabójstwa działaczy PSL. W styczniu 1947 roku, w atmosferze terroru, odbyły się wybory do Sejmu. Wyniki sfałszowano, a w części okręgów listy PSL w ogóle unieważniono. Oficjalnie partia Mikołajczyka otrzymała jedynie 10 proc. głosów.

Likwidacja PSL była już tylko kwestią czasu. Jesienią 1947 roku Mikołajczyk otrzymał poufne informacje, że na najbliższej sesji Sejmu ma zostać pozbawiony immunitetu poselskiego i aresztowany. Ambasada USA zaoferowała mu pomoc w ucieczce z Polski. Został ukryty w ciężarówce i przewieziony do Gdyni. Na pokładzie brytyjskiego statku „Baltavia” dotarł do Londynu. Komunistycznym władzom ucieczka Mikołajczyka była na rękę. Propaganda zarzuciła przywódcy ludowców tchórzostwo i pracę na rzecz obcych mocarstw. Uchwałą Rady Ministrów został pozbawiony obywatelstwa. Zmarł na emigracji w USA. W 2000 roku prochy Mikołajczyka zostały sprowadzone do Polski i złożone na Cmentarzu Zasłużonych Wielkopolan w Poznaniu. ■



Fot. AIPN

► Stanisław Mikołajczyk (1901–1966)

**2 października 1957:** Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przesądził o zamknięciu tygodnika „Po prostu”.

Założone dziesięć lat wcześniej czasopismo zyskało ogromną popularność w okresie gomułkowskiej odwilży, stając się nieformalnym organem reformatorskiego skrzydła PZPR.

Na łamach „Po prostu” – przedstawiającego się jako „tygodnik studentów i młodej inteligencji” – publikowali m.in. Marek Hłasko, Agnieszka Osiecka, ale także Jerzy Urban, późniejszy rzecznik rządu PRL. W październiku 1956 roku „Po prostu” poparło kandydaturę Władysława Gomułka na I sekretarza KC PZPR. Eligiusz Lasota, naczelny tygodnika, był zresztą posłem tej partii. Kierownictwo redakcji głosiło poparcie dla socjalizmu, opowiadało się jednak za jego demokratyzacją. Dla komunistycznych władz było to nie do zaakceptowania. Gomułka postawił warunek: „Albo »Po prostu« będzie mieściło się w linii partii [...], albo nie będzie w ogóle wychodzić”.

Niepokorne pismo zostało oskarżone o to, że zeszło „na pozycje jałowej negacji”, „szerzyło niewiarę w realność budownictwa socjalizmu”, a nawet „głosiło koncepcje burżuazyjne”. „Nie pozwolimy na to, aby nadal pluć na socjalizm” – tłumaczył Gomułka. Na wieść o zamknięciu „Po prostu” wybuchły w Warszawie kilkudniowe zamieszki (tzw. Warszawski Październik '57). Wiece w obronie pisma zostały brutalnie spacyfikowane przez siły porządkowe, w tym ZOMO. Posłuszna partii „Trybuna Ludu” pisała o „warcholskich wybrykach” i „awanturach”. Lasota został wyrzucony z PZPR i na pewien czas odsunięty od pracy dziennikarskiej. Tak skończyła się gomułkowska odwilż. Władze uczyniły zwrot w kierunku antyliberalnym i antyinteligentnym. ■



**5 października 1937:** Prof. Włodzimierz Antoniewicz, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, zdecydował o utworzeniu na uczelni tzw. getta ławkowego. Podobnie postąpili w tym czasie rektorzy innych szkół wyższych w Polsce. Miejsca w audytoriach UW – noszącego wówczas imię Józefa Piłsudskiego – zostały podzielone na parzyste, przeznaczone dla studentów Polaków, nieparzyste – dla Żydów i nienumerowane, które mógł zajmować każdy. Studenci żydowscy otrzymali w indeksach podłużne pięcypięćki z fioletowym napisem „Miejsce w ławkach nieparzystych”. Była to oczywista forma segregacji narodowo-wyznaniowej. Antoniewicz tłumaczył co prawda, że celem

jego zarządzenia „było zapobieżenie dotychczasowym niepokojom, wpływającym z niemal powszechnego pragnienia studentów Polaków do siedzenia oddzielnie od studentów Żydów”. Jednak ustępstwo uniwersyteckich władz tylko zradycalizowało żądania młodzieży narodowej, zainspirowanej antysemitką prawodawstwem III Rzeszy. Wielu studentów wyznania mojżeszowego bojkotowało zarządzenie rektora i wzięło udział w akcjach protestacyjnych. Poparli ich niektórzy profesowie, np. Tadeusz Kotarbiński i Mieczysław Michałowicz. Monika Natkowska-Taras z Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie ocenia, że antysemitka atmosfera na uczelniach skłoniła wówczas wielu Żydów do rezygnacji ze studiów lub studiowania za granicą. ■

**5 października 1982:** We Wrocławiu aresztowany został Władysław Frasyniuk, jeden z liderów podziemnej Solidarności.

Frasyniuk (ur. 1954), absolwent technikum samochodowego, to legendarna postać demokratycznej opozycji lat osiemdziesiątych. Od czerwca 1981 roku kierował zarządem Regionu Dolny Śląsk NSZZ „Solidarność”. Po wprowadzeniu 13 grudnia stanu wojennego zdołał uniknąć internowania i przez niemal rok skutecznie się ukrywał. Wszedł w skład Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej podziemnej Solidarności i współorganizował społeczny opór. „Władza w naszym systemie państwowym nie pochodzi z wyboru, a więc jest władzą nieprawomocną” – pisał w liście otwartym do członków Solidarności.

Sąd Wojewódzki we Wrocławiu skazał go na sześć lat pozbawienia wolności. Frasyniuk więziony był – z krótkimi przerwami – do września 1986 roku, kiedy to objęła go amnestia. W 1989 roku wziął udział w obradach Okrągłego Stołu. Później był m.in. posłem na Sejm i przewodniczącym Unii Wolności. ■



► Władysław Frasyniuk  
(w środku w górnym rzędzie), 1984 rok

**14 października 1942:** Dzień ten przyjęło się uważać za oficjalną datę powołania Ukraińskiej Powstańczej Armii. W rzeczywistości jej pierwsze oddziały powstały na początku 1943 roku.

UPA stanowiła zbrojne ramię Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów Stepana Bandery (OUN-B), stąd jej członków nazywano często „banderowcami”. Wyśuwała program walki o niepodległą i zjednoczoną Ukrainę. Dla osiągnięcia tego celu uważała jednak za usprawiedliwione sięgnięcie po najbardziej brutalne metody. OUN-B i UPA odpowiadają m.in. za ludobójcze czystki etniczne, jakie w czasie II wojny światowej dotknęły polską ludność Wołynia i Galicji Wschodniej. W sumie w latach 1943–1947 z rąk lub inspiracji OUN-B i UPA zginęło – według różnych źródeł – ok. 100 tys. lub nawet 120–130 tys. Polaków. Ofiarami UPA padali również Ukraińcy, którzy nieśli pomoc polskim sąsiadom.



► Oddział UPA

Fot. AIPN

Za swojego najgroźniejszego wroga „banderowcy” uważali jednak ZSRR. Sporadycznie podejmowali też walki z niemieckimi siłami policyjnymi, nie stroniąc od doraźnej lokalnej współpracy z Niemcami. W szczytowym okresie rozwoju – w pierwszej połowie 1944 roku – UPA liczyła ok. 30 tys. partyzantów, w tym wielu dezertersów z tworzonej przez Niemców policji ukraińskiej. Dowódcą Ukraińskiej Powstańczej Armii był w tym czasie Roman Szuchewycz.

Na ziemiach powojennej Polski UPA została rozbita w 1947 roku w wyniku operacji „Wisła” i późniejszych obław Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Na terenach włączonych do ZSRR krwawą walkę z „banderowcami” podjął NKWD, wzmocniony milicją pomocniczą (IB) i pododdziałami Armii Czerwonej. Dotkliwe represje spadły wówczas także na ukraińską ludność cywilną. Pojedyncze oddziały UPA utrzymały się do połowy lat pięćdziesiątych. Sam Bandera przebywał po wojnie na emigracji. W 1959 roku został zamordowany w Monachium przez agenta sowieckiego KGB. ■

**26 października 1952:** Odbły się sfałszowane, całkowicie niedemokratyczne wybory do Sejmu. Potwierdziły one hegemonię komunistów.

Kandydatów na posłów było dokładnie tyle, ile mandatów do obsadzenia. Listy zgłosił jedynie Front Narodowy, zdominowany przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Głosowanie odbywało się w atmosferze zastraszenia społeczeństwa i natarczywej propagandy, do której władze zaprzęły m.in. czołowych literatów. Państwowa Komisja Wyborcza podała, że do urn stawiło się 95 proc. uprawnionych, a kandydaci Frontu Narodowego zdobyli 99,8 proc. ważnych głosów. PZPR uzyskała w Sejmie 273 mandaty, co dawało jej absolutną większość. Resztę podzielili między siebie uzależnione od komunistów Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Demokratyczne i kandydaci formalnie bezpartyjni.

Wyniki zostały jednak sfałszowane przez specjalną grupę funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, kierowaną przez płk. Anatola Fejgina i płk. Michała Taboryskiego. Józef Światło, zastępca Fejgina, wspominał po ucieczce na Zachód, że „przed wyborami gotowe były wszystkie protokoły okręgowych komisji wyborczych z pieczęciami i podpisami. Trzeba było tylko wpisać cyfrę”. ■



► „Wybierano” nawet w szpitalach

Fot. PAP

# Z PIERWSZEJ STRONY

Wychodzi raz na tydzien. W Polsce: Numer petytowy N6 2- kwartalnie 25 grzyw. W Polsce: Numer petytowy N6 2- kwartalnie 25 grzyw. W Polsce: Numer petytowy N6 2- kwartalnie 25 grzyw. W Polsce: Numer petytowy N6 2- kwartalnie 25 grzyw.



## 17 pazdziernika 1929 roku

„W czasie wyborów do najwyższej reprezentacji państwa musimy się dokładnie zastanowić nad naszą sytuacją i nad skutkami, jakie by powstały, gdybyśmy to lub owo stanowisko przy wyborach zajęli. Polska mniejszość w Czechosłowacji jest mała. Tylko wtedy, jeżeli wszystkie warstwy polskiej ludności jedno stanowisko zajmą i razem do wyborów staną, mogą liczyć na to, że otrzymają zastępstwo w Zgromadzeniu Narodowym” – pisała „Gazeta Kresowa” nr 44 z 17 października 1929 roku. Dziennik, wydawany we Frysztacie, niewielkim mieście na należącym wówczas do Czechosłowacji Śląsku Cieszyńskim, gdzie większość mieszkańców stanowili Polacy, w ten właśnie sposób wzywał rodaków do utrzymania wspólnego frontu. Było to jak najbardziej uzasadnione, ponieważ w tym czasie czeskie partie polityczne próbowały rozbić polskie stronnictwa, posługując się nawet szykanami i groźbami. „Gazeta”, ostrzegając także przed destrukcyjną działalnością komunistów, podkreślała: „Odwrotnie mamy zaś przykłady, że ludność polska bez względu na przynależność partyjną w czasach najgorszych nawzajem się wspierała i nawzajem sobie pomagała, bez względu na to, kto do jakiej partii należał. Zresztą te różnice partyjne są u nas bardziej sztuczne niż naturalne. Przecież wszyscy, cała ludność nasza, jest ludem pracującym, a gniecie nas wszystkich jedna i ta sama dola”. A jaki wspólny cel przyświecał mniejszości polskiej w Czechosłowacji? „Program naszych zastępców jest jasny, oto trzeba nadal dołożyć sił dla zyskania dla naszego ludu pełnych praw, trzeba poczynić wszystko, ażeby dola ludu i ogólna, i specjalna się coraz bardziej poprawiała” – lakonicznie informował dziennik. Ostatecznie Polacy wystawili wspólną, ponadpartijną listę wyborczą, o czym prasa w Polsce rozpisywała się z nieukrywaniem uznaniem i swego rodzaju... zazdrością.



Chłopi na rynku w Gortlicz

## 13 pazdziernika 1939 roku

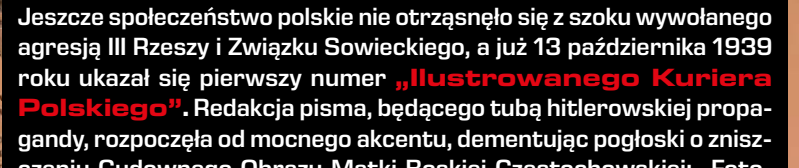
Jeszcze społeczeństwo polskie nie otrząsnęło się z szoku wywołanego agresją III Rzeszy i Związku Sowieckiego, a już 13 października 1939 roku ukazał się pierwszy numer „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”. Redakcja pisma, będącego tubą hitlerowskiej propagandy, rozpoczęła od mocnego akcentu, dementując pogłoski o zniszczeniu Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej: „Fotografie nas dowodzą, że nabożeństwa na Jasnej Górze odbywają się nadal bez przeszkód. Matka Boska Częstochowska nadal będzie nam udzielała Swego błogosławieństwa i Swjej pomocy, której dziś szczególnie potrzebujemy”. Jednocześnie gazeta pochylili się nad ciężkim losem polskich robotników i chłopów, dotąd jakoby wykorzystywanych przez Żydów oraz „cienką warstwę rządzącą”. W artykule *Mieszkania dla robotników* pisano: „Przyczyną nędzy mieszkaniowej robotników polskich są łatwo dostrzegalne. Pozbawieni skrupułów przedsiębiorcy żydowscy, mający na oku jedynie wzbogacenie się w przeciągu możliwie krótkiego czasu, choćby nawet kosztem życia i zdrowia robotników, obniżyli płacę do minimum. Warunki, w jakich żyć i mieszkać muszą robotnicy polscy, nic przedsiębiorców nie obchodzą, ponieważ dosyć jest tanich sił roboczych ze względu na panujące wszędzie bezrobocie”. Z kolei w tekście *Nędza chłopów polskiego* zanotowano: „Państwo polskie żyło z twardej pracy rąk pozbawionych praw i żyjących w największym ucisku chłopów, którzy, stanowiąc 70 proc. ogólnej ludności Polski, byli najliczniejszą grupą społeczną. Chłopi żyli nie tylko Polskę. Produkty ich ziemi i ich hodowli bydła stanowiły większą część polskiego wywozu”. I dalej: „Dlatego najważniejszym zadaniem będzie w przyszłości sprawiedliwe wynagrodzenie pracy wiejskiej i stały poziom cen, podniesienie stopy życiowej ludności wiejskiej i uwolnienie jej od wyzyskiwaczy żydowskich”.

**Nędza chłopów polskiego**  
Państwo polskie żyło z twardej pracy rąk pozbawionych praw i żyjących w największym ucisku chłopów, którzy, stanowiąc 70 proc. ogólnej ludności Polski, byli najliczniejszą grupą społeczną. Chłopi żyli nie tylko Polskę. Produkty ich ziemi i ich hodowli bydła stanowiły większą część polskiego wywozu. I dalej: „Dlatego najważniejszym zadaniem będzie w przyszłości sprawiedliwe wynagrodzenie pracy wiejskiej i stały poziom cen, podniesienie stopy życiowej ludności wiejskiej i uwolnienie jej od wyzyskiwaczy żydowskich”.

**„Mieszkania dla robotników”**  
Przyczyną nędzy mieszkaniowej robotników polskich są łatwo dostrzegalne. Pozbawieni skrupułów przedsiębiorcy żydowscy, mający na oku jedynie wzbogacenie się w przeciągu możliwie krótkiego czasu, choćby nawet kosztem życia i zdrowia robotników, obniżyli płacę do minimum. Warunki, w jakich żyć i mieszkać muszą robotnicy polscy, nic przedsiębiorców nie obchodzą, ponieważ dosyć jest tanich sił roboczych ze względu na panujące wszędzie bezrobocie”. Z kolei w tekście *Nędza chłopów polskiego* zanotowano: „Państwo polskie żyło z twardej pracy rąk pozbawionych praw i żyjących w największym ucisku chłopów, którzy, stanowiąc 70 proc. ogólnej ludności Polski, byli najliczniejszą grupą społeczną. Chłopi żyli nie tylko Polskę. Produkty ich ziemi i ich hodowli bydła stanowiły większą część polskiego wywozu”. I dalej: „Dlatego najważniejszym zadaniem będzie w przyszłości sprawiedliwe wynagrodzenie pracy wiejskiej i stały poziom cen, podniesienie stopy życiowej ludności wiejskiej i uwolnienie jej od wyzyskiwaczy żydowskich”.



Dziewczyno wiejska na rynku w Krakowie



Praca, płaca i dobry dach nad głową

Lud odzyskał swoich przywódców — przywódcy odzyskali lud.

W niedziele przeznaczeni Bohate

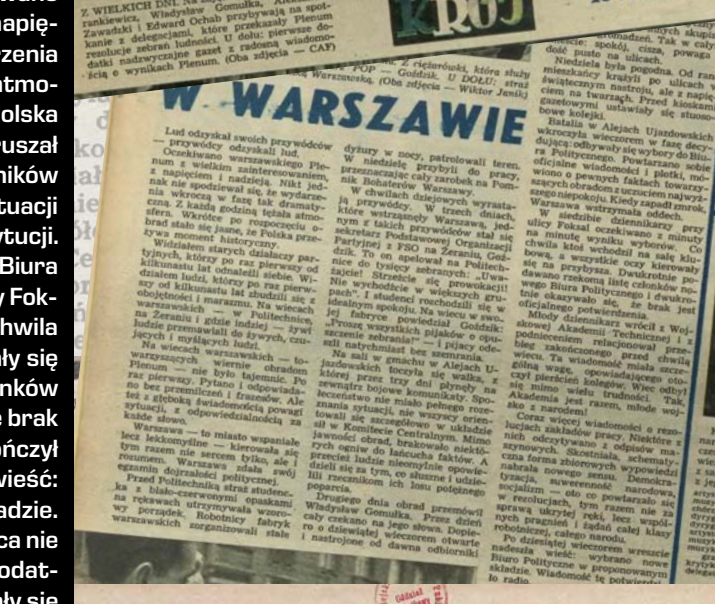


pamięć.pl

### 28 października 1956 roku

Przełomowe w powojennych dziejach Polski obrady VIII Plenum KC PZPR z 19–21 października 1956 roku odbiły się szerokim echem w ówczesnych mass mediach. Prasa i radio przekazywały informacje na temat zmieniającej się sytuacji na szczytach władzy. Tymczasem redakcja „Przekroju” postanowiła przybliżyć czytelnikom reakcje warszawian na te wydarzenia. W numerze 603 z 28 października 1956 roku zamieszczono reportaż Olgierda Budrewicza, który w barwny sposób opisał atmosferę panującą w tych dniach na stołecznych ulicach: „Oczekiwano warszawskiego Plenum z wielkim zainteresowaniem, z napięciem i nadzieją. Nikt jednak nie spodziewał się, że wydarzenia wkroczą w fazę tak dramatyczną. Z każdą godziną tężeła atmosfera. Wkrótce po rozpoczęciu obrad stało się jasne, że Polska przeżywa moment historyczny”. Budrewicz sprawnie poruszał się po mapie Warszawy, a to informując o wiecu robotników w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu, a to o sytuacji panującej przed Politechniką Warszawską i na pl. Konstytucyjnej. Opisał także moment wyczekiwania na wyniki wyborów do Biura Politycznego KC PZPR: „W siedzibie dziennikarzy przy ulicy Foksał oczekiwano z minuty na minutę wyniku wyborów. Co chwila ktoś wchodził na salę klubową, a wszystkie oczy kierowały się na przybysza. Dwukrotnie podawano rzekomą listę członków nowego Biura Politycznego i dwukrotnie okazywało się, że brak jest oficjalnego potwierdzenia”. Swój tekst Budrewicz kończył słowami: „Po dziesiątej wieczorem wreszcie nadeszła wieść: wybrano nowe Biuro Polityczne w proponowanym składzie. Wiadomość tę potwierdziło radio. Zbliżała się północ. Stolica nie spała. Ulicami biegli studenci, sprzedając nadzwyczajne dodatki. Kolporterzy oblegani byli przez przechodniów. Otwierały się drzwi i okna. Zatrzymywały się tramwaje i autobusy. Niektórzy płacili pięć złotych za dodatek, inni — tych była większość — ani grosza. W krótkim czasie rozeszło się sto tysięcy egzemplarzy dodatku. W nocy, w Warszawie”.

W niedziele przeznaczeni Bohate



### 28 października—3 listopada 1988 roku

„W 70-lecie »rewolucji cieszyńskiej«, która ziściła marzenia całych pokoleń nadolziańskich działaczy narodowych, odbyły się w Cieszynie patriotyczne uroczystości” — donosi „Głos Ziemi Cieszyńskiej” nr 43 z 28 października—3 listopada 1988 roku. Na tę okoliczność redakcja tygodnika pokrótce przybliżyła czytelnikom dzieje Śląska Cieszyńskiego sprzed odzyskania przez Polskę niepodległości, kiedy to 19 października 1918 roku utworzono Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego, a grupa polskich oficerów opanowała austriacki garnizon wojskowy w Cieszynie. Podczas uroczystości przed gmachem Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika przy pl. Wolności odsłonięto „pomnik wyobrażający symbol polskości — orła. Ptak w w charakterystyczny sposób rozpostarte skrzydła: albo wzbija się do lotu, albo łąduje. Czas i miejsce, w którym go umieszczono, przemawiają raczej za tę drugą interpretacją. Pomnik stanął w miejscu upamiętnionym. To tu właśnie komendant austriackiego garnizonu, płk Johan Berndt, zdał przed 70 laty władzę grupie polskich spiskowców. Nie można więc było wybrać lepszego miejsca”. Na cokole pomnika, którego inicjatorami budowy byli działacze Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, zamieszczono słowa: *Tym, którzy w 1918 roku, po sześciu wiekach oderwania od Macierzy, przywrócili ziemię cieszyńską Polsce.* Redakcja „Głosu” podkreślała: „Uroczystość odsłonięcia pomnika miała podniosły, patriotyczny charakter. Przybyła czołwaga władz wojewódzkich z posłami Stanisławem Habczykiem i Bolesławem Doktorem, władze miejskie, mieszkańcy”. Ponadto na obchody siedemdziesiątej rocznicy przejęcia przez Radę Narodową władzy na obszarze Śląska Cieszyńskiego złożyły się: uroczysta sesja Miejskiej Rady Narodowej w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Cieszynie oraz złożenie na miejscowym cmentarzu komunalnym urny z prochami Jerzego Szczurka, jednego z oficerów, którzy dokonali zamachu wojskowego i przekazali władzę Narodowej.

### ZIEMI CIESZYŃSKIEJ



dr Mariusz Żuławnik – nacelnik Wydziału Informacji i Sprawzeń BIUd IPN



# Jeszcze się spotkamy, redaktorze...

Maciej Rosalak

Weryfikacja dokonana w stanie wojennym przyniosła mi największe upokorzenie i przygnębienie, jakie przeżyłem w zawodzie dziennikarza.

**E**sbecy przyjechali po mnie raniem w Trzech Króli. Na choince paliły się świeczki, a pod drzewkiem bawiła się moja córeczka. Funkcjonariusze uśmiechali się grzecznie, czekając, aż się ubiorę. Jeden z nich miał uśmiech wprost promienny; w jego złotych zębach odbijały się choinkowe światełka i Karolinka była zachwycona. Potem zśliśmy w słoneczny, mroźny dzień zimowy do ich samochodu stojącego pod osiedlowym śmietnikiem na Ursynowie. Nie skuli mnie, nie popychali – i tylko może przypadkiem tak się złożyło, że oni byli po bokach i trochę z tyłu.

Sąsiad wracał z pustym kubłem od śmietnika i zdziwiony patrzył na tę formację. „Cześć, Andrzej!” „Cześć, Maciek!” – i poszedł dalej. Nie zatrzymał się, jak zwykle, na pogawędkę. Nie spodziewałem się wprawdzie żadnych tortur ani osadzenia w więzieniu, a jednak to w tym momencie odczułem różnicę między człowiekiem mającym swobodę wyboru i jej pozbawionym.

Na korytarzach gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy ul. Rakowieckiej zaskoczył mnie ruch jak na Marszałkowskiej. Wśród ludzi w mundurach i po cywilnemu moją uwagę zwrócili szczególnie ci, którzy zapewne tego sobie nie życzyli. Byli to młodzi mężczyźni ubrani tak zwyczajnie, jak ubierali się wtedy początkujący pracownicy umysłowi lub fizyczni czy nawet studenci. Futrzane czapy, kurtki lub sak-palta, dzinsy. Pomyślałem: szpicle.

W pokoiku, do którego wprowadzili mnie konwojenci, siedział oficer Służby Bezpieczeństwa, którego ja i wszyscy moi koledzy poznaliśmy dwa, trzy tygodnie wcześniej podczas weryfikacji w Wydawnictwie „Epoka”. On także był bardzo uprzejmy. Zaproponował zdjęcie marynarki i sam zdjął swoją. I tak, niby przypadkiem, zobaczyłem skórzany pas biegnący mu przez ramię i plecy. Do pasa przytroczona była kabura, z której wyglądała kolba rewolweru, krótkolufowego bębenkowca. Niby przypadkiem posadzony zostałem na wprost okna, przez które niemiłosiernie świeciło słońce, a kiedy odwracałem oczy, wzrok cieszyły trofea – plakaty i kalendarze Solidarności z obrabowanej siedziby Regionu Mazowsze.

Rozmówca wytworzył nastrój. Przystąpił nieco okno („o, widzę, że pan redaktor oczki mruży”), poczęstował lurą udającą herbatę i przedstawił się jako Arek Iwanicki, kapitan. A potem w ciągu półtorej godziny tak prowadził rozmowę, jakby chciał zdawać na studium dziennikarskie i zostać redaktorem gazety. Ile znaków wchodzi na stronę maszynopisu, a ile stron na złamaną kolumnę, co to jest *petit*, a co *colonel*, co należy do obowiązków sekretarza redakcji, a co do kierownika działu oraz naczelnego i jego zastępców. Opowiedziałem mu o całym (skądinąd naprawdę zajmującym, a dziś, w epoce komputerów całkiem zapomnianym) procesie produkcji w drukarni, od składu na li-

notypach, przez łamanie, kalander, po stereotypię i wreszcie rotację.

Czerwone światełko zapaliło mi się w mózgu przy pytaniach o tematykę podejmowaną przez poszczególnych dziennikarzy. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, do czego dąży, a i on chyba zdawał sobie sprawę z tego, że sobie zdaje sprawę. Wyjął więc notatnik i odczytał z namaszczeniem swoje o mnie spostrzeżenia z rozmowy przed komisją weryfikacyjną. Sprowadzały się one mniej więcej do tego, że jestem „blondynem, karnacji jasnej, opanowanym, odpowiadającym zdecydowanie i bez lęku”. Czytaj: nie-Żyd, nie nasz, może być nasz.

I wreszcie: „Chcielibyśmy zaproponować panu redaktorowi, aby został naszym konsultantem do spraw Stronnictwa Demokratycznego”. Zobaczył chyba grymas na mojej twarzy, bo dodał szybko: „Będziemy się spotykać w kawiarni albo w prywatnych mieszkaniach – nikt pana nie będzie podejrzewał...”. „Wie pan co? – odpowiedziałem. – Chodzi o to, że sam siebie będę podejrzewał!”

Na to zmienił ton i z groźbą w głosie rzekł: „No to zobaczymy, jak pan na tym wyjdzie. Jeszcze się spotkamy, redaktorze...”

„Jeszcze się spotkamy, redaktorze...” – dokładnie tak samo powiedział tydzień wcześniej po rozmowie weryfikacyjnej w „Epoce”. Kiedy to usłyszałem, natychmiast – choć nikt mnie tego nie uczył – poszedłem specjalnie do redaktora naczelnego, który sam nie krył związku z resortem i miał w szufladzie pistolet, i powiedziałem mu o tej niepokojącej dla mnie zapowiedzi. Do dziś myślę, że naczelny miał dwie dusze, które walczyły ze sobą o dominację nad nim. Tym razem zwyciężyła ta jaśniejsza, bo cicho, żeby nikt nie usłyszał, udzielił mi rady: „Jak nie mają na ciebie

/obecnie internowana - wnioski zostaną sformułowane w terminie późniejszym/

/komisja proponuje rozwiązanie umowy na jej własną prośbę, wskutek wygaśnięcia terminu urlopu wychowawczego/

Ja \_\_\_\_\_, zrodzony \_\_\_\_\_, syn \_\_\_\_\_  
działania \_\_\_\_\_, z Służbą Wywiadowczą PRL w czasie dobrowolnie do współ-  
nicą. Moje współdziałanie polegające na \_\_\_\_\_ będzie na: \_\_\_\_\_ mego pobytu za gra-

WNIOSKI KOMISJI WERYFIKACYJNYCH DZIAŁAJĄCYCH  
PRZY KOMORKACH STATUTOWYCH PIONU ARTYSTYCZNEGO

haka, to mogą cię w d... pocałować!”  
Na wszelki wypadek o spodziewanej wizycie SB powiedziałem jeszcze kilku osobom, więc kiedy pan kapitan chciał mojego podpisu na oświadczeniu, że zachowam rozmowę w MSW w tajemnicy, powiedziałem mu, że wie o niej przynajmniej dziesięciu kolegów w redakcji, a żona po ich wyjściu powiedziała kolejnym dziesięciu sąsiadom. Stropił się nieco, ale zdołał mi wetknąć kartkę ze swoim telefonem: „Jak pan redaktor zmieni zdanie, to niech zadzwoni...”.  
Odruchowo wziąłem karteczkę. Kiedy wyjąłem ją po godzinie, szczegółowo zdając relację żonie, powiedziała: „Dawaj ją natychmiast!”. Od razu ją spaliła, a ja byłem jej wdzięczny, bo poczułem ulgę i opadło ze mnie jakieś takie dokuczliwe przygnębienie, niechęć do życia i obrzydzenie, które narastało we mnie od niedzieli 13 grudnia. Wiele nieszczęść spadło wtedy na polskie rodziny i nie zawsze mogły temu sprostać. Ale liczne małżeństwa odżyły w chwili próby.  
„Epoka” wydawała w Warszawie „Kurier Polski”, „Tygodnik Demokratyczny”, „Rzemieślnika”, a w Bydgoszczy „Ilustrowany Kurier Polski”. Dwa pierwsze tytuły należały do ścisłej czołówki pism patrzących władzy na ręce, popierających solidarnościowe przemiany i walczących z cenzurą. Warto przypomnieć, że po wprowadzeniu 13 grudnia 1981 roku stanu wojennego właśnie w „Epoce” dokonano pierwszej weryfikacji dziennikarzy i była ona najbardziej dotkliwa. W „Kurierz...” do 20 grudnia wyrzucono czternastu, a zawieszono siedmiu dziennikarzy,

tuż przed końcem roku zaś w „Tygodniku...” – dziewięciu. Trzecią część zatrudnionych.  
W składzie komisji weryfikacyjnej byli: prezes „Epoki” (zarazem wiceprzewodniczący Centralnego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego), szef pionu prasowego SD, administrator i jednocześnie od 13 grudnia „komisarz” wydawnictwa, wicedyrektor cenzury, funkcjonariusz SB, pułkownik z Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, pracownik wydziału prasy Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i protokolant. Lista wyrzuconych była z góry przygotowana przez towarzyszy z PZPR i SB. Jak się dowiedziałem znacznie później, Stronnictwo wybroniło tylko dwóch dziennikarzy: Staszka Krupę (byłego żołnierza batalionu „Zośka” i autora drukowanego przez „Kurierz...” w odcinkach „X Pawilonu”, zawierającego opis terrorkomunistycznego, który rozwścieczył towarzyszy) – oraz mnie. Wcale nie byłem i nie jestem za to wdzięczny.  
W końcu stycznia 1982 roku („Tygodnik...” nadal był wtedy zawieszony) naczelny zlecił mi napisanie samokrytyki: co złego uczyniło pismo w ciągu szesnastu miesięcy Solidarności. Odparłem, żeby pisał ten, co się poczuwa do błędów, bo ja się nie poczuwam. Usłyszałem, że mogę już szukać pracy gdzie indziej; tym razem ciemna dusza naczelnego wzięła górę. Tak się złożyło, że

tego samego dnia doznałem skomplikowanego złamania nogi. Wcale nie zawiniło ZOMO, tylko brak solidnych butów zimowych, których nigdzie wtedy nie można było kupić. Trzy miesiące miałem nogę w gipsie oraz święty spokój. Upokorzenie i przygnębienie – to uczucia, które jak jakaś czarna sadza, dusząca i zalepiająca oczy, spadły na społeczeństwo polskie 13 grudnia 1981 roku. Tyle razy i przy tylu okazjach rodacy dzielili się już swoimi przeżyciami po wprowadzeniu stanu wojennego, że daruję sobie wielokrotnie powtarzany „szok” i zaskoczenie z powodu wozów pancernych na ulicach, głuchych telefonów i pozabawienia dzieci telewizyjnego Teleranka.  
Na pewno skrupulatnego zapisu i utrwalenia wymagają świadectwa tych, którzy przeżyli naprawdę dramatyczne chwile nocnych aresztowań, ucieczek, ukrywania się. Zwłaszcza prostych robotników z zakładowych komisji Solidarności, szczególnie poniewieranych, o których – w przeciwieństwie do znanych postaci – nie upominali się zachodni dziennikarze i politycy. To, o czym piszę, ma się nijak do tragedii górników z kopalni „Wujek”. To tylko relacja jednego z ówczesnych dziennikarzy, którzy mieli przed ośmioosobową komisją udowodnić, że nie są wielbłądem, a następnie zostać jeszcze bardziej poniżeni w MSW przy Rakowieckiej propozycją zostania kapusiem. ❄

/komisja proponuje rozwiązanie umowy o pracę na pół etatu

/komisja proponuje przeniesienie do pracy w komórce statystycznej w Biurze Planowania i Emisji/

/ostateczny wniosek zostawiony sformułowany po rozmowie - w/w przebywa za granicą/

Maciej Rosalak – redaktor dodatków historycznych „Rzeczpospolitej”; w grudniu 1981 roku sekretarz redakcji „Tygodnika Demokratycznego”, działacz SD i członek NSZZ „Solidarność”

# Nowohucka soczewka

Antoni Dudek

„Trzeba powiedzieć, że zagadnienie budowy Nowej Huty przerastało moje siły i dlatego poszedłem po linii najmniejszego oporu i zacząłem komenderować nie tylko aparatem Komitetu i organizacjami partyjnymi, ale i administracją. [...] Widzę, że źle pracowałem. Mało przychodziłem do Komitetu Wojewódzkiego po rady, za dużo żyłem sprawami administracyjnymi i różnymi konferencjami [...]. Chciałbym, aby towarzysze nie odrzucili mnie, lecz otoczyli opieką i pozwolili w dalszym ciągu pracować na Nowej Hucie za robotnika, bo z Hutą bardzo mocno się związałem”. Taką wzorową samokrytykę, utrzymaną w duchu epoki, złożył w październiku 1950 roku tow. Szczygieł, który dotąd kierował nowohucką organizacją PZPR.

**W** budowanej od zera podkrakowskiej Nowej Hucie wszystko miało być wzorowe i wyglądać tak, jak w dokumentalnym debiucie filmowym Andrzeja Munka *Kierunek – Nowa Huta!* z 1951 roku. Film ten pokazywał roześmianych chłopców i dziewczęta, którzy zgodnie pracowali na budowie, uczyli się w szkołach wieczorowych, a później spacerowali po szerokich, jasno oświetlonych ulicach, między rzędami lśniących elewacji nowych budynków. Nic nie zakłócało socrealistycznej idylli, zresztą opiewanej wówczas w różnych artykułach, poematach i powieściach. Dlatego tow. Szczygieł, który zawiódł partię, nie mógł pozostać w Nowej Hucie, nawet jako zwykły robotnik. Skierowano go do pracy partyjnej w Nowym Sączu, gdzie – jak to określono – „miał możliwość popracowania innymi metodami i wyrośnięcia”.

Propagandową idyllę zakłócił dopiero tracący właśnie wiarę w Stalina Adam Ważyk, który w sierpniu 1955 roku na łamach „Nowej Kultury” opublikował swój *Poemat dla dorosłych*, brutalnie demaskujący mit pierwszego socjalistycznego miasta nad Wisłą, który wcześniej sam też tworzył. Tak pisał o młodych mieszkańcach Nowej Huty, którzy w zdecydowanej większości przyjechali na wielką budowę ze wsi i małych miasteczek: „[...] tłoczą się w szopach, barakach, hotelach, / człapią i gwizdzą w błotnistych ulicach: / wielka migra-

cja, skundlona ambicja, / na szyi sznurek – krzyżyk z Częstochowy, / trzy piętra wywisk, jasierek puchowy, / maciora wódki i ambit na dziewczki, / dusza nieufna, spod między wyrwana, / wpół rozbudzona i wpół obłąkana, / milcząca w słowach, śpiewająca śpiewki, / wypchnięta nagle z mroków średniowiecza / masa wędrowna, Polska nieczłowiecza / wyjąca z nudy w grudniowe wieczory... / W koszach od śmieci na zwieszonym sznurze / chłopcy latają kotami po murze, / żeńskie hotele, te świeckie klasztory, / trzeszczą od tarła, a potem grafinie / miotu pozbędą się – Wisła tu płynie. / Wielka migracja przemysł budująca, / nie znana Polsce, ale znana dziejom, / karmiona pustką wielkich słów, żyjąca / dziko, z dnia na dzień i wbrew kaznodziejom – / w węglowym czadzie, w powolnej męczarni, / z niej się wytapia robotnicza klasa. / Dużo odpadków. A na razie kasza”. Za opublikowanie tego wiersza redaktor naczelny „Nowej Kultury” Paweł Hoffman stracił stanowisko, ale zyskał miejsce w historii Polski. *Poemat dla dorosłych* stał się bowiem jednym z najważniejszych symboli poststalinowskiej odwilży, która apogeum osiągnęła w październiku 1956 roku.

Kilka miesięcy później w Nowej Hucie pojawił się Maksymilian Wrocławski. Nakręcił film *Miejsce zamieszkania*, który prezentował obraz diametralnie odmienny od tego, jaki pokazał Munk. Pijani młodzi robotnicy tłoczyli się wokół obskurnej budki z piwem, gotowali obiad w kociołku nad ogniskiem roz-

palonym przed obskurnym barakiem, wreszcie bili się, bo nie mogli dostać się do innego baraku, nazwanego szumnie domem kultury. Oczywiście, w tym filmie też wyraźnie widzimy granicę krytyki: wszystkiemu winna jest bezduszna, anonimowa administracja, a nie utopijny projekt ideologiczny wcielany w życie wbrew zdrowemu rozsądkowi. Niemniej właśnie te dwa filmy – Munka i Wrocławskiego – często pokazuje się studentom, aby zrozumieli, jak wiele zmieniło się w 1956 roku w Polsce rządzonej przez komunistów.

Nowa Huta zajmuje w najnowszej historii Polski miejsce szczególne: jako symbol szybkiej industrializacji proklamowanej przez kierownictwo PZPR w planie sześcioletnim (1950–1955), a zarazem jako przykład absurdu tej industrializacji – bo przecież wielki kombinat metalurgiczny wzniesiono z dala od złóż węgla i rudy żelaza, decyzja o jego lokalizacji miała zaś czysto polityczny charakter; jako wielkie laboratorium społeczne, w którym władze komunistyczne starały się ukształtować nowego Polaka – wzorowego obywatela kraju budującego socjalizm, a przy okazji mającego zmienić mentalność reakcyjnego krakowskiego mieszczaucha; wreszcie jako przykład zastosowania na masową skalę architektonicznego kanonu socrealizmu w mieście zbudowanym w ciągu kilku lat wokół jednego kombinatu.

Zderzenie w Nowej Hucie utopijnej ideologii z rzeczywistością sprawiło,

że w miarę upływu czasu miasto to stało się – wbrew oczywistym intencjom władz – znaczącym ośrodkiem oporu społecznego, a później także opozycji politycznej. Właśnie w Nowej Hucie z niezwykłą siłą ujawnił się paradoks ilustrujący podstawową sprzeczność systemu komunistycznego, a mianowicie sprzeciw robotników wobec dyktatury sprawowanej oficjalnie w ich interesie. Okazało się, że historia Nowej Huty to dzieje niepokornej społeczności złożonej w większości z byłych mieszkańców wsi, którzy nie chcieli sprzedać swej wolności za cenę awansu społecznego.

Nowa Huta dość szybko stała się silnym ośrodkiem fermentu społecznego. Podczas popaździernikowej odwilży wydano tam pozwolenie na budowę pierwszej katolickiej świątyni. Zostało ono jednak cofnięte, gdy Władysław Gomułka poczuł się na tyle pewnie, żeby rozpocząć kolejną krucjatę antykościelną. Eksplozja nastąpiła w kwietniu 1960 roku, kiedy władze postanowiły usunąć krzyż ustawiony

na placu kościelnym. Rannych zostało 181 milicjantów oraz z pewnością jeszcze więcej uczestników protestu. W trakcie tłumienia zamieszek wystrzelono ponad 140 pocisków z broni palnej; rany postrzałowe odniosło co najmniej sześć osób. Władze surowo obeszły się z „antyspołecznymi szumowinami”, jak demonstrantów określił Gomułka. W czasie zajść i po ich zakończeniu zatrzymano blisko pięćset osób. Sądy skazały 87 z nich, wyroki sięgały zaś od sześciu miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności. Aż 119 osób kolegia ukarały grzywną. Jeszcze większa była liczba osób zwolnionych dyscyplinarnie z pracy, zdegradowanych bądź też przez długie lata pozbawionych szansy na awans.

W maju 1967 roku, po siedmiu latach „wojny pozycyjnej” prowadzonej przez kard. Karola Wojtyłę, władze ustąpiły i zgodziły się na budowę kościoła w Nowej Hucie-Bieńczykach. Rozpoczęta w październiku tego roku budowa trwała, m.in. wskutek kolejnych utrudnień ze strony administra-

cji państwowej, blisko dziesięć lat. Wreszcie w maju 1977 roku metropolita krakowski mógł konsekrować nowy kościół pod wezwaniem Matki Bożej Królowej Polski. Historię tę opowiada film fabularny Krzysztofa Zanussiego *Z dalekiego kraju*, nakręcony przez niego w 1981 roku z myślą przybliżenia zagranicznym widzom rzeczywistości, w której żył Jan Paweł II.

Pięć lat później rejon pierwszego nowohuckiego kościoła, zwanego Arką Pana, stał się widownią najdłużej trwających walk ulicznych w Polsce. To dzieci i wnuki budowniczych Nowej Huty w kolejnych demonstracjach, których prowadzenie ułatwiała luźna zabudowa najmłodszej dzielnicy Krakowa, protestowały najpierw przeciw stanowi wojennemu, a później przeciw utrzymywaniu jego rygorów przez ekipę gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Epilog nastąpił w listopadzie 1989 roku, już w okresie istnienia rządu Tadeusza Mazowieckiego, gdy młodzi demonstranci po raz kolejny postanowili obalić pomnik Włodzimierza Lenina, ustawiony na nowohuckim pl. Centralnym. I choć Mazowiecki, obawiający się reakcji Kremla, mówił na posiedzeniu rządu, że „demontaż pomników Lenina w tej chwili [...] nie wchodzi w grę”, to już miesiąc później pomnik został usunięty. A wkrótce potem noszący imię Lenina kombinat metalurgiczny zmienił patrona. Został nim Tadeusz Sendzimir, jeden z najwybitniejszych polskich inżynierów i wynalazców. ■

prof. dr hab. Antoni Dudek – politolog i historyk, zajmuje się dziejami najnowszej Polski oraz jej systemem politycznym; ostatnio opublikował *Instytut. Osobista historia IPN* (2011)

► Nowa Huta miała być „laboratorium nowego człowieka”, stała się jednak miejscem obrony tradycyjnych wartości



Fot. ze zbiorów M. Foksa

Fot. AI PN

**Osoby, które w Polsce „ludowej” podejmowały działania opozycyjne lub jedynie uznawane za wymierzone we władzę, nie miały łatwego życia. Były poddawane rozmaitym szykanom w miejscu pracy, nauki, a nawet zamieszkania. Często różnego rodzaju działania wobec nich prowadził również aparat bezpieczeństwa. Od lat sześćdziesiątych pierwszym krokiem esbeków wobec niepokornych było zakładanie kwestionariusza ewidencyjnego.**

**W** myśl wytycznych z 1970 roku (tzw. biblii SB) był to rodzaj sprawy operacyjnej służącej do dokumentowania działalności osób, które w przeszłości były karane za „wrogą działalność” albo podejrzewano je o organizowanie wrogich manifestacji, wystąpień, „podsyćanie nastrojów niezadowolenia” lub prowadzenie „wrogiej propagandy”, zamiar podjęcia „wrogiej działalności w chwili powstania sprzyjających ku temu warunków”, bądź też zajmowały ważne stanowiska w instytucjach i organizacjach „prowadzących lub inspirujących działalność” przeciw PRL lub innym państwom socjalistycznym.

Osoby objęte kwestionariuszem ewidencyjnym były inwigilowane w sposób permanentny (stały) lub okresowy, lecz zazwyczaj nie prowadzono wobec nich aktywnych działań operacyjnych (np. nękania), choć tak również bywało. W kwestionariuszu bezpieczeństwa zbierała informacje o ewentualnej działalności opozycyjnej, zawodowej i życiu prywatnym danej osoby, aby zdobyć preteksty do szantażowania jej.

Decyzja o rozpoczęciu prowadzenia kwestionariusza ewidencyjnego była podejmowana na pisemny wniosek funkcjonariusza, zatwierdzany przez naczelnika wydziału. Wniosek taki zawierał m.in. dane osoby, którą zamierzano inwigilować, streszczenie materiałów stanowiących podstawę do założenia kwestionariusza oraz określenie celu jego prowadzenia.

W razie potwierdzenia podejrzeń o „wrogą działalność” decydowano

się na intensywniejsze działania operacyjne – tak było np. w przypadku poety Zbigniewa Herberta, którego w 1972 roku objęto kwestionariuszem ewidencyjnym, a pod koniec 1975 roku zaczęto rozpracowywać w ramach sprawy operacyjnego rozpracowania o krypt. „Herb” (zob. „Pamięć.pl” nr 1/2012). Gdy jednak podejrzewano o działalność opozycyjną nie potwierdzały się, odstępowano od inwigilacji i zamykano kwestionariusz ewidencyjny, a zgromadzoną dokumentację składano w archiwum.

Poniżej zamieszczamy wniosek z października 1965 roku o założenie kwestionariusza ewidencyjnego Antoniemu Słonimskiemu. Słonimski (podobnie jak wielu innych literatów) po zakończeniu II wojny światowej wspierał władze Polski „ludowej” (m.in. wziął udział w Światowym Kongresie Intelktualistów we Wrocławiu w 1948 roku, a po powrocie do kraju w 1951 roku brał czynny udział w działaniach propagandowych władz komunistycznych). Jego postawa zmieniła się w roku 1956. W latach 1956–1959 był prezesem Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, cieszącym się poparciem m.in. pisarzy bezpartyjnych. Pod naciskiem władz PRL utracił to stanowisko, ponieważ przeciwstawił się ingerencji władz państwowych w działalność literacką i bronił represjonowanych pisarzy. Nie wpłynęło to na zmianę jego postawy i np. w grudniu 1963 i styczniu 1964 roku należał do inicjatorów memoriału, zawierającego ostrą krytykę polityki kulturalnej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Był też jednym

z sygnatariuszy tzw. Listu 34 (zbięrał również pod nim podpisy i złożył go 14 marca 1964 roku w kancelarii premiera), którego autorzy domagali się złagodzenia cenzury i sprzeciwiali ograniczaniu przydziału papieru na druk książek i czasopism.

Podobnie jak inni sygnatariusze listu, został poddany szykanom. Nie mógł otrzymać paszportu, publikować w prasie oraz występować w radiu i telewizji. Służba Bezpieczeństwa zaczęła się nim interesować jednak zdecydowanie wcześniej – informacje na jego temat zbierała już od drugiej połowy lat pięćdziesiątych. Od lat sześćdziesiątych wykorzystywano przeciwko niemu m.in. perlustrację (cenzurę) korespondencji, obserwację zewnętrzną i oczywiście agenturę. W końcu założono mu kwestionariusz ewidencyjny, przekwalifikowany później na sprawę operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Syzyf”, prowadzoną przez Departament III Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Poetę rozpracowywano aż do jego śmierci w 1976 roku. Ustalano jej okoliczności, interesowano się pogrzebem i pozostawionym przez Słonimskiego testamentem. Akta przekazano do archiwum dopiero cztery lata później. Śladem działań Służby Bezpieczeństwa i jej agentury jest dwanaście tomów akt dokumentujących działalność skierowaną przeciwko niepokornemu poecie. ■

**Grzegorz Majchrzak** – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, członek Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności” i Stowarzyszenia Wolnego Słowa; zajmuje się badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej, stanem wojennym oraz funkcjonowaniem mediów w PRL

Wydział IV odpowiadał wówczas za zwalczanie polskich ośrodków rewizjonistycznych i liberalnych oraz „ochronę” środowisk naukowych, twórczych, kulturalnych i młodzieżowych

IPN BU O 204/1203/1  
50339/II

Warszawa dnia 16.10. 1965 r.

**TAJNE**

Nr ewidencyjny

**WNIOSEK**  
o założeniu kwestionariusza ewidencyjnego

IPN BU O 204/1203/1  
50339/II

IPN BU O 204/1203/1  
50339/II

Wzrost: średni

Stan cywilny: żonaty

Zawód wyuczony: literat

Miejsce pracy (nazwa i adres):

Przynależność partyjna:

II. POWÓD ZAŁOŻENIA

Antoni Słonimski od wielu lat prowadzi w środowisku literackim opozycyjną działalność w odniesieniu do polityki kulturalnej partii i rządu. Dowaga się likwidacji cenzury. Był jednym z inicjatorów tzw. listu 34 i wrogiej rezolucji podjętej na zebraniu nadzwyczajnym ZLP w dniu 29 lutego 1968 r.

A. Słonimski utrzymuje systematyczne kontakty z przedstawicielami placówek dyplomatycznych państw kapitalistycznych w Warszawie. Szczególnie liczne kontakty ma z pracownikami ambasady USA, Anglii i Francji. Poprzez nich również z ambasadą Izraela. W czasie pobytu na granicy utrzymywał kontakt z W. Miłorosem, londyńczykiem, „Wiadomościami”, „Dziennikiem Polkim” i „Dziennikiem Łódzkiem”. Posiada liczne powiązania z grupami opozycyjnych literatów z Oddziału warszawskiego ZLP.

Ł. Majas  
(data i podpis funkcjonariusza ewidencyjnego)

Dokumentowi nie nadano najwyższej klauzuli tajności, gdyż nie zawiera istotnych informacji operacyjnych

Znaczące rozbieżności dat (podobnie jak informacje z drugiej połowy lat sześćdziesiątych) świadczą o antydatowaniu dokumentu, który prawdopodobnie sporządzono dopiero w październiku 1970 roku, a nie w 1965

zapewne kryptonim podsłuchu telefonicznego, który wykorzystywano przeciwko poecie

Według SB podczas wyjazdów na Zachód pisarz rzekomo przekazywał „w sposób tendencyjny i politycznie szkodliwy” informacje o sytuacji politycznej w kraju

Słonimski krytykował brak wolności słowa i podnosił prawo obywateli (zwłaszcza ludzi kultury) do wyrażania sprzeciwu wobec władz, czego wyrazem był m.in. List 34 i rezolucja z 29 lutego 1968 roku

List protestacyjny pisarzy i uczonych z 14 marca 1964 roku skierowany do premiera Józefa Cyrankiewicza, w którym domagali się złagodzenia cenzury i zniesienia ograniczeń przydziału papieru na druk książek i czasopism; Słonimski był autorem Listu 34, zbierał pod nim podpisy oraz złożył go w kancelarii premiera

Rezolucja podjęta na walnym zebraniu oddziału warszawskiego ZLP, w której domagano się m.in. przywrócenia spektakli „Dziadów” w reżyserii Kazimierza Dejmki zdjętych przez władze PRL ze sceny Teatru Narodowego, a także potępiono działania cenzury

Kontakty z przedstawicielstwami państw kapitalistycznych były dla SB zawsze podejrzane

Mimo usunięcia ze stanowiska prezesa ZG ZLP Słonimski pozostał jedną z najważniejszych osób w związku i liderem opozycji wobec polityki kulturalnej władz PRL; skupił wokół siebie grupę pisarzy, która wpływała na postawy innych literatów

SB była szczególnie wyczulona na kontakty z przebywającymi na emigracji twórcami, publicystami i działaczami oraz redakcjami czasopism polonijnych

# PAPIEŻ W OBIEKTYWIE BEZPIEKI

Radosław Morawski

Służba Bezpieczeństwa bacznie obserwowała trzy kolejne pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Zachowały się tysiące zdjęć wykonanych z ukrycia przez esbeków.

„**H**abemus Papam” – te słynne słowa, wypowiedziane 16 października 1978 roku przez kardynała Pericle Feliciego z balkonu Bazyliki Świętego Piotra w Rzymie, obwieszczały światu wybór pierwszego Polaka na Stolicy Piotrowej. Jednocześnie były zapowiedzią wielkich przemian w historii Polski.

Już sama decyzja kardynałów zgromadzonych w Watykanie wzbudziła w polskim społeczeństwie ogromną radość i poruszenie, wielkie zaś zaskoczenie oraz niemal strach w kręgu władz PRL. Zdawano sobie sprawę z faktu, że wizyta papieża Polaka w ojczyźnie stała się nieunikniona, a polskie władze były na nią zupełnie nieprzygotowane. Początkowo rządząca wtedy ekipa Edwarda Gierka starała się odwlec ją w czasie, proponując jako termin rok 1982 – przy okazji sześćsetlecia istnienia klasztoru na Jasnej Górze. Upór strony kościelnej i obawa przed reakcjami polskich katolików sprawiły jednak, że wyrażono zgodę, aby pielgrzymka doszła do skutku już w roku 1979. Ostatecznie po niemal trzech miesiącach negocjacji ustalono, że papież będzie gościł w Polsce od 2 do 10 czerwca 1979 roku. Tak też się

stało, a Jan Paweł II odwiedził w tym czasie Warszawę, Gniezno, Częstochowę, Kraków, Kalwarię Zebrzydowską, Wadowice, Oświęcim i Nowy Targ.

Obsługa wizyty papieża była największą jak dotąd operacją logistyczną tego typu w powojennej Polsce. 15 marca 1979 roku powołano sztab akcji o kryptonimie „Lato-79” – jak nazwano zabezpieczenie operacyjne pielgrzymki Jana Pawła II. Szefem sztabu został wiceminister spraw wewnętrznych gen. Bogusław Stachura. Najważ-

niejszym zadaniem operacji „Lato-79” stało się „rozwijanie działań operacyjno-rozpoznawczych i profilaktyczno-neutralizujących wobec grup i środowisk kontrolowanych przez MO i SB”, a dopiero w dalszej kolejności zapewnienie bezpieczeństwa papieżowi. Pracą operacyjną kierował Departament IV MSW, który wykorzystał najaktywniejszych tajnych współpracowników do penetracji środowisk związanych z Kościołem w celu wybadania

Jan Paweł II  
wyjeżdża z rezydencji  
kard. Stefana Wyszyńskiego  
przy ul. Miodowej 17/19,  
2 czerwca 1979 roku;  
zdjęcie wykonane  
w ramach sprawy  
obiektywnej „Lato-79”



nastrojów społecznych przed pielgrzymką i w jej trakcie.

Mimo dezinformacji społeczeństwa, propagandy ideologicznej w mediach i prób odwracania uwagi od pielgrzymki – a także niszczenia kart wstępu do sektorów przeznaczonych dla pielgrzymów – na spotkaniach z papieżem pojawiły się tłumy wiernych. Zdawano sobie sprawę z tego, że mimo rozmieszczenia w tłumie funkcjonariuszy i agentów może dojść do manifestowania wrogich wobec władzy opinii, których nie da się wyeliminować za pomocą działań prewencyjnych. Zastosowano więc na szeroką skalę nowoczesne środki techniki operacyjnej. Pielgrzymów śledziło bacznie trzydzieści kamer telewizyjnych, a na miejscach mszy i trasach przejazdu Jana Pawła II rozmieszczono wiele punktów zakrytych, skąd z ukrycia robiono zdjęcia pielgrzymom, dokumentowano wykonywane przez nich gesty oraz treść rozwijanych transparentów. Później fotografie te mogły być wykorzystane jako dowody w sprawach przeciw osobom jawnie manifestującym swoje niezadowolenie z sytuacji w Polsce.

O masowości tak tworzonej dokumentacji świadczy fakt, że do dziś zachowało się co najmniej kilka tysięcy wykonanych w ten sposób zdjęć. Z samego punktu zakrytego kryptonim „Kopuła” – umiejscowionego na piętrze w szpitalu przy ulicy Miodowej 18, naprzeciwko bramy wjazdowej do siedziby arcybiskupów warszawskich – pochodzi 3380 zdjęć znajdujących się w archiwum IPN. Na fotografiach tych, wykonanych w dniu przyjazdu papieża do stolicy, widać osoby wchodzące do siedziby prymasa Stefana Wyszyńskiego lub wychodzące z niej, gromadzących się przed bramą wiernych i działania kościelnych służb porządkowych. Sam Jan Paweł II widoczny jest na kilkudziesięciu zdjęciach, sfotografowany w momentach przyjazdu i wyjazdu przez bramę. Zdjęcia te zostały zrobione w bardzo krótkim odstępie czasu, ogląda się je jak serię stopklatek w filmie. Bardzo dokładnie fotografowane były osoby podchodzące do Jana Pawła II i rozmawiające z nim. Może to wynikać z faktu, że władze obawiały się niekontrolowanego przekazania papieżowi

jakiejs korespondencji czy petycji, co najłatwiej było uczynić podczas takich właśnie spontanicznych spotkań na terenie kościelnym. Charakterystyczny jest moment, w którym Jan Paweł II wyjeżdża z bramy. Widać, że fotograf utrwalający to wydarzenie ukrył się za jakąś przeszkodą w pomieszczeniu punktu zakrytego – wskazują na to zaciemnienia na bokach kilku fotografii. Najprawdopodobniej autor zdjęć obawiał się, że zostanie zauważony i zdemaskowany.

Oprócz przytoczonych wyżej przykładów fotografii z punktu zakrytego, wykonywano również zdjęcia z ruchomych punktów zakrytych, umieszczanych najczęściej w samochodach. Część fotografii zrobiono pod tak zwaną legendą. Metoda ta polegała na tym, że wywiadowca SB robił zdjęcia jawnie, podając się za dziennikarza lub fotoreportera gazety. Zdjęcia wykonane w ten sposób powstały m.in. na terenie Warszawy, Krakowa, Częstochowy i Wadowic. Większość pokazywała tłumy pielgrzymów na mszach i trasach przejazdów papieża – obrazy ▶



▶ Jan Paweł II w asyście ochrony i milicji przed bramą wjazdową do rezydencji prymasa Polski w Warszawie, 2 czerwca 1979 roku; zdjęcie wykonane w ramach sprawy obiektowej „Lato-79”



▶ Wierni na błoniach Parku Kultury (Łęgi Dębińskie, obecnie Park Jana Pawła II) w Poznaniu podczas odprawianej przez Jana Pawła II mszy św. beatyfikacyjnej m. Urszuli Ledóchowskiej, 20 czerwca 1983 roku





▶ Pielgrzymi na ulicach Warszawy trzymający transparenty Solidarności, 14 czerwca 1987 roku; zdjęcie wykonane w ramach sprawy obiektowej „Zorza II”

jakże inne od tych z transmisji telewizyjnych, gdzie kadrowano głównie postać Jana Pawła II i ołtarz.

Następna pielgrzymka Ojca Świętego miała się odbyć w 1982 roku, we wspomniane sześćsetlecie istnienia klasztoru na Jasnej Górze. Niestety, trwający stan wojenny sprawił, że władze zgodziły się na wizytę Jana Pawła II dopiero w roku następnym.

Miała być ona dowodem postępującej w kraju normalizacji. Pielgrzymka trwała od 16 do 23 czerwca 1983 roku i objęła: Warszawę, Niepokalanów, Częstochowę, Poznań, Katowice, Wrocław, Górę Świętej Anny, Kraków i Zakopane. Tym razem sprawa obiektowa

zabezpieczenia wizyty papieża otrzymała kryptonim „Zorza”. Władze, bogatsze w doświadczenia z pierwszej pielgrzymki, zdecydowały się na wiele działań prewencyjnych, polegających na aresztowaniu bądź odizolowaniu od udziału w spotkaniach z Janem Pawłem II wielu działaczy Solidarności. Ingerowały również w liczbę wejściówek do sektorów dla pielgrzymów. Działania te na niewiele jednak się zdały. Zdjęcia wykonane przez funkcjonariuszy Biura „B” znów pokazują

tłumy wiernych na mszach papieskich. Wśród pielgrzymów widoczne są liczne transparenty i flagi z hasłem „Solidarność” lub inne napisy, najczęściej nazwy miast stylizowane na charakterystyczne logo zdelegalizowanego związku zawodowego. Najczęstszym motywem na fotografiach są setki rąk wzniesionych w geście zwycięstwa.

Zachowało się kilkaset zdjęć operacyjnych z drugiej pielgrzymki. Dokumentują one wizyty papieża w Warszawie, Częstochowie i Poznaniu. Wiele z tych fotografii było dołączanych do sprawozdań z operacji „Zorza”, część trafiała do analiz i opracowań do wyższych szkół oficerskich MSW.

Ostatnia w czasach PRL pielgrzymka Jana Pawła II do Polski miała miejsce od 8 do 14 czerwca 1987 roku. Papież odwiedził wówczas: Warszawę, Lublin, Tarnów, Kraków, Szczecin, Gdy-

nię, Gdańsk, Częstochowę i Łódź. Także w przypadku tej wizyty nie obyło się bez zgrzytów. Władze długo nie chciały umieścić w programie pielgrzymki Gdańska, obawiając się solidarnościowych konotacji tego miejsca. Sprawa obiektowa zabezpieczenia wizyty otrzymała kryptonim „Zorza II” i opierała się na podobnych działaniach operacyjnych jak w operacji „Zorza” z roku 1983. Nowością był – przeprowadzany przed pielgrzymką przez agentów SB – kompleksowy przegląd kazań we wszystkich parafiach w kraju. Również tematyka zdjęć operacyjnych jest podobna jak w przypadku analogicznych fotografii z drugiej pielgrzymki. Na ponad 760 fotografiach z pobytu papieża w Warszawie widzimy tłumy ludzi z transparentami Solidarności. Na kilku zdjęciach można dostrzec transparenty zawieszane na płocie otaczającym kościół św. Stanisława Kostki. Hasła nawiązują do pochowanego na terenie tej parafii księdza Jerzego Popiełuszki, którego grób nawiedził wówczas Jan Paweł II. Zachowało się również kilkadziesiąt zdjęć z mszy odprawianej przez papieża w Gdańsku-Zaspie, w tym zdjęcia demonstracji, która uformowała się po uroczystości.

Wszystkie fotografie operacyjne wykonane przez Służbę Bezpieczeństwa w trakcie pielgrzymek papieskich do Polski miały służyć udokumentowaniu wrogich antypaństwowych działań wiernych przeciwko władzy „ludowej” i wyeliminowaniu takich postaw w przyszłości. Mimowolnie po latach stały się świadectwem wiary i patriotyzmu milionów Polaków, manifestujących chęć zmian ustrojowych, których początek nastąpił w roku 1989. Fotografie te musiały robić wrażenie na kierownikach poszczególnych komórek MSW. Ich raporty i sprawozdania z przeprowadzenia poszczególnych operacji – poza wymienieniem kilkunastu mało znaczących sukcesów – nie tryskały optymizmem. 🌸

**Radosław Morawski** – pracownik Sekcji Opracowywania Dokumentacji Audiowizualnej Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN



▶ Transparenty Solidarności i NZS z tekstami poświęconymi ks. Jerzemu Popiełuszce na płocie ogrodzenia kościoła św. Stanisława Kostki, tuż przed nawiedzeniem grobu kapelana Solidarności przez Jana Pawła II, Warszawa, 14 czerwca 1987 roku; zdjęcie wykonane w ramach sprawy obiektowej „Zorza II”

# „Nie było »polskich obozów«”

Z **prof. Johnem Merrimanem**, historykiem amerykańskim, rozmawia Filip Gańczak

## Co Pana studenci wiedzą o Polsce?

Mam to szczęście, że wykładam na Uniwersytecie Yale. Moi studenci to śmietanka – *crème de la crème*. Mają za sobą kurs historii Europy i wiedzą o Polsce dużo więcej niż przeciętny student w Stanach Zjednoczonych.

## A co wie o historii Polski przeciętny amerykański student?

Bardzo niewiele. Ale to wina amerykańskiego systemu edukacji. We Francji, gdzie również mieszkam i wykładam, każdy ma szansę na dobrą edukację. Nie ma tak wielkich dysproporcji w zależności od pochodzenia społecznego. W Stanach ci, którzy chodzą do szkół prywatnych, mają olbrzymią przewagę, bo ich rodzice płacą wielkie pieniądze za dobrą edukację. Mówię o studentach z bogatych przedmieść San Francisco, Los Angeles czy Nowego Jorku.

## Jak to jednak możliwe, że nawet prezydent Barack Obama – człowiek niewątpliwie dobrze wykształcony – mówił niedawno o „polskim obozie śmierci”?

To bardzo bystry facet. Ale prezydent wygłasza wiele przemówień i większości z nich nie pisze sam. Najwyraźniej to konkretne przemówienie napisał mu doradca polityczny, który niespecjalnie zna się na sprawach zagranicznych. To była głupia, ale niezamierzona pomyłka. Rozumiem jednak, że w Polsce mogło to zostać odebrane jako dowód na generalną ignorancję Amerykanów. To nie dotyczy tylko waszego kraju. Jeśli spytać ludzi w Stanach, gdzie leżą Chiny, to wielu na mapie umieści je gdzieś między Litwą a Finlandią. Amerykanie mało przejmują się tym, co jest poza USA. Oczywiście, na dobrym amerykańskim uniwersytecie sytuacja jest zupełnie inna. To skutek tych dysproporcji, o których mówiłem.

## Co my, Polacy, możemy zrobić, żeby nie powtarzały się takie błędy jak ten Obama?

Temu właśnie ma służyć projekt „Przywracanie zapomnianej historii” [autorzy i wydawcy anglosaskich podręczników akademickich są zapraszani do naszego kraju, gdzie dyskutują o swoich książkach z ekspertami z Polski i innych państw; często udaje się w ten sposób wyeliminować z anglojęzycznych podręczników negatywne stereotypy o Polsce i Polakach – przyp. F.G.]. Dzięki temu projektowi w mojej książce *A History of Modern Europe*, dostępnej na całym świecie, jest dziś więcej informacji o Polsce, niż było dotychczas.

## prof. John

**Merriman** – wykładowca historii Francji i współczesnej Europy na Uniwersytecie Yale; autor wielu książek, m.in. dwutomowej *A History of Modern Europe since the Renaissance* (1996, wyd. trzecie 2009); w 2009 roku otrzymał Medal Komisji Edukacji Narodowej jako „zasłużony dla polskiej edukacji”

## Z jakich źródeł korzysta amerykański historyk, który pisze o najnowszych dziejach Europy?

Ja zajmuję się głównie Francją. Mieszkam we Francji i korzystam z wielu francuskich archiwów.

## A jeśli decyduje się Pan pisać przekrojowo o całej Europie?

Proszę kolegów, żeby podali mi dziesięć albo dwanaście książek z danej dziedziny, które powinienem przeczytać. W przypadku Polski do pierwszego wydania mojego podręcznika wkradły się błędy. Najwyraźniej polecono mi złe książki.

## Ostatnio bardzo dobre recenzje zbierają *Skrwawione ziemie* Timothy'ego Snydera.

Tim Snyder to mój kolega, bardzo znany historyk z Yale. Dzięki sukcesowi jego książki ludzie w USA wiedzą dziś dużo więcej o tym, co się wydarzyło w czasach Stalina i Hitlera. Jest więc pewien rynek dla książek historycznych, choć ostatnio kurczy się i przeżywa kryzys. Nadal jednak nie brakuje w USA i Wielkiej Brytanii dobrych historyków, którzy zajmują się Polską. Przykładem może być Piotr Wandycz, który urodził się w Krakowie, a z Polski wyjechał w 1939 roku. Jeszcze chętniej czytani są Tim Snyder czy Norman Davies. Właśnie dzięki nim czytelnicy w USA, Wielkiej Brytanii, Australii czy Kanadzie mają szansę dowiedzieć się czegoś o Polsce. Paradoksalnie, błąd Obamy także sprawił, że przynajmniej ci Amerykanie, którzy śledzą wieczorne wiadomości, zrozumieli, że nie było „polskich obozów”. Były obozy śmierci w Polsce, ale to nie Polacy nimi zarządzali. ■

# „Inspirują mnie nieopowiedziane historie”

z brytyjską wokalistką **Katy Carr** rozmawia Maciej Foks

## Ma Pani polskie korzenie...

Moja babcia Joanna Foltyn mieszkała w Międzybrodzu Bialskim. Miała dziewięcioro dzieci, wśród nich Krystynę, moją mamę. Dwójka z jej rodzeństwa zmarła w czasie II wojny światowej. Był to trudny czas, brakowało żywności, a warunki życia w górach, zwłaszcza zimą, były ciężkie. Mój dziadek, Józef Goryl, uciekł z obozu pracy przymusowej pod Wrocławiem. Babcia pomogła mu, dała schronienie i ukrywała go przed esesmanami podczas wojny.

## Co skłoniło Panią do włączenia do repertuaru piosenek inspirowanych wydarzeniami z historii Polski? Czy tylko Pani pochodzenie?

Inspiracją było spotkanie z polskim harcerzem, uciekinierem z Auschwitz, Kazimierzem Piechowskim, dziś 93-latkim. Opowiedział mi o czasie spędzonym w latach 1942–1945 w polskiej partyzantce, o ucieczce z obozu. Piosenka *Kommander's Car* opowiada właśnie o ostatnich 80 metrach ucieczki z KL Auschwitz samochodem Steyr 220... Tak właśnie zaczęły rodzić się w mojej wyobraźni pomysły na album *Paszport*, na którym znalazły się utwory inspirowane historią Polski.

## Czy wydarzenia związane z historią Polski, o których opowiadają utwory śpiewane przez Panią, są znane i zrozumiałe poza Polską?

Nawet w Polsce wiele osób nie słyszało o ucieczce Kazimierza Piechowskiego z Auschwitz, wielu nie zna też historii niedźwiedzia Wojtka. Inspirują mnie nieopowiedziane historie. Moim marzeniem jest opowiedzenie o historii Polski w czasie II wojny światowej tak, żeby dotarła do wszystkich na świecie, a zwłaszcza do młodej generacji.

## To wciąż duży problem – czy spotkała się Pani z określeniem „polskie obozy koncentracyjne”?

Tak, niestety. Leniwi dziennikarze i kiepska znajomość historii Polski doprowadziła do powstania takiej zbitki. Ja zawsze używałam określenia „niemieckie nazistowskie obozy koncentracyjne w okupowanej Polsce”.

## Pokazywała Pani teledysk o ucieczce Piechowskiego w angielskich szkołach i na spotkaniach harcerskich. Jak reagowali odbiorcy?

Brytyjscy uczniowie zawsze byli niezwykle poruszeni, niektórzy płakali. Pamiętam jedenastoletniego chłopca, który



► Katy Carr i Kazimierz Piechowski, Tczew, wrzesień 2012 roku

**Katy Carr** – brytyjska piosenkarka polskiego pochodzenia, nominowana do nagrody London Music Award 2012. Występuje z grupą The Aviators. Inspirację dla jej twórczości stanowią postaci i wydarzenia z historii Wielkiej Brytanii, Francji i Polski. Utwór *Kommander's Car* poświęciła Kazimierzowi Piechowskiemu, uciekinierowi z KL Auschwitz (teledysk oraz wywiad z jego bohaterem – zob. „Pamięć.pl” nr 6/2012). Wydała cztery albumy: *Screwing Lies* (2001), *Passion Play* (2002), *Coquette* (2009) i *Paszport* (2012).

porównał historię Polski pod okupacją niemiecką i sowiecką do handlu niewolnikami.

## Jak przygotowuje się Pani do pisania piosenek?

Natchnienie przychodzi z różnych stron, czasem jest to rozmowa, którą usłyszę, czasem film lub zdjęcie. Stare dokumenty i książki również dostarczają weny twórczej.

## Napisała Pani utwór poświęcony polskim pilotom walczącym w bitwie o Anglię. Jak na Pani twórczość reaguje Polonia i publiczność w Polsce?

Niezależnie od tego, czy śpiewam dla Polaków w Polsce, czy dla Polonii, zawsze spotykam się z ciepłym odbiorem. Myślę, że Polacy są miło zaskoczeni, że ktoś prezentuje historię Polski z trochę innej, nowej perspektywy. Czuję się patriotką ze względu na swoje korzenie, myślę, że polska publiczność doskonale rozumie moją potrzebę śpiewania o Polsce.

## W ostatnim czasie pojawiło się sporo artystów, którzy inspirowują się historią naszego kraju...

Jest kilka świetnych grup, np. Pjus śpiewający utwór *Głośniejszy od bomb* i Aga Zaryan z utworem *Kalinowym mostem chodziłam*. Jest również zespół Sabaton, ale oni śpiewają po angielsku.

## Czy muzyka pop może opowiadać o wydarzeniach trudnych i bolesnych? Czy jest dobrym sposobem dotarcia z przekazem do młodych ludzi?

Muzyka w ogóle jest dobrą formą przekazu, ponieważ oparta jest na wibracjach i pokonuje wszelkie bariery językowe. Myślę, że ważne jest, żeby dzieci znały historię swojego narodu; jeśli możemy im ją przybliżyć przez muzykę, to świetnie. 🍀

# Polskie dominium w Afryce?

Janusz Wróbel

Fot. ze zbiorów J. Pławego



► Polska w sercu Afryki – osiedle w Tengeru

**Marzenia o zamorskich koloniach Rzeczypospolitej snuły w okresie międzywojennym wielu polskich polityków. W czasie II wojny światowej w dalekiej Afryce osiedliły się tysiące Polaków – uchodźców, którzy opuścili Związek Sowiecki wraz z Armią Andersa.**

**W** pochmurne grudniowe popołudnie 1928 roku z portu w Marsylii wyruszył w zamorską wyprawę książę Leon Sapieha. Kilkanaście dni później był w Port Sudan nad Morzem Czerwonym, skąd pociągiem dotarł do Chartumu. Dalszym etapem wyprawy była podróż statkiem w górę Białego Nilu, a potem samochodami terenowymi do granic Konga Belgijskiego. W ten oto sposób rozpoczynało się jedno z wielu przedsięwzięć, które miały torować Polsce drogę do Afryki.

## Kolonialne mrzonki

W Kongu książę, zapalony myśliwy, znalazł się w swoim żywiole. Na rozległych sawannach mógł polować na grubego zwierza. Podróże i polowania na pograniczu Konga, Rwandy,

Ugandy i Tanganiki zajęły mu kilka miesięcy. Samych bawołów upolował osiemnaście, od kuli z książęcego sztucera padł też potężny, dwustukilogramowy goryl. Chodziło jednak nie tylko o myśliwskie trofea. Książę, jeden z największych właścicieli ziemskich w Polsce (m.in. majątku i pięknego pałacu w Krasiczynie), był zdecydowany zakupić w Kongu kilkaset hektarów żyznej ziemi i założyć plantację. Po dłuższym rekonesansie wybrał teren pomiędzy jeziorem Mokoto a wulkanem Nyamuragira na wschodnim pograniczu Konga.

Sprawy urzędowe związane z zakupem ziemi zostały pomyślnie załatwione i książę stał się właścicielem posiadłości Ngesho, która dzięki pracy stu wynajętych murzyńskich robotników szybko zamieniła się w pola uprawne kawy i herbaty. Gdy wracał do kraju, oczami wyobraźni widział już „gotowe plantacje, drogi, aleje, domy i ogrody”.

Leon Sapieha nie miał wątpliwości, że dobrze wypełnia „misję białego człowieka” w Czarnej Afryce. Kwintesencją jego stosunku do kontynentu i jego mieszkańców był fragment wspomnień opublikowanych w roku 1934: „Europa wydała białą rasę ludzi, lecz jest ona za mała, by móc pomieścić cisnące się w niej narody. Więc co silne i zdrowe ku południu niech

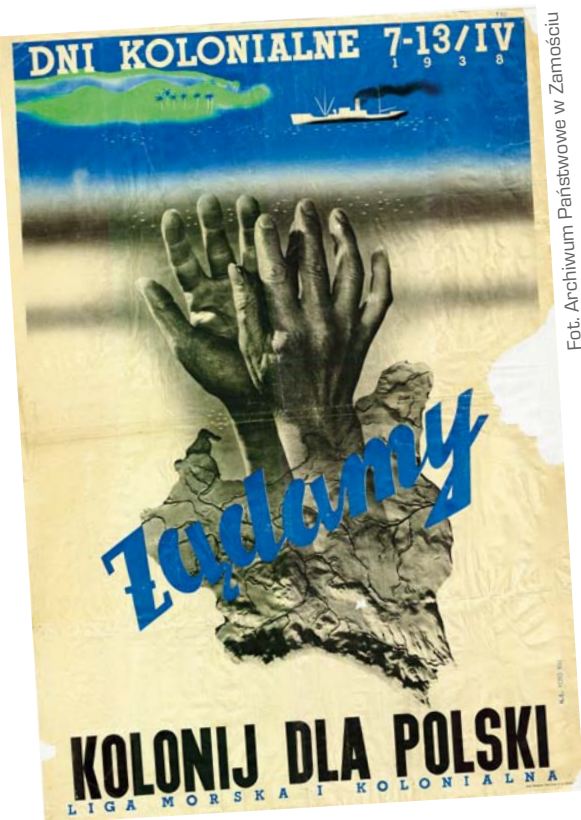
ciągnie, do tej wielkiej części świata, gdzie od spiekłych piasków Sahary do chłodnych, dżdżystych, górskich wyżyn są kraje, które wszystkie upodobania zaspokoić mogą”.

Książę Leon Sapieha nie był jedynym Polakiem owładniętym myślą o ekspansji na Czarnym Lądzie. Lata trzydzieste XX stulecia to apogeum polskich marzeń o koloniach w Afryce. Na wielką skalę rozwinęła działalność Liga Morska i Kolonialna, licząca trzysta kół i setki tysięcy członków w całym kraju. To właśnie w kręgu przywódców hojnie dotowanej przez państwo Ligi rodziły się pomysły polskiego osadnictwa ►



Fot. NAC

► Książę Leon Sapieha



Fot. Archiwum Państwowe w Zamościu

► Plakat Ligi Morskiej i Kolonialnej z 1938 roku

w portugalskiej Angoli, na francuskim Madagaskarze czy w niemieckim Kamerunie. Najdalej zaawansowane były starania o pozyskanie dla polskiego osadnictwa terenów w Liberii, dokąd ze specjalną misją rekonesansową wyruszyła delegacja Ligi Morskiej i Kolonialnej.

Wprawdzie Czarny Ląd był od dawna prawie w całości podzielony pomiędzy mocarstwa kolonialne, ale wydawało się, że duży potencjał ludnościowy Polski i szybki rozwój polskiej marynarki handlowej i wojen-

nej będą stanowić mocne argumenty w przetargach z kolonialnymi potęgami, które same nie były w stanie zagospodarować olbrzymich terenów afrykańskiego interioru. W najśmielszych marzeniach Leon Sapieha nie przewidywał jednak, że za kilka lat w Afryce zamieszka blisko dwadzieścia tysięcy Polaków, a w niektórych krajach staną się oni największą grupą ludności pochodzenia europejskiego. Zrządzeniem losu nie przybyli tu jednak rzeczywistnie mocarstwowych ambicji Ligi Morskiej i Kolonialnej, lecz jako uchodźcy, którzy na Czarnym Łądzie szukali bezpiecznego schronienia, a nie zysków i apanaży.

### Niechciani Polacy

Kłęska wojenna we wrześniu 1939 roku wykazała, jak kruche podstawy miały mocarstwowe aspiracje władz II Rzeczypospolitej. Kraj znalazł się pod okrutną okupacją dwóch totalitarnych potęg, hitlerowskich Niemiec i stalinowskiego Związku Sowieckiego. Ziemie polskie padły ofiarą czystek etnicznych, miliony Polaków wywieziono na roboty przymusowe. Na tułających szlakach znalazły się setki tysięcy polskich obywateli uchodźczych przed prześladowaniami.

Promyk nadziei na odmianę losów Polaków wywiezionych na Syberię i do Kazachstanu pojawił się po ataku Hitlera na Związek Sowiecki. Porozumienie pomiędzy Rządem Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie a rządem sowieckim podpisane 30

lipca 1941 roku w Londynie miało otworzyć nowy rozdział w stosunkach pomiędzy oboma krajami. Konflikt datujący się od 17 września 1939 roku miała zastąpić sojusznicza współpraca, skierowana przeciwko wspólnemu wrogowi – nazistowskiemu Niemcom. Układ przewidywał m.in. uwolnienie Polaków uwięzionych w łagrach i miejscach pracy przymusowej.

Niestety, szybko okazało się, że trwałe porozumienie jest niemożliwe. Rosjan i Polaków dzielił spór terytorialny, jak również podejście do kwestii wykorzystania Armii Polskiej w ZSRS. Nad stosunkami polsko-sowieckimi od początku ciążyła też sprawa zaginionych oficerów polskich, którzy w 1939 roku znaleźli się w sowieckiej niewoli.

O ewakuacji części Polaków z ZSRS w celu uzupełnienia szeregów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie premier Władysław Sikorski rozmawiał ze Stalinem już podczas wizyty w Moskwie w grudniu 1941 roku. Sprawa ta wróciła w początkach 1942 roku, gdy narastały trudności w stosunkach polsko-sowieckich.

Ewakuacja polskiego wojska i rodzin żołnierzy odbyła się w dwóch etapach, w marcu–kwietniu i sierpniu–wrześniu 1942 roku. Na pokładach sowieckich statków Polacy odpłynęli z Krasnowodzka do Pahlevi na irańskim wybrzeżu Morza Kaspijskiego. Część cywilów, głównie dzieci, wywieziono drogą lądową z Aszchabadu do Iranu i Indii Brytyjskich.

► Osiedle Tengeru w Tanganice



Fot. ze zbiorów J. Płowego

Według danych zawartych w raporcie brytyjskiego oficera, płk. Alexandra Rossa – które uwzględniają obie fazy ewakuacji i wszystkie jej kierunki – ze Związku Sowieckiego wywieziono 75 003 żołnierzy i 41 128 cywilów, łącznie 116 131 osób.

Chociaż Iran gościnnie przyjął polskich cywilów, kraj ten nie nadawał się na miejsce stałego pobytu. Decydowały o tym zagrożenie ze strony wojsk niemieckich, trudności aprowizacyjne i niesprzyjające warunki klimatyczne. Konieczne było więc znalezienie azylu dla kilkudziesięciu tysięcy polskich kobiet i dzieci w innych krajach.

Rząd polski liczył w tej sprawie na pomoc przede wszystkim Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych oraz sprzyjających Polsce krajów neutralnych. Dyplomaci polscy napotykali jednak wszędzie przeszkody nie do pokonania. Amerykanie nie chcieli przyjąć Polaków, powołując się na obowiązującą restrykcyjną ustawę imigracyjną. Kraje neutralne również nie zamierzały brać na swoje barki ciężaru ich utrzymania.

### Gościnną Afryka

Anglicy od początku uważali, że najlepszym rozwiązaniem będzie ewakuacja polskich uchodźców do posiadłości brytyjskich w Afryce. Uznano, że najprościej będzie skierować ich do Afryki Wschodniej: Kenii, Tanganiki (dziś Tanzanii) i Ugandy. Kolonie te znajdowały się dość daleko od teatru wojny, a wiodące tam szlaki morskie były stosunkowo bezpieczne. Mankamentem tego rozwiązania był niski stopień rozwoju cywilizacyjnego tych terenów oraz uciążliwy dla Europejczyków tropikalny klimat.

Pierwsze transporty polskich uchodźców przybyły z Iranu do portów Tanga i Mombasa na wschodnim wybrzeżu Afryki w sierpniu i wrześniu 1942 roku. Kierowano je w głąb kraju, gdzie pospiesznie tworzone osiedla uchodźcze. Dwie duże osady Koja i Masindi powstały w Ugandzie. Spośród kilku polskich ośrodków w Tanga-

nice największym był Tengeru, położony w masywie górskim Kilimandżaro. W Kenii utworzono ostatecznie tylko jedno osiedle szkolne w Rongai, ale za to w Nairobi ulokowano kilka placówek zajmujących się organizacją życia zbiorowego w polskich osadach.

Brytyjskie władze kolonialne na ogół dobrze przygotowały się na przyjęcie uchodźców. Korzystne wrażenie robiła dbałość o warunki podróży do osiedli w głębi kontynentu. Polskie transporty umieszczano w wagonach osobowych, często nawet pierwszej klasy. Dłuższe trasy przerywano kilkudniowym odpoczynkiem, a na ważniejszych stacjach i u celu podróży miejscowe społeczeństwo urządzało przyjęcia dla przybyszów; podawano zakąski, ciasta, owoce i napoje. Niekiedy witano Polaków muzyką i rozdzielano między nich upominki. Wychodzący w Nairobi „The East African Standard”, donosząc 5 września 1942 roku o spodziewanym przybyciu transportu kilkuset polskich cywilów, apelował do czytelników, aby przeprowadzili zbiórkę słodyczy i zabawek dla polskich dzieci.

W 1943 roku polscy uchodźcy zaczęli napływać również do Południowej Rodezji (obecnie Zimbabwe) i Północnej Rodezji (Zambia). Dla przybyszów z Iranu utworzono nowe osiedla w Rusape, Marandellas, Diggelfold (Południowa Rodezja) oraz w Abercorn i Bwana-Mkubwa (Północna Rodezja). Polskich uchodźców przyjęła też Unia Południowej Afryki (obecnie Republika Południowej Afryki): statek z polskimi sierotami z Iranu zawiązał do Port Elizabeth 1 kwietnia 1943 roku. Po kilkudniowej kwarantannie pięćset dzieci i 38 wychowawców zeszło na ląd i specjalnym pociągiem udało się do osiedla uchodźczego w Oudtshoorn.

Ogółem w latach 1942–1943 w Afryce Wschodniej (Kenia, Uganda, Tanganika) rozmieszczono ponad 13 tys., a w Afryce Południowej (Północna Rodezja, Południowa Rodezja i Unia Południowej Afryki) – ok. 5 tys. Polaków. Łącznie znalazło się tam ponad 18 tys.



Fot. ze zbiorów J. Płowego

► Rodzina Kwasów przed swym domem w Tengeru

obywateli Rzeczypospolitej. W Ugandzie, Tanganice i obu Rodezjach liczba Polaków przewyższała liczbę ludności białej mieszkającej tu przed 1939 rokiem. Było to wydarzenie bez precedensu w całej historii Polski i historii kontynentu afrykańskiego. Podczas gdy w stolicy Kenii Nairobi mieszkało wówczas około 2 tys. Europejczyków, głównie Anglików, a w stolicy Ugandy Kampali – ośmiuset, tylko w Tengeru zamieszkało około 4 tys. Polaków.

Wśród tych, których wojenne losy rzuciły na Czarny Ląd, był również książę Eustachy Sapieha, krewny Leona. W czasie wojny polsko-bolszewickiej pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej i odegrał ważną rolę w mobilizowaniu poparcia zagranicy dla walczącej Polski. W 1939 roku został uwięziony przez Sowieców i dopiero układ Sikorski–Majski przyniósł mu wolność. Po wyjściu armii gen. Władysława Andersa z ZSRS znalazł się w Nairobi, gdzie pełnił funkcję delegata Polskiego Czerwonego Krzyża, niosąc rodakom pomoc medyczną i humanitarną.

### Wzorowe osiedla

Przed wojną Polska nie miała w Afryce placówek dyplomatycznych i konsularnych, dlatego w Nairobi powstał Konsulat Generalny RP, a podległe mu pla-



Fot. ze zbiorów J. Pławego

► Polacy przed wyprawą na Kilimandżaro

cówki utworzono w Kampali (Uganda) i Dar es Salaam (Tanganika). Polskie konsulaty zaczęły pracę również na południu Afryki w obu Rodezjach i w Unii Południowej Afryki. Ważną rolę odgrywały też delegatury poszczególnych ministerstw. Sprawami bytowymi zajmowała się Delegatura Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, a kwestie oświatowe znalazły się w gestii Delegatury Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Każde z afrykańskich osiedli polskich uchodźców miało własną specyfikę, wynikającą z miejscowych uwarunkowań, ale bez wątplenia na szczególną uwagę zasługuje osiedle Tengeru w Tanganice. Położone było niedaleko Aruszy, ośrodka administracyjnego prowincji, kilka kilometrów od stacji kolejowej Tengeru, skąd kursowały pociągi do nadmorskiego miasta Tanga. Osiedle zlokalizowano na stoku góry Meru (4556 m n.p.m.) w kompleksie wulkanicznym otaczającym najwyższy szczyt kontynentu, Kilimandżaro. Ze względu na położenie na dużej wysokości i niewielką ilość opadów panowały tam znośne warunki klimatyczne.

Osiedle Tengeru powstało od podstaw na terenie będącym własnością Zarządu Tanganiki. Administracja brytyjska przeznaczyła na jego budowę sporo środków i materiałów. W ekspresowym tempie wybudowano 947 domków – okrągłych chat, przy-

pominających domostwa tubylców. System ich budowy był prosty. Ustawiano drewniany szkielet i oblepiano go gliną. Stożkowy dach wykonywano z liści bananowca. Wyposażenie domostw było skromne, ale zaspokajało podstawowe potrzeby. Nie narzekano na wyżywienie, chociaż okresowo brakowało jarzyn. Aby temu zaradzić, utworzono 250-hektarową farmę. Hodowano tam około trzystu sztuk bydła, owce i konie. Uprawa warzyw z czasem pozwoliła nie tylko na zaspokojenie potrzeb osiedla, ale nawet na sprzedaż nadwyżek. Gorzej było z odzieżą, która szybko się zużywała. Stopniowo i to jednak się poprawiło, gdyż nadeszły transporty z odzieżą z Ameryki.

Dobrze zorganizowane było również duże osiedle w ugandyjskiej miejscowości Kojja, chociaż początki były trudne. Jedną z jego mieszkanki – wówczas kilkuletnia dziewczynka – tak po latach wspominała pierwsze dni w osiedlu nad Jeziorem Wiktorii: „Moje pierwsze niezatarte wrażenia to wysiadanie z ciężarówek z nędznymi bagażami, kiedy oczom naszym ukazała się dzika panorama: w oddali zielona, tajemnicza dżungla, jezioro, jakieś pagórki i nic ze znajomej cywilizacji. Wśród wysokiej trawy stały naprędce zlepione z trzciny i gliny, nieotynkowane, słomą kryte domki dla nas przeznaczone”. Przyszłe wkrótce uporządkowali osiedle, zaczęto uprawiać ogródki, powstały

warsztaty, standard życia poprawiał się z każdym miesiącem.

Dzięki aktywności samych uchodźców, wytrwałym zabiegom Rządu RP na Uchodźstwie i brytyjskim kredytem w ciągu kilku lat stworzono bogatą tkankę życia społecznego, o której mogli tylko marzyć rodacy w kraju i uchodźcy przebywający w innych państwach. Przedmiotem dumy władz polskich był rozbudowany system oświaty, obejmujący przedszkola, szkoły powszechne oraz gimnazja i licea ogólnokształcące. W końcu 1944 roku w polskich szkołach powszechnych w Afryce Wschodniej i Południowej pobierało naukę 5342 uczniów, a personel nauczycielski liczył 178 pedagogów. Chlubą polskiej oświaty były szkoły średnie. W ugandyjskim osiedlu Masindi działało Państwowe Gimnazjum Ogólnokształcące i Liceum Humanistyczne, liczące pięć klas i 274 uczniów. W Tengeru istniało pełne koedukacyjne gimnazjum, uzupełnione przez klasy licealne. W rodezyjskim Livingstone założono Państwowe Liceum Humanistyczne i Gimnazjum Męskie, a w Diggelfold Państwowe Żeńskie Gimnazjum Ogólnokształcące. W przedostatnim roku wojny w klasach gimnazjalnych i licealnych naukę pobierało ponad ośmiuset uczniów. Pod koniec wojny coraz częściej praktyką było wysyłanie polskich dzieci do miejscowych szkół z angielskim językiem wykładowym.

Zorganizowano sieć bibliotek i domów kultury. Działały liczne stowarzyszenia społeczne, harcerstwo, a nawet partie polityczne. Na dużą skalę rozwinięto akcję wydawniczą. W Nairobi ukazywało się profesjonalnie redagowane pismo „Polak w Afryce”, prawie każde osiedle miało własną gazetkę. Za pośrednictwem brytyjskich rozgłośni nadawano polskojęzyczne programy radiowe.

Polska młodzież poznawała nową ojczyznę. Nawiazywano przyjaźnie z rodzimą ludnością murzyńską, czemu krzywo przyglądali się Anglicy, zachowujący dystans wobec tubylców.

Polscy harcerze z osiedla Tengeru w Tanganice wspinali się na szczyt Kilimandżaro, mieszkańcy osiedla Koja żeglowali po Jeziorze Wiktorii. Chłopcy i dziewczęta z osiedla Oudtshoorn wakacje spędzali na pięknych plażach Afryki Południowej.

### Bez możliwości powrotu

Zakładano, że Polacy będą przebywać w osiedlach uchodźczych tylko do końca wojny i że z chwilą wyzwolenia kraju nastąpi ich repatriacja. Jednak większość naszych rodaków, którzy znaleźli się w Afryce, pochodziła z Kresów i nie mieli dokąd wracać. Zresztą odstraszała ich perspektywa życia w kraju rządzonym przez komunistów.

Już przed końcem wojny Brytyjczycy zorientowali się, że zdecydowana większość Polaków odmówi powrotu do kraju. Komisarz ds. uchodźczych A.L. Pennington z Tanganiki informował Londyn, że Polacy na podlegającym mu obszarze przepojeni są głęboką nieufnością do Związku Sowieckiego i rządu w Warszawie, który uważają za „sowiecką kreaturę”. Dla poparcia swej opinii zacytował wypowiedź jednego z polskich uchodźców, który miał mu oświadczyć, że gotów jest wrócić do wolnej Polski i pracować nad jej odbudową, ale jeśli ma się ona stać jedną z republik Związku Sowieckiego, woli raczej poderżnąć sobie gardło, niż przyjechać do kraju.

Z chwilą wycofania przez Wielką Brytanię uznania dla Rządu RP na Uchodźstwie w lipcu 1945 roku, osiedla polskie w Afryce straciły oparcie polityczne i znalazły się pod kuratelą władz brytyjskich i organizacji międzynarodowych. Coraz aktywniej poczynały sobie władze komunistyczne, które wysłały do Afryki misję repatriacyjną. Jej członkowie spotykali się jednak w osiedlach z otwartą wrogością. Doszło do ostrego konfliktu, bo władze w Warszawie domagały się „oddania” polskich sierot z afrykańskich osiedli, czemu zdecydowanie sprzeciwiały się polskie komitety opiekuńcze.

### Marzenia o dominium

Tymczasem wśród polskich polityków przebywających w Londynie rodziły się fantastyczne projekty, których realizacja miała zatrzymać Polaków w Afryce.

Generał Marian Januszajtis proponował podjęcie rozmów z rządem brytyjskim na temat utworzenia Dominium Polskiego w ramach imperium brytyjskiego. Ta nowa jednostka terytorialno-polityczna miała uzyskać pełną niezależność polityczną, gospodarczą i kulturalną, a nawet prawo posiadania własnych sił zbrojnych. Na jej terenie mieli zostać skoncentrowani wszyscy Polacy, którzy znaleźli się poza granicami Polski wskutek działań wojennych. Januszajtis szacował, że będzie to od trzech do pięciu milionów osób.

Inny projekt przewidywał powołanie Kompanii Polskiej pomyślanej jako prywatna spółka o charakterze społeczno-gospodarczym z ośrodkiem dyspozycyjnym przy Rządzie RP na Uchodźstwie. Pozwalałoby to uniknąć komplikacji na forum międzynarodowym, gdyż przewidywano, że otwarte postawienie sprawy zamorskich posiadłości dla polskich emigrantów może spowodować protesty w Warszawie i Moskwie.

To, czego nie dopowiedziano w obu tych projektach, otwarcie sformułował minister Wiktor Podoski w ściśle poufnym piśmie z maja 1945 roku. Proponował niezwłocznie podjąć starania o uzyskanie przez Polskę jednego

z krajów afrykańskich, najlepiej spośród byłych kolonii niemieckich (Tanganika, Kamerun, Afryka Południowo-Zachodnia), które po I wojnie światowej stały się terytoriami mandatowymi Ligi Narodów, zarządzanymi przez Wielką Brytanię i Unię Południowej Afryki. Przypuszczał nawet, że Brytyjczycy zgodzą się „odstąpić” Polakom jedną ze swoich kolonii, na przykład Kenię. Podoski był przekonany, że jego projekt ma duże szanse powodzenia, bo podobno słowa zachęty dla polskich planów kolonialnych usłyszał z ust liczących się polityków brytyjskich.

To, o czym polscy politycy emigracyjni dyskutowali w zaciszu gabinetów, stało się przedmiotem otwartej debaty publicystów i zdymisjonowanych wojskowych. Podpułkownik Stanisław Pstrokoński lansował teorię, że Rząd RP na Uchodźstwie powinien domagać się od Brytyjczyków zagwarantowania emigracji polskiej specjalnego „statutu narodowego” opartego na własnym obszarze osiedleńczym w ramach Wspólnoty Brytyjskiej lub powstałej po wojnie Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jako wzór podawano zakończone sukcesem starania Żydów o utworzenie własnej siedziby narodowej w Palestynie. Pstrokoński, tak jak Podoski, myślał głównie o byłych koloniach niemieckich w Afryce, ale nie wykluczał pozyskania którejś z kolonii włoskich (Libia, Somalia).

► Wizyta brytyjskiej rodziny królewskiej w Oudtshoorn w 1947 roku

Fot. ze zbiorów E. Tangalskiego





Wszystko to okazało się nierealne. Polscy politycy w Londynie stracili poczucie rzeczywistości. Nie dostrzegali, że stare mocarstwa kolonialne znalazły się w odwrocie i że w koloniach narastał ruch wyzwolenczy. Zaczynała się era dekolonizacji, która w ciągu zaledwie kilkunastu lat miała doprowadzić do rozpadu starych imperiów kolonialnych. Działo się to zresztą często z inspiracji nowych supermocarstw: Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego, które podzieliły wkrótce cały świat na strefy własnych wpływów.

Z planów polskich polityków emigracyjnych nic wyjść nie mogło, a polska diaspora w Afryce w większości opuściła ten kontynent.

### Rozsiani po świecie

Rozsiedlenie polskich uchodźców z najliczniejszych afrykańskich osiedli trwało długo, aż do początku lat pięćdziesiątych. Tylko ok. 20 proc. uchodźców wróciło do Polski. Większość wyjechała do Wielkiej Brytanii w ramach akcji łączenia się z krewnymi, żołnierzami 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa. Znaczące grupy wyjechały do USA, Australii i Kanady. Na miejscu w Afryce pozostało około tysiąca osób, które uzyskały pozwolenie na zamieszkanie tu na stałe w ramach specjalnych kwot osiedleńczych.

► Polacy opuszczają gościnną Afrykę



Fot. NAC

► Książę Eustachy Sapieha, delegat PCK w Nairobi, minister spraw zagranicznych RP w latach 1920–1921

O stosunku Polaków do repatriacji najlepiej świadczą dokumenty zachowane w archiwum narodowym w Pretorii. W Kapsztadzie 19 września 1946 roku odbyło się przesłuchanie grupy trzydziestu polskich chłopców z osiedla w Oudtshoorn. Jego celem było wyjaśnienie ich podejścia do repatriacji. Przesłuchanie prowadziła specjalna komisja rządowa. Tylko trzech na trzydziestu chciało wrócić do Polski, dziesięciu zamierzało wystąpić o prawo stałego pobytu w Afryce Południowej. Największa grupa, licząca trzynaście osób, zamierzała pozostać w Afryce Południowej do czasu, gdy warunki w Polsce poprawią się na tyle,

że powrót będzie możliwy.

Władze południowoafrykańskie miały świadomość, że polska młodzież jest głęboko przywiązana do swojej ojczyzny. Urzędnik prowadzący rozmowy z polskimi chłopcami w Kapsztadzie był zdania, że byłoby rzeczą „niemądrą” przyspieszać proces ich asymilacji. „Oni nadal są Polakami i fakt ten nie powinien być ignorowany” – zapisano w oficjalnym dokumencie władz Unii Południowej Afryki. Władze tego kraju zezwoliły polskiej młodzieży na dalszy pobyt, zadbały też o jej wykształcenie i ułatwiły zawodowy start w dorosłym życiu.

Epopeja uchodźstwa polskiego ze Związku Sowieckiego nie zakończyła się szczęśliwym powrotem do kraju. Większość mieszkańców osiedli afrykańskich pozostała na obczyźnie. Osobliwie potoczyły się dalsze losy obu książąt Sapiehów. Leon, przebywający pod okupacją niemiecką, nigdy już nie miał ujrzeć swojej afrykańskiej plantacji. Zginął pod koniec wojny. Książę Eustachy Sapieha, którego wojenny los rzucił na Czarny Ląd, pozostał tam aż do śmierci w 1963 roku. Jego syn, książę Eustachy Seweryn Sapieha, który dołączył do rodziców w Kenii, zakochał się w Afryce i został zawodowym myśliwym. U schyłku życia wspominał: „Byłem wolny jak ptak. W Afryce znalazłem swój raj na ziemi”.

dr hab. Janusz Wróbel – historyk, pracownik OBEP IPN w Łodzi



Fot. ze zbiorów H. Pieńkasz

# Rzeczpospolita Kampinoska

Przemysław Wywiat

Sierpień 1944 roku kojarzy się nam najczęściej z bohaterskim zrywem powstańców warszawskich. Warto jednak pamiętać, że tuż pod Warszawą żołnierze Armii Krajowej wyzwolili w tym czasie skrawek Polski, tworząc Niepodległą Rzeczpospolitą Kampinoską.

*O Panie, któryś jest na niebie,  
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń,  
Wołamy z puszczy dziś do Ciebie,  
O polski dach, o polską broń.*

**D**uża część Puszczy Kampinoskiej podlegała VIII Rejonowi Młociny-Łomianki („Łęg”) VII Obwodu „Obroża” Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej. Od września 1941 roku VIII Rejonem dowodził kpt. Józef Krzyczkowski „Szymon”. Pozostała część puszczy wchodziła w skład Obwodu Sochaczew AK, obejmując teren leżący poza Generalnym Gubernatorstwem i należący już do Rzeszy.

W lipcu 1944 roku, w obliczu zbliżającego się frontu, podjęto w VIII Rejonie intensywne przygotowania do walki. Uzupełniano stany osobowe oddziałów, kompletowano broń i amunicję, aktualizowano plany wykonania zadań powstańczych. Miejscem koncentracji stał się las opaleński między Wólką Węglową a Laskami; kpt. „Szymon” wraz ze sztabem kwaterował w domku myśliwskim w Opaleniu. Podporządkowane mu siły liczyły – przynajmniej teoretycznie – około 1100 żołnierzy, w tym 130 kobiet

z Wojskowej Służby Kobiet. W rzeczywistości kpt. „Szymon” dysponował ok. 350–400 słabo uzbrojonymi ludźmi. W ramach wsparcia powstania w Warszawie siły te miały zdobyć lotnisko bielańskie, opanować placówki niemieckie w terenie i zamknąć szosę Warszawa–Modlin w celu osłony stolicy.

Jakież musiało być zdumienie „Szymona”, kiedy 26 lipca otrzymał meldunek: „Do Dziekanowa przybył duży, kilkusetosobowy oddział żołnierzy polskich, umundurowanych w przedwojenne polskie mundury i czapki z orzełkami. Oddział składa się z piechoty i kawalerii; są dobrze uzbrojeni. Mówią po kresowemu. Po przybyciu rozstawili na wszystkie strony placówki z bronią maszynową. W rozmowach z ludnością powiadają, że są aż z Puszczy Nalibockiej, przemknęli się między cofającymi się wojskami niemieckimi i doszli do okolic Warszawy”. Kim byli ci mówiący „po kresowemu” żołnierze, którzy pojawili się w Dziekanowie Polskim?

## Kresowi żołnierze

Polski Oddział Partyzancki, który był zaczątkiem Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego AK, walczył z Niemcami i białoruską policją od roku 1943. Niestety, szybko okazało się, że niebezpieczeństwo czyha również ze strony działającej w województwie nowogródzkim partyzantki sowieckiej. W grudniu 1943 roku dowódców Polskiego Oddziału Partyzanckiego zaproszono na naradę do dowódcy Zgrupowania Brygad Partyzantki Sowieckiej płk. Grigorija Sidoroka „Dubowa”. Część z nich podstępnie uwięziono i wywieziono do Moskwy, skąd wrócili dopiero w 1948 roku. Po pozostałych ślad zaginał.

Kilkudziesięciosobowej grupie partyzantów z cichociemnym ppor. Adolfem Pilchem „Górą” udało się wymknąć Sowietom i utrzymać w Puszczy Nalibockiej. Dla miejscowej ludności byli jedyną ochroną przed grabieżami i mordami, których dopuszczała się sowiecka partyzantka i różne bandy uciekinierów z obozów i gett. Dla niewielkiego ▶

▶ Patrol kawalerii pod dowództwem por. Adolfa Pilcha (drugi od prawej)



Fot. AIPN

► Spotkanie żołnierzy por. Tadeusza Gaworskiego z patroliem kawalerii por. Pilcha

oddziału, ocalałego z pogromu, zadanie to byłoby niewykonalne bez natychmiastowego uzupełnienia brakującej broni i amunicji. W tej sytuacji ppor. „Góra”, uzyskawszy akceptację Komendy Okręgu AK „Nów”, przyjął propozycję Niemców zawieszenia walk i kwatowania we wsiach w pobliżu Iwieńca na prawach oddziałów samoobrony. Niemcy traktowali odtąd polski oddział tak jak samoobronę białoruską, walczącą z partyzantką sowiecką i bandami. Polacy mogli też otrzymywać (kupować) od nich broń i amunicję. Umożliwiło to im odtworzenie zdolności bojowej i skuteczną ochronę ludności polskiej do końca czerwca 1944 roku.

Pod koniec czerwca, gdy zbliżał się front wschodni i zaistniało realne zagrożenie ze strony Armii Czerwonej, dowództwo Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego AK podjęło decyzję marszu na zachód. Wymarsz rozpoczęto 29 czerwca, a zgrupowaniu towarzyszyła kolumna około 150 wozów, na których opuszczała te tereny część polskich rodzin. Rodziny te rozlokowano pod Bielskiem Podlaskim.

W ostatnich dniach czerwca (od 29) i w lipcu oddziały por. „Góry” dokonały niezwykłego rajdu, pokonując setki kilometrów w terenie zajęтым przez Niemców. W tym czasie stoczono kilka potyczek zarówno z partyzantką sowiecką, jak i Niemcami i kolaborującymi z nimi formacjami rosyjskojęzycznymi. 25 lipca kolumna została zatrzymana przez Niemców w Nowym Dworze Mazowieckim

przy próbie przejścia mostu przez Wisłę. Podjęto negocjacje, w trakcie których powoływano się na wspólną walkę z Sowietami. „W pewnej chwili – jak wspominał por. »Góra« – nieoczekiwanie pertraktacje przerwał chorąży »Wyżeł« – Stefan Andrzejewski. Wyprężony jak struna spytał po niemiecku, regulaminowo pułkownika Bibera, czy może się zwrócić do jednego z oficerów niemieckich. Zdziwiony Herr Oberst (pan pułkownik) skinął głową, a Wyżeł zameldował majorowi von Jaster Valdanowi, że rozpoznaje w nim swojego przełożonego z lat pierwszej wojny światowej. Walczyli wówczas razem na francuskim froncie, służąc w tym samym regimencie. Być może to właśnie przypadkowe spotkanie towarzyszy broni z czasów cesarza Wilhelma zaważyło na podjęciu oczekiwanej przez nas decyzji, przejścia na tamten brzeg Wisły”. Po bezpiecznym przekroczeniu mostu rankiem 26 lipca oddziały wkroczyły do Dziekanowa Polskiego. W ich skład wchodziły: batalion piechoty, cztery szwadrony kawalerii, szwadron ciężkich karabinów maszynowych, służba kwatermistrzowska, żandarmeria oraz szpital – łącznie 861 osób. Zgrupowanie posiadało 589 koni, 320 siodła, 185 wozów i 8 taczanek. Żołnierze byli umundurowani według przedwojennych regulaminów i bardzo dobrze uzbrojeni.

Ich pojawienie się na przedpolu Warszawy wywołało wielkie zaskoczenie. Nie mniej niż kpt. „Szymon” było zdziwione dowództwo obwodu „Obroża”, które rozważało rozbrojenie oddziału por. „Góry” siłą lub odkupienie od niego broni. Również Komenda Główna AK patrzyła podejrzliwie na żołnie-

rzy kresowych, zamierzając nawet oddać por. „Górze” pod sąd za jego „sojusz” z Niemcami. Ostatecznie jednak, głównie ze względu na ich siłę i doskonałe wyekwipowanie, żołnierze Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego zostali podporządkowani kpt. „Szymonowi” i otrzymali rozkaz marszu w głąb Puszczy Kampinoskiej, w okolice wsi Wiersze i Truskawka. Już 31 lipca żołnierze por. „Góry” udowodnili swój patriotyzm i chęć do walki z Niemcami, rozbijając kompanię Wehrmachtu stacjonującą w Aleksandrowie.

### Godzina „W”

Rozkaz wyznaczający godzinę „W” dowódca VIII Rejonu kpt. „Szymon” otrzymał 1 sierpnia ok. 15.00, czyli zaledwie dwie godziny przed planowanym rozpoczęciem działań powstańczych. Niestety, w tak krótkim czasie nie udało się ściągnąć w miejsce koncentracji wszystkich sił, którymi dysponował VIII Rejon. Mimo to podjęto – wspólnie z oddziałami z Żoliborza i Bielan – próbę zdobycia lotniska bielańskiego. Broniący lotniska niemieccy żołnierze, wspierani przez gniazda ckm i artylerię, odparli atak. Podobnym wynikiem zakończył się szturm przeprowadzony w nocy z 1 na 2 sierpnia, ale 3 sierpnia rozbito kompanię Wehrmachtu pod Truskawką.

Po przemieszczeniu oddziałów w głąb Puszczy Kampinoskiej kpt. „Szymon” wydał rozkaz nowej koncentracji. Ponieważ sam został ranny w ataku na Bielan, zastąpił go por. „Góra”, który przyjął pseudonim „Dolina”. Decyzją KG AK z 11 sierpnia z wszystkich oddziałów AK przebywających na terenie Palmir,

Młocin i Puszczy Kampinoskiej został sformowany pułk „Palmiry-Młociny”.

Wkrótce nastąpił napływ oddziałów i pojedynczych żołnierzy z innych obwodów i rejonów Okręgu Warszawskiego AK, które z różnych powodów nie mogły kontynuować swoich zadań powstańczych. W ten sposób powstało Zgrupowanie AK „Kampinos”, którego dowódcą został mjr Alfons Kotowski „Okoń”. Narzucony dowódca nie zdobył uznania wśród oficerów i żołnierzy: narzekano na jego gwałtowny charakter, złe traktowanie podwładnych oraz brak fachowości w dowodzeniu.

Utworzono obóz warowny, obejmujący kilkanaście wsi. Dowództwo stacjonowało we wsi Wiersze. Jak podkreśla żołnierz AK i historyk kampinoskich partyzantów, Jerzy Koszada „Harczer”, „[...] był to teren wolny od okupanta. Po tej stronie Wisły, obok Warszawy, był pierwszym terenem wyzwolonym przez oddziały Armii Krajowej. Przez cały okres Powstania teren ten był dla Niemców niedostępny i skutecznie blokował swobodę ruchów wojsk na ważnym odcinku zaplecza frontu, szczególnie swobodę komunikacji na najkrótszym dla nieprzyjaciela szlaku komunikacyjnym Leszno–Modlin”.

### Działania powstańcze

Podejmowane przez Polaków wypadki na stacjonujące w okolicy oddziały niemieckie oraz walki w obronie terenu opanowanego przez zgrupowanie wiązały znaczne siły niemieckie. „Obok zdobywania broni, amunicji i ekwipunku, staramy się wszelkimi sposobami nękać wojska nieprzyjacielskie, aby odciążyć walczącą Warszawę – pisał potem por. »Dolina«. – Staramy się kontrolować wszystkie szlaki drogowe prowadzące do Stolicy, niszcząc transporty samochodowe i łączność nieprzyjacielską”.

Wśród akcji zbrojnych przeprowadzonych w sierpniu i wrześniu należy wymienić walki obronne pod Pocięchą (30 sierpnia – 2 września), uderzenie na oddział RONA w Truskawiu (2/3 września), atak na Marianów

(3/4 września), zniszczenie zaopatrującego Niemców tartaku w Piaskach Królewskich (6 września), walki obronne placówek pod Brzozówką (10 i 22 sierpnia), Kiściennym (29 sierpnia), Roztoką (1 września) oraz na przedpolach Pocięchy (16 września), walki na Dworcu Gdańskim (20/21 i 21/22 sierpnia).

Zgrupowanie AK „Kampinos” wykonało rozkaz gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego z 14 sierpnia 1944 roku, wysyłając do Warszawy dobrze uzbrojone oddziały. Pierwsze uderzenie – mające doprowadzić do połączenia Żoliborza i Starego Miasta – nastąpiło w nocy z 20 na 21 sierpnia na Dworzec Gdański. Zostało powstrzymane przez zmasowany ogień niemieckiej artylerii i broni maszynowej, który zdziesiątkował nacierających powstańców (poległo ich ponad stu). Na porażce zaważyły również błędy w dowodzeniu i brak poważniejszego wsparcia ze strony oddziałów żoliborskich. Drugie uderzenie nastąpiło w nocy z 21 na 22 sierpnia. Niestety, nacierające oddziały kampinoskie i żoliborskie zostały zdziesiątkowane: zginęło ok. 350–450 żołnierzy Zgrupowania AK „Kampinos”, a stu zostało rannych. Żołnierze z Kresów zapłacili ogromną daninę krwi, idąc na pomoc walczącej stolicy. Część z nich wróciła do puszczy, a około dwustu pozostało na Żoliborzu, biorąc udział w późniejszych walkach powstańczych.

### Skrawek wolnej Polski

Wyzwolony przez partyzantów teren Puszczy Kampinoskiej obejmował wsie: Ławy, Łubiec, Roztokę, Kiścinnie, Krogulec, Wędziszew, Brzozówkę, Truskawkę, Janówek, Pocięchę, Zaborów Leśny oraz Wiersze, gdzie stacjonowało dowództwo zgrupowania. Ponadto w zasięgu władzy powstańczej znalazły się miejscowości: Aleksandrów, Augustówek, Buda, Cybulice, Czeczotki, Grabina, Izabelin, Janów-Mikołajówka, Jesionka, Kaliszki, Kępiaste, Laski, Łosia Wólka, Małowice, Mariew, Marianów, Palmiry, Rybitew, Sadowa, Sieraków, Sowa Wola, Truskaw, Wólka Czosnowska, Wrzosówka i Zaborówek.

Przywołajmy ponownie słowa Jerzego Koszady: „Zaistnienie i trwanie przez dwa miesiące w sercu Puszczy Kampinoskiej skrawka Wolnej Polski było wydarzeniem nie mniej doniosłym niż działania zbrojne. Ludność miejscowa przyjęła powstańców jak niosących wolność żołnierzy Rzeczypospolitej, oczekiwanych od września 1939 roku. Wszyscy czuli się tu jak w Polsce niepodległej”. Z tych powodów teren ten zaczęto nazywać Niepodległą Rzeczpospolitą Kampinoską.

Powstańcy spotkali się z dużą życzliwością miejscowej ludności. Mimo że problemem stało się wyżywienie żołnierzy, nie przeprowadzano darmowych rekwizycji, starając się płacić za pozyskiwane produkty. Często ludność za darmo dostarczała żołnierzom znaczne ilości żywności. Źródłem zaopatrzenia partyzanckich oddziałów były również produkty żywnościowe zdobywane z magazynów zorganizowanych przez Niemców. Dużą pomoc partyzanci otrzymywali także od zaangażowanych w konspirację leśników.

Kompania radiotelegraficzna „Orbis” KG AK zorganizowała tutaj ośrodek radiowy, który był konieczny ze względu na plany wykorzystania tych terenów do odbioru zrzutów oraz ewentualne- ▶

▶ Rozdzielanie zdobytej we wsi Truskaw odzieży wśród okolicznych mieszkańców i uchodźców z Warszawy





Fot. AIPN

► Dzielenie czaszy spadochronu na potrzeby odzieżowe; na pierwszym planie por. „Lawa”

go lądowania polskiej Samodzielnej Brygady Spadochronowej gen. Stanisława Sosabowskiego. W ciągu dwóch miesięcy partyzanci otrzymali 22 zrzuty. Spadochroniarzom gen. Sosabowskiego niestety nie dane było walczyć o Stolicę.

### Lengyel, magyar két jó barát!

Latem 1944 roku Niemcy próbowali utworzyć kordon złożony ze sprzymierzonych z nimi Węgrów, którym oddzieliłby Warszawę od Puszczy Kampinoskiej i Lasów Chojnowskich. Szybko jednak okazało się, że Węgrzy nie chcieli walczyć z polskimi oddziałami; co więcej – pomagali im (pisaliśmy o tym w nr. 4–5 „Pamięci.pl”). Kilkudziesięciu węgierskich żołnierzy dołączyło do oddziałów polskich i na dziedzińcu szpitala powstańczego w Laskach odbył się niezwykle koncert węgierskiej orkie-

stry grającej polskie melodie wojskowe: „Ktoś grał marsza za marszem, całą wiązanekę – jak w czasach, gdy polski żołnierz nosił swój miły oku mundur i trzymał broń w garści – wspominał potem kpt. »Szymon«. – Ludzie szaleją – nie wiedzą, co czynić!”

### Kłęska pod Jaktorowem

Pod koniec września Niemcy postanowili rozbić polskie oddziały stacjonujące w Puszczy Kampinoskiej. Major „Okoń” zarządził wymarsz w kierunku Gór Świętokrzyskich. W ślad za kolumną liczącą 2 tys. partyzantów i trzysta wozów taborowych ruszyły niemieckie siły pancerne i zmotoryzowane. 29 września „Okoń” popełnił tragiczny błąd: przerwał marsz przy linii kolejowej Warszawa–Żyrardów w pobliżu Jaktorowa i zarządził odpoczynek na otwartej przestrzeni. Mimo że większa część kadry próbowała przekonać niepopularnego dowódcę do zmiany decyzji i że do oddziału dotarła wiadomość o tym, iż nieprzyjaciel zaczął obsadzać linię torów, mjr „Okoń” nie zgodził się na wymarsz. Tak wspomina tę sytuację ks. Jerzy Baszkiewicz „Radwan II”: „Właśnie przechodził wtedy mjr »Okoń«. Podszedłem do niego i referuję opinię oficerów, a równocześnie akcentuję konieczność natychmiastowego wymarszu z kotła. W odpowiedzi usłyszałem stek ordynarnych słów, a równocześnie ręka »Okonia« sięgnęła do kabury – zawarczał: »Zabiję cię, klecho!«. Oficerowie chwycili za broń. »Okoń« zreflektował się”. Posta-

wa dowódcy doprowadziła do tego, że Niemcy, którzy szybko zajęli dogodną pozycję do ataku, wspierani ogniem pociągu pancernego i samolotów, w zażartej walce rozbili polskie zgrupowanie. Zginął również „Okoń”. Była to największa bitwa partyzancka w II wojnie światowej po tej stronie Wisły.

Po klęsce największą ocalałych zgromadził wokół siebie por. „Dolina”, który poprowadził ich w Góry Świętokrzyskie, gdzie kontynuowali walkę. Niewielka grupa ok. stu partyzantów pozostała w Puszczy Kampinoskiej.

W sierpniu i wrześniu 1944 roku Zgrupowanie AK „Kampinos” zadało Niemcom dotkliwe straty: poległo 1200 żołnierzy, a 460 zostało rannych. W tym czasie zginęło dziewięciuset partyzantów, pięciuset odniosło rany.

Po zakończeniu II wojny światowej wielu żołnierzy Armii Krajowej było represjonowanych przez władze komunistyczne. Bojówki Polskiej Partii Robotniczej zdewastowały nawet cmentarz partyzancki w Wierszach. Dopiero po odwilży 1956 roku kombatanci zaczęli organizować skromne uroczystości rocznicowe, a po 1989 roku mogły powstawać pomniki i tablice upamiętniające czyn powstańczy. Przykładem może być odsłonięty 22 sierpnia 2004 roku pomnik Niepodległej Rzeczypospolitej Kampinoskiej w Wierszach. ■

dr Przemysław Wywiół – historyk, pracownik Muzeum Armii Krajowej w Krakowie i Akademii Obrony Narodowej, sekretarz Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego; zajmuje się historią wojskowości i ruchu niepodległościowego

► Wymarsz Zgrupowania AK „Kampinos” do walczącej Warszawy



Fot. AIPN

# Polscy jeńcy wojenni w ZSRS

Adam Kaczyński

W polskiej świadomości historycznej temat jeńców wojennych schwytanych w 1939 roku przez Sowietów kojarzy się zwykle ze Zbrodnią Katyńską, natomiast losy kilkudziesięciu tysięcy podoficerów i szeregowych uwięzionych w łagrach pozostają nieznane nawet wielu zawodowym historykom. Jedną z takich „białych plam” jest historia budowy przez Polaków linii kolejowej Kotłas–Workuta – i los prawie ośmiu tysięcy polskich jeńców skazanych na powolną śmierć w mroźnej tajdze.

**P**o klęsce wrześniowej w ręce Sowietów dostało się prawie 300 tys. polskich żołnierzy. Po odseparowaniu oficerów okupanci rozpoczęli zwalnianie szeregowych żołnierzy i podoficerów, jednakże 25 tys. uwięzionych postanowiono wykorzystać do niewolniczej pracy w kopalniach, przy budowie dróg i kolei. Według oficjalnych danych, nieco ponad 500 jeńców przekazano Niemcom, 14 tys. zatrudniono przy budowie szosy Lwów–Nowogród Wołyński, a 11 tys. skierowano do prac w podległych Ludowemu Komisarjatu Metalurgii kopalniach w Krzywym Rogu i Zaporozu. Po kilku miesiącach wyczerpującej pracy jeńcy z kopalń zostali „odebrani” Ludowemu Komisarjatu Metalurgii i przekazani do dyspozycji NKWD.

## SiewŻielDorŁag

Odkrycie bogatych złóż węgla kamiennego w rejonie Workuty stanowiło milowy krok w eksploatacji dalekiej



Fot. D. Greszczuk

► Ruiny sowieckiego karceru SiewŻielDorŁagu

północy Związku Sowieckiego. „Podboju” tego dokonywały setki tysięcy więźniów Gułagu, którzy zostali zapędzeni do niewolniczej pracy. Jedną z kluczowych inwestycji stała się budowa linii łączącej nowo powstające kombinaty górnicze z istniejącą siecią kolejową. Ambitne plany przygotowane w zaciszu kremłowskich gabinetów zakładały budowę w rekordowym tempie prawie 1500 km torów. Aby sprostać wyzwaniu, wiosną 1940 roku do dyspozycji odpowiadającego za budowę SiewŻielDorŁagu (Obozu Północnej Linii Kolejowej) skierowano dodatkowo 135 tys. więźniów, w tym ponad 8 tys. polskich jeńców.

► Polscy żołnierze i policjanci w niewoli sowieckiej, wrzesień 1939 roku

Pierwsze wagony kolejowe z polskimi jeńcami dotarły do Kotłasu w maju 1940 roku. Wycieńczeni wielomiesięczną katorżniczą pracą w kopalniach oraz podróżą w fatalnych warunkach Polacy zostali rozdzieleni pomiędzy poszczególne obozy rozmieszczone wzdłuż całej linii kolejowej prowadzącej od Konoszy, poprzez Kotłas i dalej w stronę dorzecza Peczory. Warto podkreślić, że jeńców traktowano tak jak więźniów kryminalnych. Jeszcze przed załadunkiem do wagonów odbierano im wszystkie rzeczy osobiste, w tym także manierki, menażki i kubki. Konfiskowano również pasy i wszelkie inne przedmioty – nawet szczotki do butów. ►

Fot. AIPN



Transporty z Polakami konwojował znany z brutalności 228. pułk wojsk konwojowych NKWD. Co ciekawe, do SiewŻełDorŁagu oddelegowano jako „specjalistę od spraw polskich” byłego zastępcę naczelnika obozu w Ostaszko- wie A. Sokołowa.

### Koszmar Północy

Znęcanie się nad jeńcami rozpoczęło się zaraz po wyładunku. Polakom słoczonym w ciasnych pomieszczeniach – bądź też pod gołym niebem – nie dano nawet wody. Podczas selekcji do dalszego transportu nie zwracano uwagi na stan zdrowia, w rezultacie czego już na początku drogi na miejsce katorgi zmarło ośmiu jeńców, a dwudziestu w bardzo ciężkim stanie zdjęto z barek w portach w Ust Wymi i Kniaz Pogostie.

O sytuacji, w jakiej znaleźli się jeńcy, dowiadujemy się z licznych raportów NKWD. Nawet doświadczeni czekiści z wieloletnią łagrową praktyką byli wstrząśnięci położeniem Polaków, których po prostu wyrzucono w głuchej tajdze. Jeńcy zostali zmuszeni do budowania prowizorycznych ziemianek. Nieliczni szczęśliwcy, którzy otrzymali dach nad głową, często nie mieli lepiej. Oto fragment jednego z raportów: „Śpią na gołych narach zrobio-

nych z okrągłaków, baraki przeciekają, łaźnie dopiero zaczęły budować, lazaret też, normy wyżywienia jak dla więźniów [...], brakuje nawet słomy”. Na przystani Ankino jeńców po wyładowaniu z barek rozmieszczono w stajniach i chlewach.

Zastępca naczelnika podobozu nr „2” Paramonow żalił się na nieprawidłowe wykorzystywanie jeńców. Raportował, że na podległym mu odcinku tysiąc osób wysłano piechotą do tajgi, po czym przez kilka dni pozostawiono ich pod gołym niebem. W rezultacie prawie wszyscy zachorowali i nie nadawali się do jakiegokolwiek pracy. Z innego raportu dowiadujemy się, że na południowym odcinku budowy do tajgi wysłano 1500 osób, które przez kilka dni trzymano na deszczu, po czym z powrotem na piechotę odprawiono ich do łagru. Pomimo nieokreślonego statusu prawnego jeńcy byli traktowani znacznie gorzej niż zwykli więźniowie. Na mocy rozporządzeń komendantury łagru zostali objęci całkowitym zakazem korespondencji i otrzymywania paczek. W przypadku śmierci nie informowano nawet rodziny i Czerwonego Krzyża. Konwojentom rozkazano staranne izolowanie jeńców od innych więźniów i ludności miejscowej, w tym także od Polaków

zesłanych w ramach wielkich wywózek z roku 1940.

Długość dnia pracy każdorazowo ustalał naczelnik SiewŻełDorŁagu, przy czym oficjalnie zakazano wykorzystywania Polaków do prac lekkich. Średni czas pracy, nie wliczając w to dojazdu na miejsce robót, wynosił dziesięć godzin. Najczęstszym zajęciem powierzonym jeńcom był wyrąb tajgi, praca w kamieniołomach, sypanie nasypów kolejowych oraz budowa mostów na licznych rzekach i innych ciekach wodnych. Prace przerywano, jedynie gdy temperatura spadała poniżej minus 40 stopni.

Początkowo polskich jeńców rozmieszczono w trzech podobozach SiewŻełDorŁagu: w podobozie nr „1” w miejscowości Ankino – 1935 osób, w podobozie nr „2” w Czibie – 4173 osoby oraz w podobozie nr „5” w Mieżogie – 1787 osób. W lazaretach pozostawiono trzynastu chorych, resztę zaś pognano do katorżniczej pracy. Wśród jeńców, którzy trafili do SiewŻełDorŁagu, znajdowało się 3359 zawodowych wojskowych i 3805 rezerwistów. Najliczniejsze grupy narodowościowe stanowili Polacy – 5715 – i Białorusini – 1373. Wśród jeńców znaleźli się także Żydzi – 421 osób, Ukraińcy – 256, Rosjanie – 49,

► Polscy jeńcy pracujący przy wyrębie lasu



► Polscy jeńcy budujący linię kolejową Kotłas-Workuta

Litwini – 33, Niemcy – 9 oraz 10 osób innych narodowości, w tym nawet Amerykanin.

### Zmarli z wycieńczenia

Katorżnicza praca, której celem było fizyczne wyniszczenie więźniów, bardzo szybko przynosiła zamierzone przez Sowietów efekty. Oficjalnie do 1 listopada 1940 roku, a więc w ciągu niespełna pięciu miesięcy pobytu w SiewŻiełDorŁagu, zmarło osiemdziesięciu jeńców, a do końca 1940 roku – 109. Nie zważając na zatrważającą śmiertelność, czekiści starannie penetrowali wrogie środowisko. Wśród jeńców starali się wyłowić wszystkich członków partii i organizacji społecznych oraz osoby „wrogo nastawione do władzy sowieckiej”. Po kilkunastu tygodniach intensywnego rozpracowywania jeńców czekiści wyłapali 149 osób, w tym szesnastu byłych działaczy Komunistycznej Partii Polski, osiemdziesięciu członków Polskiej Partii Socjalistycznej i pięciu aktywistów żydowskiego Bundu. Do końca listopada 1940 roku liczba rozpracowywanych wzrosła do 318. Wyjątkowo ostro ścigano za „antsowiecką propagandę”, czyli wszystkie krytyczne wypowiedzi na temat ZSRS.

Wszelkie próby oporu ze strony jeńców były surowo karane. Za odmowę wyjścia do pracy nie tylko odbierano i tak wyjątkowo skromną porcję żywności, ale także bardzo często skazywano na karę karceru, który zazwyczaj był zwykłą jamą wykopaną w ziemi. Próby ucieczki na ogół kończyły się niepowodzeniem. Tylko w pierwszym półroczu 1941 roku schwymano i skazano na długoletnie wyroki w jeszcze bardziej oddalonych łagrach 32 jeńców. Czterech uciekinierów zaginęło bez wieści.

Sytuacja jeńców pogorszyła się drastycznie wraz z nastaniem chłódów. Brak ciepłej odzieży oraz fatalne warunki bytowe doprowadziły do nowej fali chorób i licznych odmrożeń. Stałe przrzucanie jeńców pomiędzy poszczególnymi odcinkami budowy sprawiało, że praca włożona w budowę ziemianek bardzo często szła na marne, gdyż ludzie ponownie byli wyrzucani w głuchej tajdze. W końcu 1940 roku jeńcy byli rozmieszczeni w podobozach nr „1”, „2”, „4”, „5”, „9” i „11”. Później część z nich przerzucono także do podobozu nr „7”. Najliczniejszym podobozem była okryta złą sławą „jedyńka”, w której przetrzymywano 1985 osób, podzielonych na cztery brygady robocze rozrzucone w tajdze na przestrzeni 70 km. Podobóz nr „1” słynął z wyjątkowo brutalnego traktowania jeńców, których nawet w nocy wyganiano do załadunku wagonów kolejowych, po czym o szóstej rano zmuszano do wychodzenia do zwyczajnej „pracy”, czyli wyrębu tajgi. Według relacji nielicznych ocalałych, praca przy wyrębie trwała do osiemnastej. Wyżywienie było wyjątkowo liche; bywało, że przez kilka kolejnych tygodni jeńcy otrzymywali jednie rozgotowaną kaszę jęczmienną, którą jedli z pustych puszek po konserwach.

Sytuacja była niewiele lepsza w podobozie nr „2”, gdzie więziono 1499 ludzi zatrudnionych w kamieniołomie i przy sypaniu nasypów. W podobozie nr „4” więziono 1299 osób, a w „5” – 1736. Nieco mniej liczne były pod-

obozы nr „9”, gdzie przetrzymywano 856 jeńców, i „11”, w którym przy budowie mostów i nasypów pracowało 467 osób.

Z każdym tygodniem jeńcy traciли siły i coraz bardziej podupadali na zdrowiu. W pierwszym półroczu 1941 roku zmarło siedemdziesiąt osób. Według oficjalnej statystyki SiewŻiełDorŁagu, w końcu kwietnia 1941 roku z 7754 pozostałych przy życiu jeńców do ciężkiej pracy fizycznej według i tak wyjątkowo wyśrubowanych gułagowskich norm nadawano się jedynie 1615 osób, do prac średnio ciężkich 3310, a do lekkich 1856. Reszta jeńców była już umierająca. Sytuację Polaków był zaniepokojony nawet naczelnik SiewŻiełDorŁagu P.K. Skorupenko, który w swojej karierze czekisty już niejedno widział. 22 kwietnia 1941 roku napisał pismo do Wasilija Czernyszowa, naczelnika Gułagu przy Ludowym Komisariacie Spraw Wewnętrznych, w którym alarmował o fatalnych warunkach przetrzymywania jeńców oraz proponował przeniesienie Polaków do obozów stacjonarnych. Oto fragmenty tego pisma: „Na budowie Północno-Peczorskiej Magistrali Kolejowej w SiewŻiełDorŁagu NKWD od lipca 1940 roku pracują 7772 osoby ►



– jeńcy szeregowi i podoficerowie byłej armii polskiej, [w tym] mieszkańców terenu ZSRS – 3970 i terenu odstąpionego Niemcom – 3802. Utrzymanie jeńców w SiewŻielDorŁagu względem reżimu, bytu, wyżywienia i wykorzystania do pracy nie odpowiada elementarnym wymogom.

Jeńcy nie są odizolowani od więźniów. Zdarzają się przypadki pobić, masowe kradzieże, groźby, oszukiwanie i złe wpływy ze strony elementów kontrrewolucyjnych na więźniów.

Niższa administracja obozu, personel gospodarczy i finansowy zarządzający jeńcami w znacznej części składa się z więźniów, w tym z tych skazanych za przestępstwa kryminalne.

W związku z tym, że budowa jest krótkoterminowa, jeńcy znajdują się w złych warunkach bytowych.

Wyżywienie niepełnowartościowe. Występują masowe zachorowania na cynge. W siódmym podobozie chorych na cynge jest 100 proc. jeńców, w rezultacie czego występuje wysoka śmiertelność [...].

Pismo Skorupenki, podobnie jak i inne raporty, pozostało bez odpowiedzi. Sytuację jeńców zmienił dopiero wybuch wojny niemiecko-sowieckiej i układ Sikorski–Majski. Na mocy amnestii pozostałych przy życiu jeńców przewieziono do obozu Jużskiego, a następnie drogą kolejową dostarczono na miejsce formowania

Armii Andersa. Według oficjalnych statystyk, podczas budowy linii kolejowej na Workutę zginęło w wypadkach i zmarło z wycieńczenia 179 jeńców, 51 aresztowano pod różnymi zarzutami i zesłano do dalej położonych łagrów. Ze względów operacyjnych (najprawdopodobniej za współpracę z NKWD) zwolniono osiem osób; czterech jeńców zbiegło i zaginęło bez wieści.

### Katastrofa w Urdomie

26 października 1940 roku w trakcie budowy linii kolejowej prowadzącej do Workuty doszło do wypadku. Do dziś na temat przebiegu i przyczyn katastrofy wiadomo niewiele. Dokumenty na ten temat sporządzone przez NKWD są nieosiągalne dla polskich badaczy, a nieliczne dostępne relacje pisemne nie podają zbyt wielu szczegółów. Pewne jest tylko to, że na grupę przemarzniętych polskich jeńców wracających z pracy najechały staczające się z górki wagony. Do tej pory nie wiadomo, w jaki sposób wagony zostały wprowadzone w ruch i dlaczego pozostawiono je na stoku górki bez należytego zabezpieczenia. Katastrofa na pewno nie miałaby tak drastycznych skutków, gdyby nie zbieg kilku okoliczności. Po pierwsze, do wypadku doszło na moście kolejowym, z którego nie było jak uciekać. Po drugie, staczające się z góry wagony nie wydawały żadnego dźwięku i co gorsza,

nadjechały od strony przeciwnej niż kierunek, w którym poruszała się kolumna jeńców. W chwili uderzenia zaskoczenie było całkowite.

Jedną z niewielu relacji na temat incydentu złożyła Maria Kazakowa – żona enkawudzisty pilnującego polskich więźniów: „Pamiętam, jak wydarzyła się ta katastrofa. Odczepił się wagon i poleciał na polskich jeńców. Dużo zginęło. Nam nie pozwolono podejść i okazać pomocy. Kobietom żał ich było”. Nieco więcej szczegółów podaje Józefa Dzyra, która jako mała dziewczynka zesłana wraz z rodziną na daleką północ niejednokrotnie nosiła pocztę i przesyłki dla jeńców: „Przy wieży ciśnień stały puste wagony towarowe – 50-tonówki. On [»opieratiwnik«] z czterema innymi strażnikami prowadzili po pracy całą kolumnę jeńców. Szli po torach czwórkami. I prawdopodobnie od drgań potrącanych szyn krokami maszerujących wagony ruszyły. Od wodociągu ku mostowi było z górki. Odległość 150–200 metrów, przez co z każdym ułamkiem sekundy wagony nabierały szybkości. Gdy weszli na most, właśnie nastąpiło uderzenie. Zginęli ci, co byli w tyle. Powstał tumult i wrzawa. Straszna kotłowanina. I tego »opieratiwnika« raczej uduszono. Ale tego nie udowodniono. On był wyjątkowo nieznośny dla więźniów”.

W Urdomie zginęli: Jan Białkowski, Michał Borus, Józef Cwalina, Józef Chmielewski, Józef Jankiewicz, Jan Górczyński, Jan Komorowski, Aleksander Kościuszek, Józef Markowski, Piotr Myszek, Jan Świdorski, Jan Zaręba oraz nieznanymi z imienia Kirszenbaum i Żywicki. Miejsce katastrofy bardzo szybko oczyszczono, a pozostałych przy życiu jeńców skierowano na inne odcinki budowy. Dziś o tym tragicznym wydarzeniu przypomina jedynie pomnik odsłonięty 14 sierpnia tego roku. 🇵🇵

► Pomnik w Urdomie (jego twórcy nie wiedzieli, że zginęli tu także Józef Chmielewski i Jan Komorowski)



Fot. D. Gneszczuk

Adam Kaczyński – historyk wojskowości, doktorant na Wydziale Historycznym UW, pracownik Wydziału Zagranicznego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, zajmuje się dziejami krajów byłego ZSRR

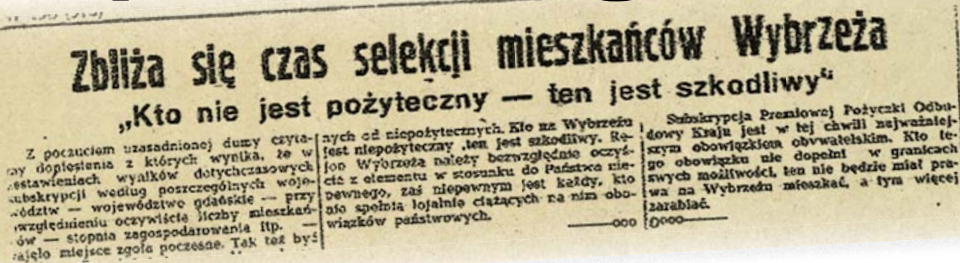
# Wysiedleni po raz drugi

Małgorzata Sokołowska

Wysiedlenia dotknęły Gdynię dwukrotnie. Po raz pierwszy w czasie II wojny światowej, gdy zaraz po włączeniu polskich ziem zachodnich do Rzeszy Niemieckiej władze okupacyjne wyrzuciły z miasta ponad 72 tys. mieszkańców. Po raz drugi do wysiedlania gdynian – często tych samych, którym ledwo udało się wrócić do rodzinnego miasta po wojennej tułaczce – zabrały się władze komunistyczne.

**G**dynia przedstawia sobą środowisko szczególnie zagęszczenia ośrodków wroga klasowego. Do Gdyni [...] z powrotem napłynęła cała różnorodność różnego rodzaju niedobitków reakcyjnych, pogrobowców dnia wczorajszego” – mówił 30 listopada 1949 roku tow. Hieronim Olejniczak, I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR. Mijał już czwarty rok wdrażania w życie wielkiej akcji „oczyszczenia rejonu Wybrzeża z wszelkiego niepożądanego elementu”.

Do akcji wysiedlania gdyńscy działacze komunistyczni przygotowywali się już w roku 1945, gdy tylko poczuli się w miarę pewnie na nowym dla siebie terenie. W lipcu 1945 roku prezydent miasta Henryk Zakrzewski w raporcie dla wojewody gdańskiego zaznaczył, że „Zarząd Miejski w Gdyni całkowicie popiera wnioski władz wojskowych w sprawie wysiedlania z okręgu administracyjnego miasta Gdyni wszystkich obywateli niezwiązanych istotnie z portem i samym miastem”. Za „zbyteczny element w mieście” Zakrzewski uznał osoby niepracujące



► Władze komunistyczne stosowały wobec „niepożądanych” mieszkańców Gdyni metody podobne do działań niemieckiego okupanta; tytuł artykułu z „Dziennika Bałtyckiego” z 10 września 1946 roku wiele mówi o atmosferze terroru i niepewności

i wielu spośród pracujących na własny rachunek.

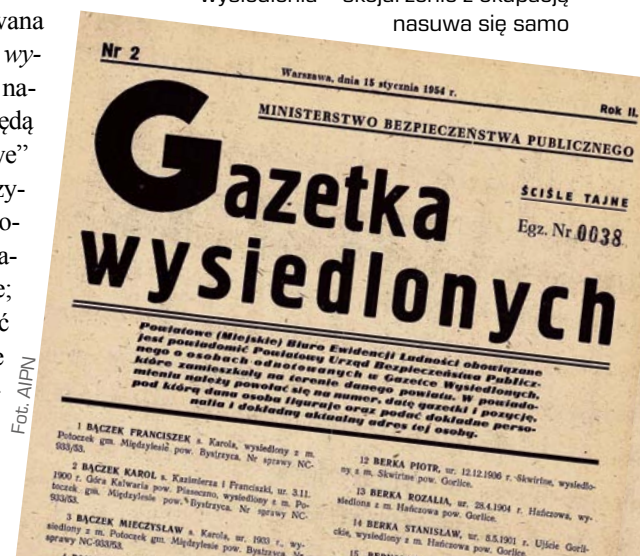
Jednym z aktywniejszych inicjatorów tych pierwszych wysiedleń był Kazimierz Rusinek, przedwojenny działacz PPS. Jako sekretarz generalny Komitetu Centralnego Związków Zawodowych wziął udział w naradzie, podczas której omawiano – jak podawała prasa – „aktualne sprawy wysiedlania elementu pasożytniczego z Wybrzeża”. Ustalono wówczas, że najpierw zostaną wysiedleni niepraktykujący lekarze i adwokaci oraz „wszelkiego rodzaju spekulanci” – jak nazywano niezależnych przedsiębiorców. W ten sposób nowe władze chciały złamać kręgosłup silnej w Gdyni klasy średniej.

Nad akcją wysiedleńczą czuwała Polska Partia Robotnicza. 30 sierpnia 1948 roku, podczas obrad Miejskiej Rady Narodowej, padła propozycja, by powołać Komisję Przesiedleńczą, a jej przewodniczącym uczynić Włodzimierza Zborowskiego – z zawodu ślusarza, z pasji aparatczyka partyjnego i ubeka. Niedługo potem została opracowana *Instrukcja o postępowaniu w akcji wysiedleńczej*, która przewidywała następującą procedurę: mieszkania będą lustrwane przez „komisje trójkowe” i jeśli okażą się ładne, zostaną przydzielone członkom związków zawodowych. Wysiedlony ma prawo zabrać ze sobą meble, ale tylko własne; meble ponemieckie musi zostawić na miejscu. O tym zaś, które meble są „ponemieckie”, zdecydują arbitralnie owe komisje.

Pod koniec 1948 roku, po kongresie zjednoczeniowym PPR i PPS, partia wzmogła „czujność rewolucyjną” i akcja wysiedleńcza nabrała rozmachu. Eugeniusza Kwiatkowskiego – delegata rządu ds. odbudowy Wybrzeża, przedwojennego wicepremiera i ministra – wyrzucono z mieszkania w Sopocie i wysiedlono z Wybrzeża w styczniu 1949 roku. Na pogrzeb matki, która mieszkała w Gdyni i zmarła w grudniu 1951 roku, otrzymał tylko kilkunastogodzinną przepustkę.

Na posiedzeniu Komitetu Miejskiego PZPR partyjnicy pouczali się wzajemnie, co należy robić, by wysiedlanie „wrogów klasowych” – a za takich byli uważani właścicieli wszyscy niepartyjni mieszkańcy Gdyni – nabrało tempa. Niejaki tow. Szafran domagał się, aby „wysiedleń nie dawać na piśmie”. Towarzysz Wójcicki proponował, by wywózki odbywały się w go-

► MBP wydało specjalną gazetę, w której publikowano nazwiska osób przeznaczonych do wysiedlenia – skojarzenie z okupacją nasuwa się samo



## INSTRUKCJA

o postępowaniu w akcji wysiedleńczej.

1. Komisje „Trójkowe” kustrujące mieszkania, składają protokoły do Komisji orzekającej 5-cio osobowej, która wydaje postanowienie.
2. W chwili powzięcia postanowienia o wysiedleniu komisja 5-ciu daje swoje orzeczenia do zatwierdzenia Prez. Miasta. Po zatwierdzeniu obejmuje referat graniczny celem dokonania dalszych czynności przewidzianych w rozp. wykonawczym.
3. Referat graniczny wysyłając przez M.O. postanowienie dla doręczenia według adresu osobie wysiedlanej, daje odpis do wydziału kwaterunkowego Komisji osiedleńczej i Urzędu Identyfikacyjnego dla umieszczenia w wykazie osób wysiedlonych.
4. M.O. doręczając lokatorowi postanowienie w wysiedleniu, zobowiązuje administratora domu i doroczę do powiadomienia M.O. o ewentualnym zwolnieniu mieszkania przed terminem przewidzianym w postanowieniu.
5. Referat graniczny, Wydział Kwaterunkowy, Komisja osiedleńcza i M.O. prowadzą każde dla siebie wykaz z osób, które otrzymały postanowienie o wysiedleniu. Wykaz zawiera: nazwisko i imię, ilość osób rodziny, adres dokładny, termin wysiedlenia, termin prologaty, wielkość mieszkania, data dokonania wysiedlenia, ewentualnie zmiana orzeczenia.
6. Prolongaty czy zmiany postanowienia dokonane przez Komisję Wojewódzką otrzymuje referat graniczny, wprowadza na swoim wykazie przesyła do wydziału kwaterunkowego, Komisji osiedleńczej i M.O., które wprowadzają te zmiany w swoich wykazach.
7. W przed dzień wykonania postanowienia referat graniczny powiadamia M.O. i wydział kwaterunkowy o terminie wysiedlenia ustalając o ile różności godzinę.
8. Wydział kwaterunkowy asystuje M.O. przy wykonaniu postanowienia, zakleja mieszkanie.
9. M.O. składa protokół z dokonania wysiedlenia łącznie z meldunkiem o zaklejeniu mieszkania do referatu granicznego.
10. Referat graniczny powiadamia o wykonaniu postanowienia i zwolnieniu mieszkania, wydział kwaterunkowy i Komisję osiedleńczą.
11. Komisja osiedleńcza przydziela mieszkanie według instrukcji O.K.Z.Z. kierując potentata do Wydziału Kwaterunkowego dla dokonania formalnego przydziału.
12. W wypadku gdy mieszkanie zostaje zwolnione przed terminem (lokator sam się usunął z Gdyni nie reklamując) administrator domu lub doroczę obowiązany natychmiast zawiadomć właściwy komisariat M.O. który powiadomi o tym referat graniczny, ten raz Wydział Kwaterunkowy i Komisję osiedleńczą, dla zabezpieczenia i osiedlenia.

Fot. AP Gdańsk

## ► Instrukcja dla tzw. komisji trójkowych

dzinach porannych i przy wsparciu milicjantów. Towarzysz Fijałkowski skarżył się zaś, że za skreślenie z listy wysiedleńczej są pobierane łapówki.

**Za co wysiedlano?**

Wysiedlano właściwie za wszystko: za „zły stosunek do klasy robotniczej”, zbyt mały entuzjazm wobec nowej rzeczywistości, za kontakty z obcokrajowcami, za rodzinę za granicą albo posiadanie ładnego mieszkania. Anonim, zatrzymanie przez UB, podejrzenie, za ledwie wszcęcie śledztwa – wszystko to było dostatecznym powodem do wysiedlenia całej rodziny, jeszcze przed sformulowaniem aktu oskarżenia. Na przykład we wrześniu 1950 roku ustalono, że za antyradzieckie hasła wymalowane na murach gmachu Zarządu Portu Gdańsk-Gdynia byli odpowiedzialni trzej chłopcy. Wszystkich trzech skierowano do domu poprawczego, a rodziców jednego z nich postanowiono wysiedlić.

Wysiedlano rodziny marynarzy, którzy nie wrócili do kraju. Przykładowo w 1953 roku Jan Ćwikliński, kapitan

„Batorego”, opuścił statek i prosił o azyl w Anglii, ponieważ dowiedział się, że po powrocie do Polski zostanie zatrzymany przez UB. Jego rodzina została wyrzucona z Gdyni z poleceniem osiedlenia się w Bieszczadach, a w przedwojennej willi Ćwiklińskich zamieszkał prominentny działacz partyjny.

Wysiedlano kupców i rzemieślników, np. zegarmistrza Józefa Kliksa. W październiku 1939 roku Niemcy wyrzucili go z rodziną z mieszkania i wysiedlili z miasta. Zarekwirowali mu też pracownię i towar dużej wartości. Gdy tylko wojna się skończyła, Kliks wrócił do swojego sklepu. Mozolnie odpracowywał wszystko, co utracił. W roku 1949 dostał

jednak administracyjny nakaz opuszczenia miasta w ciągu czternastu dni, podpisany przez prezydenta Zakrzewskiego. Wraz z żoną i czworgiem dzieci Kliks znalazł się bez środków do życia w Bydgoszczy.

Prześladowano księży i świeckich związanych z Kościołem. Na przykład w 1950 roku z Gdyni aresztowano ks. Hilarego Jastaka, dyrektora miejscowego okręgu „Caritas”, a także członków zarządu i kilka innych osób, w tym m.in. Jadwigę Rekowską z rodziną. Rekowskim odebrano przedtem sklep przy ul. Świętojańskiej.



Fot. NAC

## ► Eugeniusz Kwiatkowski

Prześladowano także bohaterów wojennych i ich rodziny. Wysiedlono np. żonę i córkę zamordowanego przez komunistów kmdr. Zbigniewa Przybyszewskiego, dowódcę „Błyskawicy” – kmdr. Bolesława Romanowskiego (po zwolnieniu z więzienia osiadł w Poznaniu) czy dowódcę Marynarki Wojennej – kontradm. Włodzimierza



Fot. NAC

## ► Konradmiral Włodzimierz Brunon Steyer

Brunona Steyera, który musiał wynieść się do Ostrołki, gdzie został starszym referentem jakiejś gminnej spółdzielni. Komandora Michała Borowskiego zmuszono do wyjazdu na Śląsk, gdzie udało mu się znaleźć etat w katowickim „Domu Książki”. Zmarł w 1968 roku w Bytomiu i dopiero trzydzieści lat później jego prochy pochowano z honorami wojskowymi na Wybrzeżu.

**Ilu gdynian wysiedlono?**

Dokładnej liczby wysiedlonych jeszcze nie ustalono. Dokumenty są rozrzucone po rozmaitych archiwach. W IPN są cztery zeszyty ogólnopolskiej „Gazetki wysiedlonych”, wydawanej przez UB w latach 1953–1954. W każdym z nich jedną trzecią nazwisk stanowią gdynianie (w sumie około pięciuset osób). A ilu decyzji – tak jak sugerował wspomniany tu tow. Szafran – nie dawano na piśmie? ■

Małgorzata Sokołowska – dziennikarka, autorka książki *Dni bezciastkowe. Gdynia w latach 1945–1956* (2011)

# Śmiertelne żniwo

Tomasz Gałwiazek

Latem 1963 roku we Wrocławiu doszło do ostatniej w dziejach Polski i Europy epidemii ospy prawdziwej.



► Ogarnięty epidemią Wrocław stał się miastem zamkniętym

**T**a podróż miała być rutynową kontrolą polskich placówek dyplomatycznych na Dalekim Wschodzie. Wiosną 1963 roku ppłk Bonifacy Jedynak, pracownik służb specjalnych PRL, gościł w Indiach. Nikt nie przypuszczał, że oprócz pamiątek oficer SB przywiezie do Polski wirusa ospy.

Jedynak powrócił do kraju 25 maja, lądując na lotnisku we wrocławskich Strachowicach. Cztery dni później źle się poczuł. Miał dreszcze, bóle mięśni, gorączkę, „dziwne zmiany trądzikowe” na twarzy, a na klatce piersiowej „wykwity o charakterze różyczki”. Do szpitala MSW przy ul. Ołbińskiej trafił 2 czerwca. Lekarze zdiagnozowali „nieznaną chorobę tropikalną”. Trzy dni później pobrano od niego próbki krwi, które przekazano do zbadania w Zakładzie Medycyny Tropikalnej w Gdańsku. Niestety, błędnie zdiagnozowano malarię. I to na nią pacjent był leczony w szpitalu. Już 15 czerwca wypisano go do domu. Była to,

jak się okazało, decyzja brzemienna w skutki.

Jeszcze tego samego dnia zachorowała salowa sprzątająca separatkę, w której leżał Jedynak. Diagnoza i tym razem była błędna: ospa wietrzna. Wkrótce do szpitala im. Ludwika Rydygiera we Wrocławiu trafiła dwudziestosiemioletnia córka salowej. Zauważoną wówczas wysypkę określono jako zmiany w przebiegu ostrej białaczki szpikowej. Lekarz Zbigniew Hora pisał po latach, że pacjentka „twarz miała obrzękłą, czarną od zastygłej krwi. Na skórze rąk i przedramion krwawe czarne pęcherze również przebijały czernią spod warstewki mąki, którą zamiast pudru posypano odkrytą skórę”. Te charakterystyczne objawy nie naprowadziły jednak pracowników służby zdrowia na właściwy trop.

Młoda kobieta zmarła 4 lipca. Przed śmiercią udała się jednak na ślub swojej krewniej, gdzie zakaziła około trzydziestu osób. Warto dodać, że na tej samej uroczystości był obecny kierownik zatrudniony w Komitecie Wojewódzkim

PZPR, który następnego dnia woził służbowym samochodem partyjnych notabli.

Niebawem do szpitala zakaźnego przy ulicy Piwnej trafił syn salowej oraz lekarz, który się nią opiekował. Przełom nastąpił 9 lipca w szpitalu im. Ludwika Rydygiera. Hospitalizowany tam z powodu wiatrówki czteroletni chłopiec, leczony od 24 czerwca, zachorował ponownie. Na jego ciele pojawiła się plamista wysypka, stopniowo przechodząca w grudki i pęcherzyki. Ponieważ na ospę wietrzną choruje się tylko raz, jasne się stało, że są to objawy innej, niezidentyfikowanej jeszcze wtedy choroby.

W tej sytuacji szpital objęto ścisłą kwarantanną. Reakcja uwięzionych w szpitalu pacjentów i personelu była gwałtowna. Ludzie wpadli w panikę. Część z nich odnalazła w piwnicach szpitala stare przejście i przedostała się po kryjomu do miasta. W pościg za nimi ruszyły zmobilizowane siły Milicji Obywatelskiej, które wyłapywały zbiegów. Ostatniego uciekiniera schwy- ►

tano dopiero po trzech dniach. Ukrywał się w piwnicach domów, a następnie na terenie ogródków działkowych, gdzie odnaleźli go funkcjonariusze MO. Zatrzymanie zbiega okazało się trudne, gdyż pluł on na milicjantów usiłujących do niego podejść. Po kilku godzinach krnąbrnego pacjenta ujęli wreszcie sprowadzeni w tym celu sanitariusze, których wyposażono w kombinezony ochronne.

Z tego samego szpitala uciekł także jeden z lekarzy, który przyłączył się do organizowanej przez Polski Związek Motorowy wycieczki do Bułgarii. Dopiero dzięki międzynarodowemu listowi gończemu został zatrzymany 26 lipca przez bułgarskie służby specjalne i odtransportowany do Polski.

Człowiekiem, który jako pierwszy zidentyfikował prawdziwą przyczynę niecodziennych zachorowań, był dr Bogumił Arendzikowski z Miejskiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej we Wrocławiu. Przeanalizował wszystkie fakty, powiązał je w logiczny łańcuch i postawił właściwą diagnozę: ospa prawdziwa (*Variola vera*).

### Czarna śmierć

Okres inkubacji tej niezwykle groźnej choroby wynosi z reguły od siedmiu do siedemnastu dni. Pierwsze jej objawy przypominają grype: występują dreszcze, wysoka gorączka, bóle w okolicy krzyżowo-lędźwiowej, wymioty, nieżyt górnych dróg oddechowych. Cechą charakterystyczną jest plamisto-grudkowa wysypka, zlokalizowana głównie na twarzy i kończynach. Po kilku dniach grudki przeradzają się w pęcherzyki. Te z kolei przechodzą w krosty, a następnie w strupy, które samoistnie odpadają, pozostawiając szpecące blizny.

U osób szczepionych ospa ma z reguły łagodny przebieg, a rokowania są pomyślne. Jeśli nie ma powikłań, chory stopniowo powraca do zdrowia. Bywa jednak i tak, że choroba przybiera gwałtowny przebieg, a lekarze są bezradni.

Ospa prawdziwa została w Polsce wytępiona w okresie międzywojennym dzięki wprowadzeniu powszech-

nych szczepień ochronnych oraz obowiązkowych kontroli służb sanitarnych. Od początku lat dwudziestych liczba chorych gwałtownie malała, a w latach 1938–1952 nie odnotowano już ani jednego przypadku zachorowania. Dopiero w 1953 roku na terenie Trójmiasta odnotowano trzynaście przypadków ospy; dwie osoby zmarły. W roku 1962 pojawiło się 29 nowych zachorowań, z których jednak żadne nie zakończyło się śmiertelnie. Tym większe było zaskoczenie, gdy rok później we Wrocławiu wybuchła epidemia na dużą skalę.

### Histeria i chaos

W tej sprawie dr Arendzikowski wystosował 15 lipca 1963 roku specjalne pismo do władz. Niemal natychmiast w mieście wprowadzono pogotowie epidemiczne. Uświadomiono sobie, że ospa grasuje we Wrocławiu już od

47 dni, a wirus śmiertelnej choroby przenoszony był nie tylko drogą kropelkową, ale także m.in. poprzez dotyk ubrań czy przedmiotów. W tej sytuacji konsekwencje mogły być trudne do przewidzenia. Należało zrekonstruować sekwencję kolejnych zachorowań, zaczynając od Bonifacego Jedynaka. Sytuację utrudniał fakt, że wyjazd oficera okryty był tajemnicą służbową, a Jedynak nigdzie nie figurował pod swoim nazwiskiem. Definiowano go jako N.N. W rubryce „zawód wykonywany” wpisano mu enigmatyczne: „urzędnik państwowy”.

Aby nie wzbudzać paniki wśród mieszkańców, władze początkowo nie informowały społeczeństwa o niebezpieczeństwie, zachowując powściągliwe milczenie. Tymczasem zagrożenie epidemią gwałtownie rosło, ponieważ tysiące osób żyło w zupełnej nie-



świadomości i niewiedzy, stykając się z chorymi.

Pierwszy komunikat prasowy Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Prezydium Miejskiej Rady Narodowej opublikowano 17 lipca. Zamieszczony na ostatnich stronach wrocławskich dzienników „Słowa Polskiego” i „Gazety Robotniczej” tekst delikatnie, by nie wywoływać paniki, informował, „iż w ciągu ostatnich kilkunastu dni zarejestrowano i objęto leczeniem szpitalnym pięć przypadków, w których dotychczasowy przebieg choroby **nie wyklucza możliwości ospy prawdziwej**”. Należy dodać, że w tym czasie chorowało już dwadzieścia osób.

Po ujawnieniu prawdy w mieście zapanały histeria i chaos. Wrocławianie, pozbawieni rzetelnej informacji, panicznie reagowali na wszelkie informacje o chorobie. W poczuciu zgro-

żenia dochodziło do dramatycznych scen, gdy tłum wylapywał przechodniów z widocznymi zmianami skórnymi. Przy ulicy Jedności Narodowej doszło nawet 2 sierpnia do próby linczu na kilkunastoletniej dziewczynce od lat chorej na egzemę. Obawa przed chorobą nie ominęła również pracowników służby zdrowia. Zdarzało się, że lekarze i sanitariusze odmawiali interwencji i udania się do chorego. Jeden z lekarzy – wyznaczony na kierownika izolatorium – bronił się siekierą przed zabraniami z domu, a później zabarykadował się w gabinecie.

Aby się przekonać, jak wygląda sytuacja we Wrocławiu, i ogarnąć panujący zamęt, 2 sierpnia do miasta przybyli minister Adam Rapacki, członek Biura Politycznego KC PZPR; dr Jerzy Sztachelski, minister zdrowia i opieki społecznej, oraz wiceminister

prof. Jan Karol Kostrzewski. Ten ostatni koordynował działania władz, a nawet osobiście badał zakażonych.

### Wrocław miastem zamkniętym

Po początkowym okresie dezorganizacji władze zaczęły opanowywać sytuację. Powołano komitet koordynacyjny kierujący akcją prewencyjną. Otrzymał on szerokie pełnomocnictwa i niemal nieograniczoną władzę w mieście. Ulokował się w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej przy ul. Gabrieli Zapolskiej. Wspierało go jedenaście zespołów roboczych. Ówczesny szef Wydziału Zdrowia Miejskiej Rady Narodowej wspominał półzartem: „byłem jak car i Boh – prawie połowa członków Komitetu Wojewódzkiego PZPR wyładowała w [naprędce organizowanych] izolatoriach”.

Sytuacja była jednak bardzo groźna, a skutki zaniedbań mogły być nieobliczalne. Wszystko należało stworzyć od podstaw: miejsca odosobnienia, szpitale ospowe, regulaminy postępowania. Trzeba było organizować życie w mieście w warunkach nadzwyczajnego zagrożenia. Koniecznością stało się wprowadzenie bezwzględnych działań prewencyjnych, zabezpieczających przed rozprzestrzenieniem się choroby. Już 16 lipca zamknięto trzy szpitale – szpital MSW przy ul. Ołbińskiej, im. Ludwika Rydygiera oraz przy ul. Piwnej – a także Szkołę Pielęgniarek. Jedną z pierwszych decyzji komitetu było zarządzenie nakazujące przeprowadzenie obowiązkowych i powszechnych szczepień ochronnych. Dla przyjezdnych i powracających z urlopu wczasowiczów wyznaczono specjalne punkty na wrocławskich dworcach kolejowych. W urzędach i instytucjach publicznych pojawiły się miski z chloraminą, w której moczono ręce, a klamki u drzwi były owinięte bandażami nasączonymi substancjami dezynfekującymi. ▶

▶ Mimo zachowania środków ostrożności w ciągu czterech miesięcy na ospę zmarło siedem osób, w tym cztery spośród personelu medycznego



Z polecenia władz odwołano imprezy i uroczystości masowe (choć odbyły się uroczystości Święta 22 Lipca), pojawiały się też hasła w stylu „Witamy się bez podawania rąk”. Niemal równoległe wydano polecenie nakazujące zamknięcie punktów sprzedaży napojów chłodzących z saturatorów. Zamknięto kąpieliska miejskie i baseny. W komunikatach prasowych i artykułach zwracano uwagę na niebezpieczeństwo wynikające z niedomytych naczyń, informowano, jak ustrzec się przed zakażeniem w sklepach, barach czy restauracjach, wreszcie podawano podstawowe wiadomości o objawach i przebiegu choroby.

Do akcji zwalczania epidemii ospy zaangażował się też Kościół. Wrocławska Kuria Metropolitalna wydała komunikat zalecający duchowieństwu włączenie się do kampanii informacyjnej i „uświadamiającej” oraz rezygnację z uroczystości masowych. Zbiegło się to z peregrynacją kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej na terenie archidiecezji wrocławskiej. W rezultacie Kuria zaleciła ograniczenie pielgrzymek i stosowanie się do zarządzeń Wydziałów Zdrowia Wojewódzkiej i Miejskiej Rady Narodowej.

Wrocław ogłoszono miastem zamkniętym. Na rogatkach ustawiono patrole milicyjne, które kontrolowały wjeżdżających i wyjeżdżających. W przypadku braku zaświadczeń ważnych szczepień ochronnych osoby takie zawracano. Dyrektorom, kierownikom biur, zakładów, instytucji i urzędów nakazano sprawdzenie wszystkich swoich pracowników i poddanie ich akcji szczepienia przeciwko ospie. Osobom, które nie zostały zaszczepione, zakazano korzystania ze środków publicznego transportu indywidualnego i zbiorowego: autobusów, tramwajów, kolei, taksówek. To samo zarządzenie skierowano do rad zakładowych, komitetów blokowych, „załóg w zakładach pracy”, słowem odwołano się do poczucia postawy obywatelskiej. Kasom biletowym PKP, PKS, Orbisu i PLL LOT nakazano, by sprzedaż biletów odbywała się wyłącznie po okazaniu ważnego świadectwa wykonanych szczepień. Za uchylanie się od zarządzeń Prezydium Miejskiej Rady Narodowej groziły drakońskie grzywny, kolegium, a nawet więzienie (do piętnastu lat pozbawienia wolności łącznie). Obowiązkowo w każdym miejscu należało nosić przy sobie kartę ważnych szczepień ochronnych.

W związku z niebezpieczeństwem rozprzestrzeniania się epidemii zamknięto przejścia graniczne z Czechosłowacją i Niemiecką Republiką Demokratyczną leżące w obrębie województwa wrocławskiego. Wszelki ruch turystyczny niemal zamarł. Przekraczanie granicy odbywało się tylko po okazaniu aktualnego świadectwa wykonanych szczepień ochronnych.

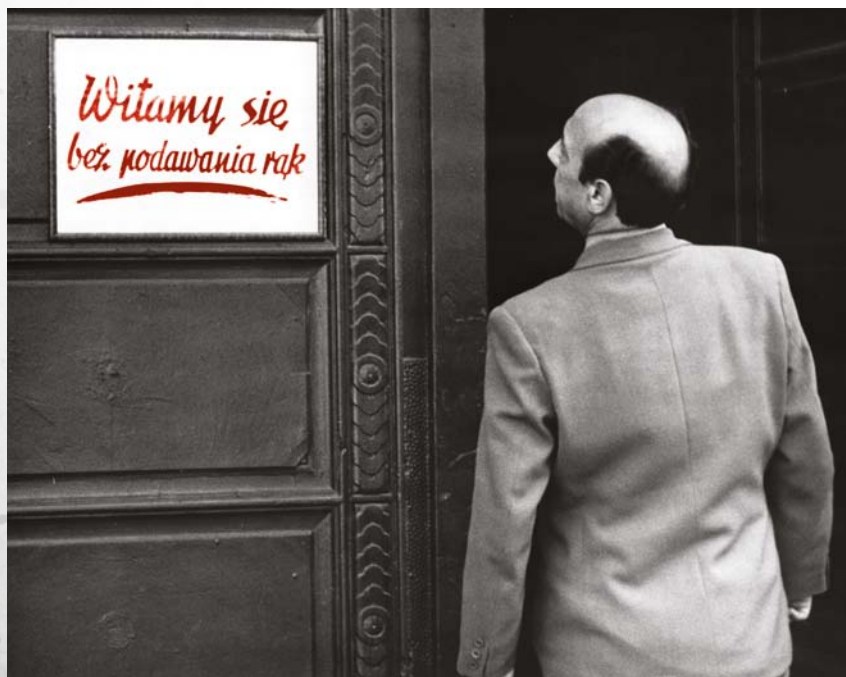
Dopiero w połowie września sytuacja zaczęła się stopniowo normalizować. Przywrócono ruch turystyczny z Czechosłowacją. Jedyne mieszkańcy Wrocławia, którzy uczestniczyli w wycieczkach autokarowych, byli zobowiązani mieć przy sobie aktualne świadectwa wykonanych szczepień ochronnych. Ogromnym problemem stał się wywóz śmieci i opieka nad zwierzętami domowymi, których właściciele znaleźli się w izolatoriach lub szpitalach ospowych.

### Życie w izolatoriach

Jednym z podstawowych sposobów zabezpieczenia miasta przed rozprzestrzenieniem się epidemii było organizowanie izolatoriów. Łącznie powstało ich osiemnaście. Za radą konsultantów medycznych wyszukiwano osoby, które miały kontakt z chorymi, a następnie odwożono je do ośrodków odosobnienia. Nazwiska wrocławian, którzy zetknęli się z podejrzanymi o zakażenie wirusem, podawano do publicznej wiadomości w prasie z poleceniem natychmiastowego zgłoszenia się do izolatoriów. Opornych karano skierowaniem wniosku do kolegium ds. wykroczeń i dowożono siłą.

Izolatoria organizowano w szkołach, nieczynnych w czasie letniego wypoczynku. Najszybciej zorganizowano izolatorium w gmachu szkoły rolniczej na wrocławskim osiedlu Wrocław-Pracze. Właśnie odbywał się tam kurs traktorzystów, gdy zaczęto zwozić pierwszych lokatorów, którzy mieli kontakt z chorymi.

Największe, przeznaczone dla ośmiuset osób izolatorium utworzono w Zakładach Lotniczych na Psim Polu. Poza tym wyodrębniono tzw. szpitale ospowe, cztery we Wrocławiu i dwa na jęgo



► Takie ogłoszenia pojawiały się w całym mieście

przedmieściach – w Prąszniku i Szczodrem. Bieda okresu Gomułki sprawiała, że zaopatrzenie w podstawowe środki higieniczne było tam oplakane. Brakowało dosłownie wszystkiego. Doktor Jerzy Wolański, kierownik izolatorium w Praczech, wspominał, że na miejscu „nie było leków, jedzenia ani nawet podstawowej informacji, jak się zachować. W szkolnej apteczce zostało kilka pożyłkłych tabletek aspiryny i słuczony termometr”.

W odciętych od świata izolatoriach łatwo szerzyły się nieprawdziwe i przesadzone informacje. W szczelnie otoczonych budynkach krążyły przerażające historie m.in. „o ludziach umierających na ulicach, o piętrzących się zwałach trupów zalegających na chodnikach i o paleniu zwłok zmarłych”. Wybuchy paniki pojawiały się spontanicznie i często bez racjonalnego uzasadnienia. Gdy do szpitala ospowego w Szczodrem trafił transport trumien, pensjonariusze zareagowali zrozumiałym przerażeniem. Gdy z kolei do izolatorium w Praczech Odrzańskich przywieziono wypożyczoną od wojska ogromną przyczepę dezynfekcyjną, pacjenci uznali, że jest to spalarnia zwłok.

Innym razem do szpitala w Szczodrem przywieziono „obsługę” klientów domu publicznego. Kiedy z podejrzeniem ospy zatrzymano prostytutkę, lekarsko-milicyjna ekipa pojechała pod wskazany adres przy ul. Kołłątaja. Jak się okazało, „zakład był czynny”.

Ludzie w oczekiwaniu na nieuchronną i rychłą śmierć popadali w skrajne nastroje – od defetyzmu i przygnębienia aż po hulaszczy nastrój rozrywki. Szybko pojawił się też alkohol. Jednym z pacjentów izolatorium w Praczech Odrzańskich był kierownik miejskiej wytwórni win. Dzięki jego inwencji każdego wieczora na tyły izolatorium podjeżdżał samochód, z którego wydławano kilka skrzynek taniego wina. Otaczający teren milicjanci albo nie chcieli zauważyć auta, albo też dawali się udobruchać. Dlatego powstające później izolatoria otaczano drutem kolczastym.

Gwałtownie rosła liczba pacjentów kierowanych do szpitali ospowych i izolatoriów. Wciąż jednak brakowało tam podstawowych artykułów. Ludzie domagali się lepszego zaopatrzenia. Dochodziło do buntów. Jeden z lekarzy wspomina, że „pierwszy bunt w izolatorium wybuchł już piątego dnia. Ludzie wyzywali mnie, żądając papierosów, lepszego jedzenia i wódki. O wybuch paniki było łatwo. Było bardzo gorąco, komary cięły potwornie, ludzie budzili się ze śladami po ukąszeniach na skórze, ale wtedy oznaczało to dla nich jedno: chorobę”.

### Zwycięska walka

Dzięki wprowadzeniu drastycznych metod oraz ofiarności ludzi zaangażowanych w walkę z epidemią – głównie personelu medycznego – ospę udało się pokonać. Ostatni przypadek zachorowania odnotowano 10 września, a 19 września ogłoszono koniec epidemii. W samym tylko Wrocławiu zaszczepiono ponad 400 tys. mieszkańców, na Dolnym Śląsku – 2 mln, w całym kraju zaś – ponad 8,2 mln ludzi. W czasie krótkotrwałych okresów braku szczepionek sprowadzano je ze Związku Radzieckiego i Węgier.

Bilans epidemii to 99 chorych, w tym 25 pracowników służby zdrowia. Najstarszy chory miał 83 lata, najmłodszy – 8 miesięcy. W ciągu czterech miesięcy na ospę zmarło siedem osób, w tym cztery spośród personelu medycznego.

Warto dodać, że komunistyczna propaganda i blokada informacji wywoływały mnóstwo niepotrzebnych nieporozumień. Nikt nie chciał rozmawiać czy jadać z mieszkańcami Wrocławia ani przebywać w ich towarzystwie. Na nadmorskich plażach wokół wczasowiczów z dolnośląskiego miasta tworzyły się puste kręgi. Tak samo działo się w kolejkach, poczekalniach czy przychodniach – jeśli tylko ktoś ujawnił, że jest z Wrocławia. Mieszkańców tego miasta traktowano jak zadżumionych.

Kolejne epidemie ospy prawdziwej wybuchały jeszcze okresowo, głównie na terenie Azji. W 1967 roku wsku-



▶ W całym kraju zaszczepiono ponad 8 mln ludzi

tek panującej w Indiach epidemii zachorowało dziesięć milionów ludzi, z czego dwa miliony zmarło. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) podjęła wówczas uchwałę o walce z tą śmiertelną chorobą. Ostatni przypadek ospy prawdziwej miał miejsce w 1978 roku. Udało się zlikwidować ogniska ospy na świecie, w czym ogromny udział mieli Polacy, tacy jak prof. Jan Karol Kostrzewski. Wreszcie 9 grudnia 1979 roku ogłoszono, że walka z ospą zakończyła się sukcesem. Dziś jedyne szczepy wirusa znajdują się w wyznaczonych przez WHO laboratoriach w USA, Rosji, Wielkiej Brytanii, Chinach, Holandii i RPA. 🇺🇸

dr Tomasz Gałwiaczek – historyk, pracownik OBEP IPN we Wrocławiu

Korzystałem m.in. z archiwalnych wydań „Słowa Polskiego” i „Gazety Robotniczej” z 1963 roku oraz książki Zbigniewa Hory *Variola vera* (Wrocław 1982).

Wszystkie fotografie pochodzą ze zbiorów Archiwum Państwowego we Wrocławiu.

Konsultacja medyczna: dr hab. Maria Gańczak



# Propagandowa funkcja pieniądza w PRL

Paweł Niziołek

**Propaganda – sztuka kształtowania poglądów zbiorowości – posługiwała się w swej długiej historii wieloma narzędziami. Niezależnie od okresu historycznego celem propagandystów było dotarcie do jak największej liczby odbiorców w taki sposób, by z promowaną ideologią obcowali możliwie często i chętnie. Niewiele rzeczy ludzie biorą do ręki częściej i chętniej niż pieniądź.**

**P**ropagandowe, a więc pozaekonomiczne znaczenie środków płatniczych dostrzeżono już w starożytności. Chęć podniesienia własnego prestiżu skłoniła 26 wieków temu anonimowego dziś władcę lidyjskiego do odcisnięcia na krążkach elektrom swego znaku identyfikacyjnego, który równocześnie stanowił gwarancję wartości powstałych w ten sposób pierwszych monet. Tak więc już od samego początku pieniądź został nierozdzielnie związany z propagandą. Także dziś emisja własnego pieniądza pozostaje jednym z najbardziej tradycyjnych sposobów potwierdzania państwowej suwerenności.

Pieniądź ma wiele cech czyniących zeń narzędzie propagandy o ogromnym potencjale. Bodajże najważniejszą z nich jest to, że bezpośredni i codzienny kontakt z nim ma większość społeczeństwa. Znaczenie propagandowe ma także sama nazwa środka płatniczego (waluty), jego siła nabywcza, kurs wymiany wobec walut obcych, rozmiar numizmatu, jego wartość nominalna, materiał, z którego został wykonany, i nakład (wielkość emisji) oraz umieszczone nań treści w postaci rozmaitych przedstawień i inskrypcji.

## Waluta bez banku, orzeł bez korony

Wszystkie wymienione powyżej propagandowe aspekty pieniądza były skwapliwie wykorzystywane w ideologicznej polityce PRL, która – jak na „suwerenne” państwo przystało – zachowała odrębną walutę. Złoty

polski nawiązywał nazwą do tradycji II Rzeczypospolitej i czasów przedrozbiorowych. Miał się w ten sposób stać jednym z argumentów dowodzących tezy o historycznej ciągłości państwa polskiego oraz politycznej niezależności jego współczesnej formy (PRL) od obcych mocarstw (ZSRS).

Pierwsze po 1939 roku polskie środki płatnicze wyemitowano na potrzeby PKWN w Moskwie w roku 1944. Były to wyłącznie banknoty o nominałach od 50 gr do 500 zł, stylistyką nawiązujące do historyzującego eklektyzmu sztuki przełomu wieków XIX i XX, w czym naśladowały banknoty radzieckie i wcześniejsze rosyjskie. Ich poziom artystyczny był dość niski, lecz źródłem największych kontrowersji okazały się zamieszczone na nich treści. Stosowny napis identyfikował instytucję emisyjną jako Narodowy Bank Polski, który – co znamienne – w roku 1944 jeszcze nie istniał. Sprzeczna z dotychczasową polską praktyką, enigmatyczna i niegrammatyczna była również umieszczona na banknotach klauzula prawna: „Przyjmowanie we wszystkich wypłatach jest obowiązkiem – Falszowanie będzie karane zgodnie z prawem”. Nawet niezaprawione w niuansach językowych i prawnych oko wychwytywało inny detal – na biletach tej emisji po raz pierwszy przedstawiono godło polskie, które – choć w formie zbliżonej do przedwojennej – zostało pozbawione korony. Był to kolejny zabieg nieusankcjonowany prawnie – orzeł bez korony stał się formalnie godłem PRL dopiero w 1952 roku. Zapewne wielu



▶ Banknot 500 zł wyemitowany w Polsce w 1944 roku



▶ Banknot 100 zł wyemitowany w 1946 roku; na rewersie przedstawiono orkę z wykorzystaniem ciągnika – symbolu postępu mającego nastąpić na wsi – z którym zresztą niewielu rolników miało wówczas styczność; zwraca uwagę kontrast pomiędzy przedstawieniem rewersu a tradycyjnymi narzędziami w rękach chłopów na awersie

ówczesnych mieszkańców Polski po raz pierwszy oglądało tak zubożony kształt godła państwowego właśnie na banknotach, o których kształcie zdecydowano w Moskwie. Pod koniec 1944 roku rozpoczęto druk pieniędzy według tego wzoru w Polsce – różnią się one od moskiewskich poprawioną klauzulą.

### Chłop, przekupka, górnik

Łatwość, z jaką fałszerze kopiowały prosty wzór złotych z 1944 roku, była jedną z przyczyn rychłego wycofania ich z obiegu. Kolejne emisje polskich banknotów z lat 1946–1947 nosiły już wyraźne piętno nowego kierunku w sztuce – socrealizmu – odzwierciedlającego społeczno-gospodarczy porządek komunistycznego państwa. Pieniądze o najniższych nominałach (1–10 zł) wciąż prezentowały się skromnie pod względem treści propagandowych, nie wykraczając wyglądem poza niezbędne minimum (skrót NBP, godło państwowe, klauzula prawna – na polskich banknotach do dziś nie umieszcza się formalnej nazwy państwa). Pięciu najwyższym nominałom nadano wyjątkowy charakter. Dwa niższe: dwudziesto- i pięćdziesięciozłoty z 1946 roku dedykowano – odpowiednio – transportowi lotniczemu i morskemu. Na biletach o trzech najwyższych nominałach zaprezentowano zwarty program przedstawień artystycznych, tworząc w ten sposób „tryptyk” dedykowany głównym gałęziom polskiej gospodarki: banknot 100 zł poświęcono rolnictwu, 500 zł – przemysłowi morskemu i rybołówstwu, a 1000 zł – przemysłowi ciężkiemu i wydobywczemu. O wymowie biletów decydowały przedstawione na awersach postaci: chłop z kosą i snopem zboża oraz chłopka z sierpem i naręczem dzikich kwiatów, rybak i stocznowiec, robotnik i górnik – wszyscy wyposażeni w odpowiednie atrybuty. Przyporządkowanie banknotów do poszczególnych gałęzi gospodarki podkreślały sceny w centralnym polu rewersu: orka z wykorzystaniem cią-

nika (100 zł), panorama starego Gdańska (500 zł) i dzielnica fabryczna (1000 zł).

Wzory banknotów kolejnej emisji z 1947 roku (20, 100, 500 i 1000 zł) oparto na tej samej koncepcji, z tą jedynie różnicą, że na awersie pary postaci zostały zastąpione przez alegoryczne personifikacje rolnictwa (100 zł), przemysłu morskiego (500 zł) i przemysłu fabrycznego (1000 zł) z odpowiednimi panoramami na rewersie. Ciekawie prezentował się jedyny zdawkowy bilet tej emisji – 20 zł, którego centralnemu przedstawieniu rewersu nadano głębokie znaczenie symboliczne.

Emisja nowych banknotów nastąpiła już w 1948 roku i wiązała się z reformą systemu pieniężnego. Starsze środki płatnicze zastąpiono wówczas biletami o wysokim poziomie artystycznym i bogatej ikonografii, lecz marna była to pociecha wobec krzywdzącego kursu wymiany. Począwszy od 10 zł w górę, bilety te tworzyły jeden cykl tematyczny, będący rozwinięciem koncepcji „tryptyków przemysłowych” z lat 1946–1947. Na awersie każdego banknotu przedstawiono, w myśl zasad realizmu socjalistycznego, popiersie postaci: chłopca (10 zł), przekupki (20 zł), rybaka (50 zł), robotnika (100 zł), górnika (500 zł), z którym korespondowała, również realistyczna, panorama lub scenka rodzajowa na rewersie: żniwa, krakowskie Sukiennice, statki w porcie morskim, dzielnica fabryczna, praca w kopalni. Wzbogacono warstwę propagandową banknotów zdawkowych. Na rewersie dwuzłotówki przedstawiono główną siedzibę NBP w Warszawie – monumentalny socrealistyczny gmach miał symbolizować stabilność gospodarczą PRL; na pięciozłotówce zaś – podobnie jak w przypadku „setki” z 1946 roku – wyobrażono orkę z wykorzystaniem ciągnika.



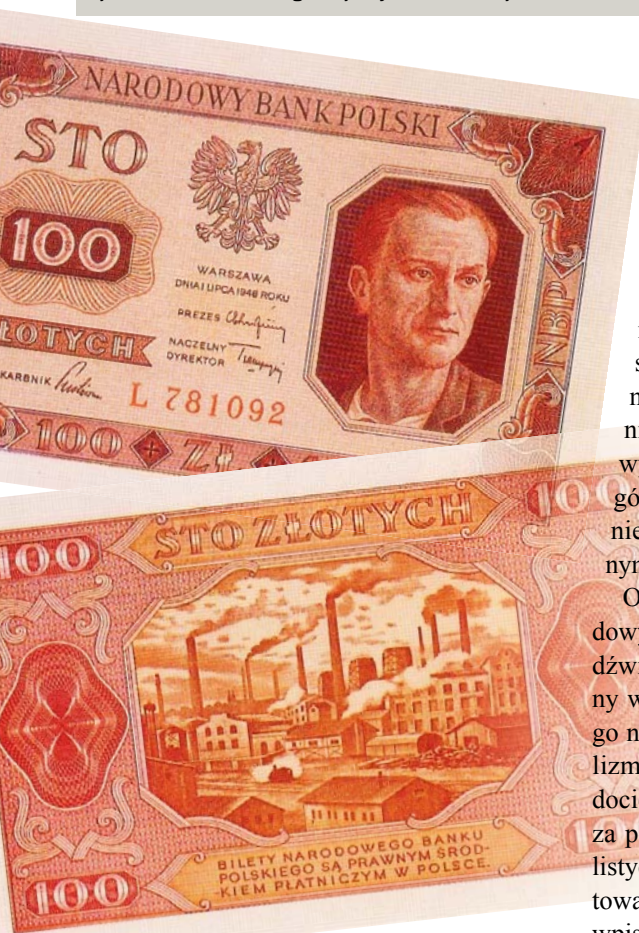
► Rewers banknotu 20 zł wyemitowanego w 1947 roku, na którym przedstawiono martwą naturę skomponowaną z młota, koła zębatego, szyn kolejowych, trójkąta rysunkowego, obcęgów, książek i globusa; obraz dopełniono umieszczoną niżej gałązką oliwną lub laurową oraz murem ceglany (w tle); współwystępująca tu symbolika robotnicza i inteligencka mogła wskazywać na sojusz między ludźmi pracy i inteligencją, a gałązka – symbol zwycięstwa – zwiastowała jego sukces; przedstawienie to można również odczytywać jako apel do jednostki, którego przesłanie zawiera się w słowach: „Ucz się i pracuj, a dojdiesz do celu”, natomiast ceglany mur – jako symbol powojennej odbudowy kraju połączonymi siłami całego narodu (ludzi pracy i inteligencji) lub konstruowania nowej, socjalistycznej rzeczywistości



► Banknot 500 zł wyemitowany w 1947 roku: gospodarka morska – środkowa część drugiego „tryptyku przemysłowego”

### Komunistyczna „wymiana”

Reformę walutową władze komunistyczne przygotowały w wielkiej tajemnicy. Druk banknotów odbył się poza granicami państwa: w Czechosłowacji, Szwecji i na Węgrzech. Wymianę pieniędzy rozpoczęto 30 października 1950 roku, zaledwie dwa dni po jej ogłoszeniu. Na jej dokonanie zaskoczonym obywatelom dano czas jedynie do 8 listopada. Pensje, ceny i oszczędności zdeponowane w bankach państwowych przeliczano w stosunku 100 starych złotych do 3 nowych. Kurs wymiany gotówki był jeszcze bardziej krzywdzący – 100:1. Władze usprawiedliwiała go, przedstawiając jako cios wymierzony w kapitalistów, ciułaczy i spekulantów. W rzeczywistości reforma uderzyła w ogromną rzeszę obywateli, którzy nie ufali państwowym instytucjom finansowym i trzymali swoje oszczędności w gotówce. Niewystarczająca liczba punktów wymiany – co również było zamierzone – utrudniła wymianę banknotów przede wszystkim mieszkańcom wsi. Rząd osiągnął swój cel: zmniejszył ilość środków pieniężnych będących w dyspozycji społeczeństwa i przymusił do lokowania ich w bankach państwowych. 28 października prawnie zakazano obywatelom PRL posiadania walut obcych oraz lokat w postaci złota i platyny. Wszystkie te zasoby miały zostać odsprzedane państwu po urzędowych, nieprzyzwoicie niskich, cenach pod groźbą wieloletniego więzienia (zakaz zniesiono w roku 1956). Skarb państwa niewielkim nakładem sił pozyskał wówczas niemalże rezerwy. Negatywne, trwale skutki reformy przerosły jednak wszystkie jej „plusy”, bo aż do upadku PRL Polacy nie odzyskali zaufania ani do instytucji finansowych państwa, ani do złotego, co przejawiało się okresowymi wybuchami paniki, motywowanymi strachem przed powtórką „wymiany” z 1952 roku, czarnym rynkiem oraz powszechną skłonnością do gromadzenia towarów. Reforma stała się więc pożywką dla zjawisk, które według oficjalnych deklaracji miała zwalczać.



► Banknot 100 zł wyemitowany w 1948 roku; biletowi dedykowanemu przemysłowi fabrycznemu nieprzypadkowo nadano czerwoną kolorystykę

Warto zwrócić uwagę na kolejność, w której uwieczniano gałęzie gospodarki na banknotach. Wszystkie trzy cykle otwiera rolnictwo, które w ten sposób zostało wyróżnione jako podstawa rozwoju państwa. Najwyższe nominały emisji z 1946 i 1947 roku poświęcono przemysłowi fabrycznemu i wydobywczemu. W 1948 roku dokonano między nimi rozdziału, w wyniku którego wyższą rangę (nominał) przyznano górnictwu. Przemysł został jednak nieprzypadkowo wyróżniony jedynym w serii biletom barwy czerwonej.

Optymistyczny przekaz propagandowy wizji kraju entuzjastycznie dźwiganego z wojennej ruiny wspólnymi siłami całego narodu, budowy socjalizmu i dobrobytu, który docierał do społeczeństwa za pośrednictwem socrealistycznych banknotów emitowanych w latach 1946–1948, wpisywał się w szeroki program konstruowania obrazu nowej rzeczywistości. Co ciekawe, symbolika wykorzystana do promowania socjalistycznego porządku społeczno-gospodarczego



nie była nowa – personifikacje gałęzi przemysłu czy górnik przy pracy to motywy występujące na polskich banknotach okresu międzywojennego. Dotychczas uniwersalna sfera symboliki związanej z pracą została tutaj zagarnięta przez komunistyczną propagandę i także dziś jest z nią nierzadko kojarzona. Analogiczne procesy przewartościowania symboli są charakterystyczne dla ustrojów totalitarnych.

### Od Kopernika po Świerczewskiego

Zmiany w systemach państw komunistycznych w Europie zapoczątkowane śmiercią Stalina doprowadziły do prze-modelowania propagandy pieniężnej PRL. Miejsce symboli socrealistycznych kojarzonych ze stalinizmem zajęły ikony narodowe, czyniąc z pieniądza narzędzie „nacionalistycznej legitymizacji” władzy. Realizacja tej formy polityki propagandowej opierała się na kilku prostych założeniach. Należało czcić te wydarzenia i postaci z historii Polski, które można było uznać za postępowe, a przy tym co najmniej obojętne ideologicznie. Pomiedzy daty historyczne i bohaterów narodowych wprowadzono elementy proveniencji komunistycznej, tak aby stworzyć wrażenie ciągłości państwa polskiego od czasów piastowskich po jego „najwyższą” formę ewolucyjną – PRL. Polscy komuniści nie mieli wszak być w narodzie elementem obcym, lecz – jak sami mówili – krwią z krwi i kością z kości Kazimierza Pułaskiego, Tadeusza Kościuszki, Henryka Dąbrowskiego, Romualda Traugutta i Jarosława Dąbrowskiego.

Pierwszymi postaciami uhonorowanymi osobnym numizmatem byli Mikołaj Kopernik i Kościuszko (10 zł z 1959 roku – obaj wymienieni w odezwie programowej PPR z 1942 roku).

W latach 1959–1979 poszczególne emisje poświęcono m.in. sześćsetleciu Uniwersytetu Jagiellońskiego (10 zł,

1964), siedemsetleciu Warszawy (10 zł, 1965–1966), setnej rocznicy urodzin Marii Skłodowskiej-Curie (10 zł, 1967), pięćdziesięcioleciu portu w Gdyni (10 zł, 1972), Marii Konopnickiej (20 zł, 1978). W myśl zasad polityki legitymizacyjnej między daty i postaci historyczne wpleciono te związane z komunizmem w Polsce. Uczczono dwudziestolecie śmierci Karola Świerczewskiego (10 zł, 1967), dwudziestopięciolecie ludowego Wojska Polskiego (10 zł, 1968), dwudziestopięciolecie PRL (10 zł, 1969), postać Marcelego Nowotki (20 zł, 1974).

Upamiętniano wybitniejsze osiągnięcia krajowe, jak choćby pierwszy lot Polaka w kosmos (20 zł, 1978) i niektóre wydarzenia międzynarodowe, szczególnie dotyczące państw bloku wschodniego, jak dwudziestopięciolecie RWPG (20 zł, 1974), Międzynarodowy Rok Kobiet (20 zł, 1975) i Międzynarodowy Rok Dziecka (20 zł, 1979).

Zaledwie kilka wydażeń, uznanych przez władze za szczególnie istotne, upamiętniono srebrnymi monetami obiegowymi. Pierwszym powojennym numizmatem ze srebra była stużłotówka wyemitowana z okazji obchodów tysiąclecia państwa polskiego. Był to wówczas najwyższy nominal wśród monet. Kolejne monety srebrne, wybite niemal dekadę później, nosiły już nominal 200 zł, ale metal, z którego zostały wykonane, był niższej próby (625 i 750 w porównaniu do wcześniejszych 900). W 1974 roku upamiętniono w ten sposób trzydziestolecie PRL, chociaż nazwę Polska Rzeczpospolita Ludowa wprowadziła dopiero konstytucja z 1952 roku. To z pozoru niewinne uproszczenie było celowym zabiegiem propagan-



dowym, mającym nadać nazwie jak najdawniejszą metrykę oraz złączyć pod jednym „logo” takie kontrowersyjne twory jak PKWN, Rząd Tymczasowy RP czy Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. Trzydziestolecie zwycięstwa nad faszyzmem upamiętniono monetą z roku 1975, na której rewersie wyobrażono profile żołnierzy: polskiego i radzieckiego. W ten sposób uczyniono ze zwycięstwa nad Niemcami święto „dwóch narodów” – polskiego i sowieckiego – oraz budowano obraz szczególnego braterstwa broni łączącego armie obu państw w sposób wyjątkowy w skali Układu Warszawskiego.

Stosunkowo intensywne wykorzystanie monet w polityce indoktrynacyjnej PRL nie spowodowało bynajmniej spadku zainteresowania propagandy banknotami. Pierwszym krokiem w kierunku „unarodowienia” pieniądza papierowego była emisja biletów tysiąc złotych z podobizną Mikołaja Kopernika w roku 1965. Dziesięć lat później wszystkie starsze banknoty zastąpiono nową serią zatytułowaną „Wielcy Polacy”. W cyklu tym upamiętniono postaci uznane za zasłużone dla narodu polskiego: Tadeusza Kościuszkę (500 zł, 1974), Mikołaja Kopernika (1000 zł, 1975), Mieszka I i Bolesława I (2000 zł, 1977). Nie zabrakło oczywiście antenatów (w tym „przyszywanych”) polskiego komunizmu, a więc: Karola Świerczewskiego (50 zł, 1975), Ludwika Waryńskiego (100 zł, 1975) i Jarosława Dąbrowskiego (200 zł, 1976). Panorama postaci była więc bardzo różnorodna – od piastowskich monarchów, po bohaterów ludowego WP.

## Papież i marszałek

Dotychczasowa koncepcja propagandy pieniężnej załamała się około roku 1980, co wiązało się z narastającym kryzysem struktur państwowych. W 1981 roku, a więc w roku wprowadzenia stanu wojennego, wyemitowano monetę pięćdziesięciotową z okazji setnej rocznicy urodzin Władysława Sikorskiego. Był to tylko jeden z elementów szeroko zakrojonej akcji propagandowej, której kulminacja nastąpiła 4 lipca, w rocznicę śmierci generała w katastrofie gibraltarskiej. W ten sposób zamierzano odwrócić uwagę opinii publicznej od wewnętrznych – politycznych i gospodarczych – problemów państwa. Nowe oblicze patriotyzmu władz, które do panteonu dopuściły postać wcześniej niepożądaną, miało służyć budowaniu obrazu jedności rządu i partii ze społeczeństwem. W ten sposób bunt przeciw nim oznaczałby gwałt na jedności narodowej.



▶ Banknot 100 zł z Ludwikiem Waryńskim emitowany w latach 1975, 1979, 1982, 1986 i 1988. Zwraca uwagę czerwono-brunatna kolorystyka biletu poświęconego twórcy Proletariatu; na rewersie, na tle schematycznych czerwonych (robotniczych) sztandarów, napis stylizowany na winiętę czasopisma „Proletaryat”; rok wydania numeru pierwszego pisma – 1883 – był zarazem rokiem aresztowania Waryńskiego

Kolejnym znakiem zachodzących przemian była emisja z 1982 roku, w stanie wojennym, srebrnej monety tysiączłotowej (próby 625) z postacią Jana Pawła II. Nieprzypadkowo nastąpiło to właśnie wtedy, po zamachu na pl. św. Piotra w maju 1981 roku, a przed drugą pielgrzymką papieża do ojczyzny, planowaną na czerwiec 1983 roku. Chciano zapewne w ten sposób ostudzić dyskusje związane z podejrzeniami, że inspiratorami zamachu były polskie i sowieckie służby specjalne. Emisję monety ponowiono w roku następnym. Warto



pamiętać, że jej tak wysoki nominalny wynikał z inflacji.

Wraz ze słabnięciem reżimu coraz swobodniej podchodzono do kwestii narodowego panteonu.

W 1984 roku stużłotówkę dedykowano przedwojnemu przywódcy ludowców Wincentemu Witosowi.

W tym samym roku identycznym nominałem uczczono czterdziestolecie PRL – moneta ze „standardowego” miedzioniklu nie była już tak prestiżowym wyróżnieniem wydarzenia jak jej srebrna poprzedniczka sprzed dziesięciu lat. Najwymowniejszym symbolem upadającej koncepcji legitymizacji systemu było przywrócenie miana bohatera narodowego Józefowi Piłsudskiemu, którego w 1988 roku uhonorowano okazałą monetą srebrną o nominale 50 000 zł (próby 750) z okazji siedemdziesiątej rocznicy odzyskania niepodległości.

Chociaż pieniądź nie był jedynym i z pewnością nie najważniejszym narzędziem propagandy PRL, to jednak jest ciekawym barometrem zmian jej założeń, od okresu stalinowskiego, poprzez „nacionalistyczną legitymizację”, po liberalizację charakterystyczną dla okresu schyłkowego.

Na obserwację tych przemian pozwalała nam sam nośnik w swym materialnym wymiarze. Trudna, jeśli nie niemożliwa, okazuje się jednak próba oszacowania skuteczności tego medium propagandy.

Po pierwsze, nie sposób wyizolować go spośród innych rodzajów broni arsenału propagandowego. Po drugie, rezultaty indoktrynacji mają wymiar niematerialny. Są to bowiem zmiany w światopoglądzie, których rozmiarów nie sposób zaobserwować. Poznać można je dopiero „po owocach” obserwowanych w większej już skali: po nastrojach społecznych i działaniach podejmowanych przez obywateli.

Celem propagandy jest sterowanie społeczeństwem. Jeśli więc rząd robi to skutecznie, można przyjąć, że i jego propaganda jest skuteczna. Czy można więc przypisać upadek PRL nieskuteczności państwowej propagandy? Odpowiedź twierdząca na to pytanie byłaby niepełna, ponieważ propaganda nie funkcjonuje w próżni. Propaganda komunistyczna

funkcjonowała w niesprzyjających

warunkach. Grunt, na który padała, był w dużej mierze nieprzychylny, co było trudne do skorygowania najtrafniejszą nawet argumentacją.

Nie zawiodła jednak na wszystkich polach, niektóre jej hasła cieszyły się popularnością. Szczególnie strach przed zachodniomocnym rewizjonizmem stwarzał sprzyjające

warunki dla indoktrynacji eksploatującej to zjawisko. Wydaje się, że również osiągnięcia państwa w rozmaitych dziedzinach – o czym informowano skwapliwie – były powodem do dumy niejednego obywatela. Fiaskiem zakończyła się z pewnością polityka legitymizacji systemu. Być może Polakom zbyt trudno było uwierzyć, że Mikołaj Kopernik mógłby być, na jakiegokolwiek płaszczyźnie ideowej, antenatem Marcelego Nowotki. Swoje zrobiła też niekonsekwencja z lat osiemdziesiątych.

Pieniądź w swej formie fizycznej nadal spełnia pozaekonomiczne, propagandowe funkcje. Przedstawiane na nim wyobrażenia świadczą o wartościach i tradycjach, do których odwołuje się emitent, i służą kształtowaniu wizerunku państwa nie tylko w oczach własnych obywateli. To nie przypadek, że każdy nowy banknot lub monetę oglądamy z zaciekawieniem. ■

Wykorzystane ilustracje pochodzą ze zbiorów autora.

Paweł Niziołek – historyk, pracownik Referatu Badań Naukowych i Zbiorów Bibliotecznych OBEP IPN w Białymstoku

## PAN OD BANKNOTÓW

Od pół wieku projektowaniem banknotów dla Narodowego Banku Polskiego zajmuje się **Andrzej Heidrich** (ur. 1928), absolwent warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zaprojektował wszystkie banknoty, które od połowy lat siedemdziesiątych były w Polsce w obiegu, w tym obowiązującą dziś serię z władcami Polski. Został odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (1999) i Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2006). Nie wszystkie projekty weszły do obiegu. Poniżej prezentujemy dwa z tych, które z różnych powodów nie trafiły do portfeli Polaków. Pierwszy, z roku 1975, przedstawia Karola Świerczewskiego, generała Wojska Polskiego i Armii Czerwonej. Ostatecznie pięćdziesiątka ze Świerczewskim emitowana była w nieco innej wersji – z generalską czapką. Czy Świerczewski bez czapki wydał się władzom zbyt mało dostojny? – Nie wiem, w tamtych czasach nie było dyskusji. Projektowałem, ale nie miałem wpływu na decyzję – mówi nam Andrzej Heidrich. Drugi projekt pochodzi z roku 1989 i przedstawia Władysława Gomułkę, długoletniego I sekretarza KC PZPR. – Zmiany polityczne sprawiły, że banknot z Gomułką nie został skierowany do emisji – tłumaczy Heidrich.

fg



# Kolorowe skrzydła

Tomasz Ginter

**Wyczyny polskich pilotów w czasie Bitwy o Anglię, zwłaszcza tych z Dywizjonu 303, cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem, także wśród osób, które nie zajmują się historią zawodowo. A jeśli do czegoś biorą się amatorzy, łatwo niestety o błędy.**

**U**mberto Eco pisał, że książka o średniowieczu bez pożaru to jak film o wojnie na Pacyfiku bez płonącego samolotu spadającego do oceanu. Nic dziwnego, że i najmniejszy artykuł o polskich lotnikach w Wielkiej Brytanii musi być zilustrowany stosowną fotografią. Z reguły podpis głosi, że jest na niej przedstawiony samolot Dywizjonu 303 z czasu Bitwy o Anglię. Tyle że z reguły wcale tak nie jest.

Pobieżny i losowy przegląd ilustracji towarzyszących takim tekstom (okładki książek, rozdziały w podręcznikach historii, artykuły gazetowe...) pokazuje olbrzymią dezynwolturę, ale i niewiedzę fotoedytorów w omawianej kwestii. Sytuacja ta jest o tyle irytująca, że wiedza pozwalająca prawidłowo zidentyfikować zarówno typ samolotu, jak i czas wykonania zdjęcia nie jest ani szczególnie skomplikowana, ani hermetyczna. Stąd też w niniejszym artykule postaram się przedstawić podstawowe informacje, pomagające przynajmniej orientacyjnie określić moment, w jakim wykonano interesujące nas zdjęcie. Mam nadzieję, że – po lekturze niniejszego tekstu – moje zdanie w tej kwestii podzieli czytelnicy „Pamięci.pl”.

Polskie lotnictwo wojskowe w Wielkiej Brytanii działało od połowy 1940

do końca 1946 roku, kiedy to zostały rozformowane ostatnie dywizjony. Pod względem operacyjnym stanowiło ono część Królewskich Sił Powietrznych (Royal Air Force, RAF), używało brytyjskich samolotów, zatem stosowano w nim te same systemy oznaczeń i schematy malowania. Ponieważ te z kolei zmieniały się podczas wojny, tylko na ich podstawie można, analizując archiwalne zdjęcie samolotu, z pewnym przybliżeniem określić czas jego wykonania. Jeśli dodamy do tego wiedzę, jakiego typu samolotów dany dywizjon w jakim okresie używał, możliwość precyzyjnego datowania zdjęcia istotnie się zwiększa.

Zacznijmy tu jednak od innej kwestii, mianowicie jak stwierdzić, w którym dywizjonie latał samolot, który widzimy na zdjęciu? Ponieważ systemy malowań różnych rodzajów samolotów (myśliwskich, bombowych, morskich...) różniły się nieco od siebie, aby na początek nie komplikować zagadnienia, zaprezentuję tylko malowania dziennych samolotów myśliwskich, skupiając się na malowaniach regulaminowych.

► Hurricane z Dywizjonu Myśliwskiego 306, marzec 1941 roku; uwagę zwracają: *fin flash* nietypowej wysokości z dużym czerwonym obszarem, umieszczenie szachownicy typowe dla tej formacji oraz godło jednostki widoczne pomiędzy mechanikiem ładującym taśmy z amunicją a rurami wydechowymi

## Dwa plus jeden, czyli skąd pan jesteście

Podczas wojny w RAF stosowano system oznaczania samolotów za pomocą trzyliterowych kodów, umieszczanych na kadłubie maszyny po obu stronach znaku rozpoznawczego. Dwie pierwsze litery były kodem dywizjonu, trzecia – oznaczała konkretny samolot w dywizjonie. Dwuliterowe kody były ogólnie przydzielane przez dowództwo RAF (niekiedy były one zmieniane). Tak więc kwestia przedstawia się prosto: jeśli na samolocie widzimy litery WX, to jest to samolot z Dywizjonu 302.

Nr dywizjonu	Kod
302	WX (od sierpnia 1945 – QH)
303	RF (od sierpnia 1945 – PD)
306	UZ
308	ZF
309	AR (od 1944 – WC)
315	PK
316	SZ
317	JH
318	LW

Pozostając przy temacie Bitwy o Anglię, nadmienimy jeszcze, że w tej



kampanii operacyjnie działały tylko cztery polskie dywizjony, w tym tylko dwa myśliwskie: 302 i 303 (pozostałe dwa to bombowe 300 i 301).

### Esesman w polskim samolocie?

Dowódcy skrzydeł myśliwskich, czyli jednostek składających się z kilku (od dwóch do pięciu, najczęściej jednak trzech) dywizjonów, mieli prawo do malowania na osobistych maszynach własnych inicjałów zamiast standardowych oznaczeń kodowych. Stąd na samolotach Tadeusza Rolskiego widniały litery TR, a Stanisława Skalskiego – SS... (por. schemat V)

Oznaczenia kodowe pozwalają więc nam zidentyfikować dywizjon, ale w datowaniu zdjęcia mogą być przydatne jedynie sporadycznie. Jeśli nie chcemy sobie zaśmiecać głowy markami, typami i odmianami samolotów, możemy się wspomagać innymi elementami malowanymi na samolotach, jak znaki rozpoznawcze, godła czy oznaczenia okolicznościowe. Zaczniemy od znaków.

### Jaki znak twój, czyli kolorowe kokardy

Brytyjskie lotnictwo wojskowe już w czasie I wojny światowej obrało na znak rozpoznawczy trójkolorową kokardę (*roundel*), czyli koło przy-

pominające tarczę strzelniczą (*notabene* motyw ten został wykorzystany w końcówce filmu *Top Secret*) o trzech kręgach (schemat I), które umieszczano na wszystkich powierzchniach samolotu (kadłub oraz dolna i górna powierzchnia skrzydeł). Ten typ kokardy oznaczono w regulaminie RAF jako A. Ponadto na stateczniku pionowym malowano prostokąt (*fin flash*) podzielony na trzy pionowe pasy (licząc od przodu: czerwony, biały, niebieski) równej szerokości. W początkowym okresie wojny bywał on rozciągany na całą wysokość statecznika, niekiedy też kolorem czerwonym wypełniano cały przedni obszar statecznika. W 1937 roku do kokard dodano od zewnątrz żółty krąg (znak A1). Było to malowanie niewątpliwie efektowne, ale za to mocno demaskujące, dlatego już w marcu 1939 roku oznaczenia zróżnicowano (schematy I–III). Znaki z żółtą obwódką (A1) pozostawiono tylko na kadłubie. Na dolnej powierzchni skrzydeł nie malowano początkowo nic, dopiero w połowie 1940 roku przywrócono formę podstawową znaku (typ A), dlatego jeszcze w Bitwie o Anglię spotykało się całe dywizjony samolotów bez znaków rozpoznawczych od spodu. Na górnej powierzchni skrzydeł malowano zaś kokardę tylko dwukolorową, niebiesko-czerwoną (typ B). Takie oznakowanie przetrwało do lipca 1942 roku, kiedy to zmniejszono jasne (białe i żółte) powierzchnie w znakach rozpoznawczych na wszystkich powierzchniach samolotu, sprowadzając je do wąskich pasków (znak A zmieniono na C, a A1 na C1; por. schemat IV). Dotychczas używane znaki miały silne własności demaskujące, co mogło się okazać niebezpieczne podczas powiększającej się aktywności samolotów RAF nad

kontynentem. Po zakończeniu wojny ponownie na wszystkich powierzchniach umieszczono znaki z żółtą obwódką, tym razem w aktualnie używanej formie (C1).

Opowiadając o polskich samolotach, nie sposób nie wspomnieć o polskim znaku rozpoznawczym – szachownicy. Zgodnie z polsko-brytyjską umową, na polskich samolotach w Wielkiej Brytanii umieszczano niewielką szachownicę z białym napisem „Poland” na dole. Wielkość szachownicy zmieniała się w zależności od okresu i dywizjonu, również nie zawsze umieszczano pod nią napis „Poland”. Z reguły szachownica była malowana na obudowie silnika, pod rurami wydechowymi, ale nie było to w żaden sposób skodyfikowane i np. Dywizjon 306 umieszczał ją pomiędzy literami kodowymi, na kadłubie. Z kolei w Dywizjonie 303 zaczęto ją malować dopiero od października 1940 roku, co oznacza, że przez całą Bitwę o Anglię samoloty najśłynniejszego polskiego dywizjonu były oznaczone – poza literami kodowymi – tylko charakterystycznym, okrągło-pasiastym godłem i w ogóle żadnych szachownic nie miały!

Dodatkowo w polskich dywizjonach malowano na kadłubach godło jednostki. Część z nich używała godła pochodzących jeszcze z przedwojennego lotnictwa polskiego, dla innych tworzone nowe. Niekiedy na samolotach malowano godło nieoficjalne.

### Pasy, paski, paseczki, czyli swój czy wróg

Poza standardowymi znakami rozpoznawczymi na samolotach pojawiały się oznaczenia specjalne, najczęściej tzw. oznaczenia szybkiej identyfikacji, czyli elementy w dobrze widocznych kolorach, malowane w specjalnych miejscach samolotu, mające umożliwić szybką i bezbłędną identyfikację swoich maszyn (o co, jak przekonują relacje pilotów, w ferworze walki powietrznej wcale nie było łatwo).

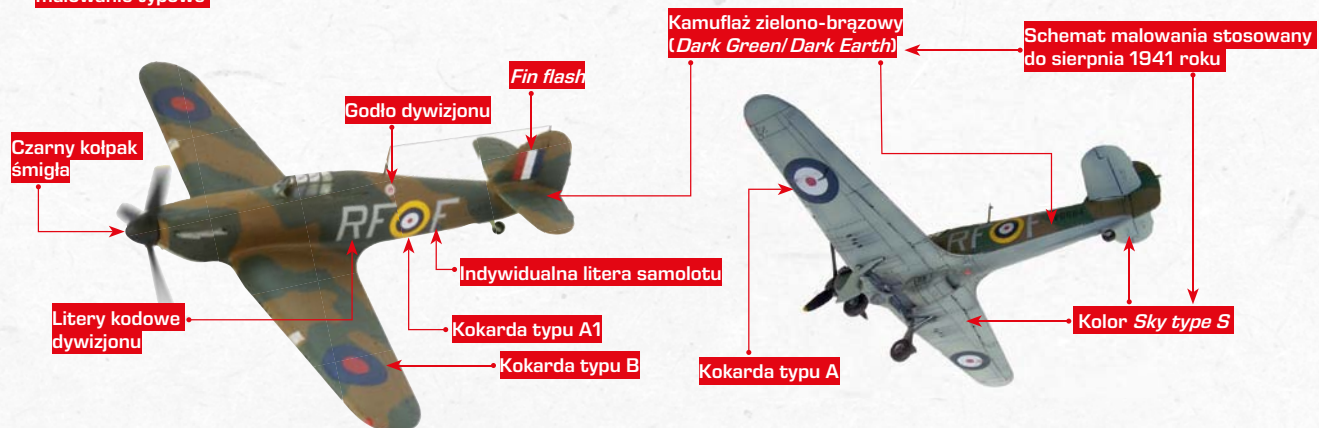
Pierwszym takim elementem, którym oznakowano samoloty już w listopadzie



Fot. NAC

► **Czarno-biała pułapka.** Żółta w rzeczywistości obwódka w kokardzie na kadłubie na czarno-białych zdjęciach niekiedy prezentuje się jako czarna; na zdjęciu Spitfire z Dywizjonu 303 z za głowy por. Witolda Łokuciewskiego (pierwszy z lewej) wystaje fragment godła jednostki

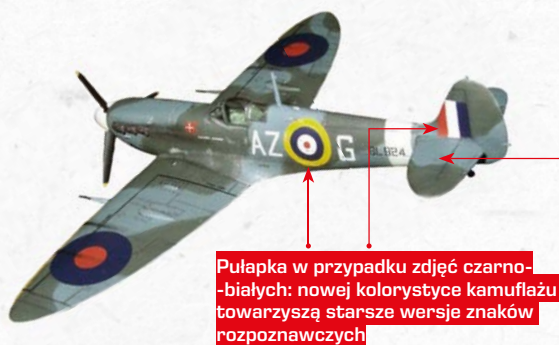
I. Hurricane Mk. I z Dywizjonu 303, Bitwa o Anglię (wrzesień–październik 1940 roku); malowanie typowe



II. Spitfire Mk. IIa z Dywizjonu 315, lipiec–sierpień 1941 roku



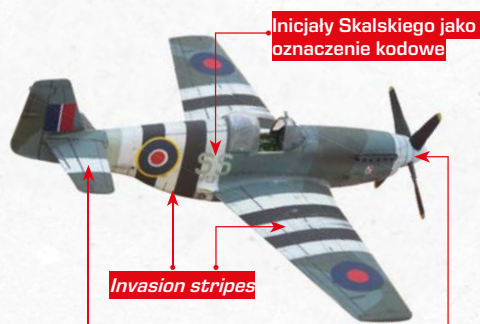
III. Spitfire Mk. Vb z Dywizjonu 234, początek 1942 roku



IV. Spitfire Mk. Vb z Dywizjonu 303, lipiec 1942 roku



V. Mustang Mk. III Stanisława Skalskiego, czerwiec–lipiec 1944 roku



VI. Spitfire Mk. IXc z eskadry C (Polish Fighting Team) w Dywizjonie 145, Afryka Północna, marzec–maj 1943 roku







► Fot. ze zbiorów autora  
 ▶ Pomiedzy 4 a 11 lipca 1942 roku na spitfire'ach w 11. Grupie Myśliwskiej (do której należały wówczas m.in. polskie Dywizjony 302, 306 i 317) pojawiły się białe pasy na obudowie silnika, na statecznikach poziomych oraz malowany na biało kołpak śmigła; nie wiadomo, w jakim celu rozkazano je namalować, ale w literaturze pokutuje błędne przekonanie, jakoby były to znaki szybkiej identyfikacji samolotów wspierających próbną desant na brzeg francuski w Dieppe

1940 roku, był pas w kolorze jasnoseledynowoszarym, regulaminowo nazwany *Sky type S* (zawsze zastanawiałem się, co jest nie tak z angielskim niebem, że było ono zielone, a nie niebieskie, jak gdzie indziej...), malowany na ogonie samolotów. Równocześnie tak samo zaczęto malować kołpaki śmigieł (schematy II–V). Pod koniec wojny w samolotach operujących na kontynencie zrezygnowano z tego elementu, a kołpaki śmigieł z powrotem przemalowano na czarno.

Kolejnym elementem szybkiej identyfikacji było malowanie zewnętrznych fragmentów krawędzi natarcia (czyli przednich) skrzydeł żółtą farbą. To oznaczenie wprowadzono w sierpniu 1941 roku (schemat IV).

Od 1942 roku do RAF-u zaczęto wprowadzać amerykańskie samoloty Mustang, które ze względu na prostokątny obrys skrzydeł upodabniały się do niemieckich messerschmittów Bf-109E. Aby uniknąć tragicznych pomyłek, wprowadzono znaki szybkiej identyfikacji, które po jakimś czasie ustaliły się w formie szerokich białych pasów na skrzydłach, statecznikach pionowych i poziomych oraz białych kołpaków śmigieł i przodów kadłuba (por. schemat V).

Na potrzeby inwazji na kontynent (operacji „Overlord”), rozpoczętej 6 czerwca 1944 roku, wprowadzono na wszystkich alianckich samolotach nowe znaki szybkiej identyfikacji. Były to pasy inwazyjne (*invasion stripes*), pięć naprzemiennie ułożonych pasów białych i czarnych, malowanych na obu powierzchniach skrzydeł i wokół całego kadłuba. Niekiedy całkowicie lub częściowo przykrywały one pas w kolorze *Sky* malowany na ogonie (por. schemat V). W miarę postępów wojsk alianckich we Francji, pomiędzy sierpniem a październikiem, zamalowywano je na górnych powierzchniach skrzydeł oraz górze i bokach kadłuba (demaskowały bowiem samoloty na lotniskach polowych). Do początku 1945 roku znikły one zupełnie.

### Plamy i ciapki, czyli gdzie ty się schowałeś?

Zagadnienia dotyczące malowania samolotów byłyby niepełne bez opisu kamuflażu, czyli malowania maskującego. W przypadku RAF-u były to nieregularne plamy na górnych i bocznych powierzchniach samolotów, w początkowym okresie wojny w kolorach zielonym i brązowym (*Dark Green/Dark Earth*; schematy I i II). Sposób malowania dolnych powierzchni zmieniał się. Do czerwca 1940 roku były one biało-czarne, a podział przebiegał wzdłuż osi samolotu. Takie malowanie miało ułatwiać identyfikację swoich maszyn z ziemi. Potem malowano je na kolor *Sky* (schematy I, II). W czasie Bitwy o Anglię można było także

spotkać różne wersje pośrednie tych malowań, jak samoloty pomalowane od spodu kolorem *Sky*, ale z jednym czarnym skrzydłem, lub malowanie „połówkowe”, gdzie zamiast białego występował kolor *Sky*. Znak rozpoznawczy na czarnym skrzydle (jeśli był umieszczony) miał dodatkowo wąską, żółtą obwódkę.

W maju 1941 roku, w związku z przeniesieniem głównego ciężaru działań lotniczych nad Francję, co wiązało się z przelotami nad morzem, zmieniono kolor brązowy na szary (*Ocean Grey*) na górnych i bocznych powierzchniach, a na dolnych na jasnoszary (*Sea Grey Medium*). Ten schemat malowania stosowano już do końca wojny (schematy III–V). Co prawda, praktycznie wszystkie dotyczące tematu zdjęcia archiwalne, z którymi mogą się zetknąć nasi czytelnicy, będą czarno-białe, i konia z rzędem temu, kto na nich odróżni kolor brązowy od szarego, ale warto pamiętać, że już w muzeach czy na pokazach powietrznych samoloty historyczne czarno-białe nie są...

Dodatkowo należy wspomnieć o kamuflażu pustynnym, stosowanym przez RAF w Afryce Północnej (schemat VI). O tyle wiąże się to z naszym tematem, że słynny Cyrk Skalskiego (*Polish Fighting Team*) latał właśnie na tak malowanych samolotach. Stosowano w nim kolory brązowy (*Dark Earth*) i piaskowy (*Middle Stone*), a na dolnych powierzchniach ciemnoniebieski (*Azure Blue*). Nie stosowano pasa w kolorze *Sky* na ogonie, a kołpaki śmigieł malowano na ciemnoczerwono (*Dull Red*).

Oddzielnym zagadnieniem jest kwestia typów stosowanych samolotów. Na załączonych ilustracjach zaprezentowałem zdjęcia podstawowych typów myśliwców jednomiejscowych (Hurricane, Spitfire i Mustang), używanych przez polskie dniowe (bo był i jeden nocny) dywizjony myśliwskie w Wielkiej Brytanii. 🍷

dr Tomasz Ginter – historyk, pracownik BEP IPN, współautor planszowej gry edukacyjnej 303

## UWAGA! Konkurs



Fot. NAC

Powyższe zdjęcie często jest błędnie opisane. Prosimy o podanie prawidłowego opisu (nazwa i typ samolotu) i wskazanie elementu, który pozwala na identyfikację. Odpowiedzi prosimy przysyłać na adres [tomasz.ginter@ipn.gov.pl](mailto:tomasz.ginter@ipn.gov.pl); trzy wylosowane spośród prawidłowych odpowiedzi zostaną nagrodzone egzemplarzami gry 303 z autografami autorów

# Bohater, o którym mieliśmy zapomnieć

Marcin Zwolski

Już w czasie wojny stał się niewygodny, zarówno dla okupanta, jak i dla swoich – żołnierzy podziemia. Po roku 1945 był uciążliwy także dla komunistów. W latach powojennych jego postać była marginalizowana i dezawuowana nie tylko w oficjalnej historiografii, lecz także w niektórych wspomnieniach żołnierzy konspiracji. Jeśli siłę człowieka można mierzyć liczbą jego nieprzyjaciół, to Zbigniew Rećko „Trzynastka” był prawdziwym mocarzem.

**U**rodził się w 1923 roku w Białymstoku. Wychowywał go tylko ojciec – Bolesław, funkcjonariusz Policji Państwowej – bo matka opuściła rodzinę, gdy Zbyszek miał siedem lat. Wyjechała nagle, bez uprzedzenia i pożegnania. Dla ojca Zbyszka to był szok. Po latach wspominał: „Siadłem, bo czułem, że ziemia usuwa mi się spod nóg, traciłem równowagę psychiczną, a nieproszone łzy popłynęły strumieniem. Wtedy podszedł do mnie Zbynio, objął swymi drobnymi rączkami za szyję i powiedział: »Nie płacz, tato, jakoś będziemy obaj żyć«”.

Ojciec wychowywał go najlepiej, jak umiał. Wymagał solidnego podejścia do nauki, sam dokształcał go w języku niemieckim. Zbyszek był dobrym uczniem. Szczególne zdolności przejawiał w nauce języków, wyróżniał się też w sporcie. Dziewczęta uwodził śpiewem, grą na skrzypcach i fortepianie, choć ze względu na historię z matką podchodził do nich z lekceważeniem, a nawet awersją. Koledzy szkolni wspominali go jako indywidualistę, nieco wyobcowanego. Mówili, że był „trochę narwany”.

Uczył się w Gimnazjum Męskim im. Józefa Piłsudskiego w Białymstoku. Nie ukończył go, bo wybuchła wojna. W sierpniu 1939 roku ojciec Zbyszka został zmobilizowany i szesnastoletni chłopak został sam. We wrześniu jednostka, w której służył Bolesław Rećko, przeszła na terytorium Litwy, gdzie została rozbrojona, a jej żołnierze inter-

▶ Zbigniew Rećko „Trzynastka”

nowani. Zbyszek nigdy już nie zobaczył ojca, który przeszedł szlak wojenny jako żołnierz 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa i wrócił do Polski dopiero po śmierci syna.

## W paszczy lwa

W kwietniu 1940 roku do domu Rećków wkroczył NKWD, bo właśnie wtedy wywożono do Kazachstanu rodziny policjantów. Zbyszka nie było w domu. Wkrótce potem nielegalnie przekroczył granicę Generalnego Gubernatorstwa i uciekł do Warszawy, do rodziny ojca. Miesiąc później Niemcy zgarnęli go w łapance i trafił do gospodarstwa rolnego w Bawarii na przymusowe roboty. Uciekł po roku, a w listopadzie 1941 roku przedostał się do Białegostoku. W mieście rządzą już Niemcy.

Szybko okazało się, że koledzy ze szkolnej drużyny harcerskiej działają w konspiracji. W lutym lub marcu 1942 roku Zbyszek został zaprzysiężony w Bojowej Organizacji „Wschód”. Organizacja ▶



Fot. ze zbiorów Armii Wysłubinskiej

▶ Zbigniew Rećko w wieku 10 lat; z prawej ojciec Bolesław, z lewej wujek; Białystok, 1933 rok



Fot. ze zbiorów Armii Wysłubinskiej

postanowiła wykorzystać jego świetną znajomość języka niemieckiego. Zaczął pracę w sklepie, który zaopatrywał wojsko niemieckie w mięso. Dzięki Zbyszce BOW miała aktualne dane na temat liczebności sił okupacyjnych w Białymstoku. Latem, prawdopodobnie dzięki kontaktom organizacji, rozpoczął pracę jako tłumacz i wartownik w białostockiej siedzibie gestapo. Przyjął pseudonim „Lew”. Szybko zdobył zaufanie Niemców, dzięki czemu dostarczał dowództwu BOW materiałów z przesłuchań więźniów, a uwięzionym przynosił żywność.

22 października 1942 roku gestapo aresztowało trzech członków Sztabu Okręgu AK Białystok: mjr. Stefana Fijałkowskiego „Młotka”, mjr. Mariana Światalskiego „Sulimę” oraz kpt. Stanisława Jacynę „Piłę”. Niemcy nie znali jednak ani ich prawdziwych personaliów, ani funkcji, które pełnili w Polskim Państwie Podziemnym. Komendant Okręgu, ppłk Władysław Liniarski „Mścislaw”, postanowił, że należy ich jak najszybciej odbić. Akcją miał pokierować ppor. Edward Jaświłko „Zaremba”.

Jaświłko dowiedział się, że BOW ma w gestapo swoją wtyczkę. Skiero-

wano go do Aleksandry Strok „Róży” – łączniczki AK, a prywatnie sympatii Zbyszka. Jaświłko i Rećko spotkali się w domu Stroków. „Zarembę”, dla którego było podejrzane to, że dziewiętnastoletni chłopak był agentem w paszczy lwa, dyskretnie ubezpieczali członkowie komórki likwidacyjnej AK. Zbyszek narysował mu plan budynku gestapo i pokazał, gdzie byli osadzeni więźniowie. Powiedział też, że może ich sam wyprowadzić poza mury aresztu. Poprosił jedynie o grupę osłonową AK i samochód do ewakuacji. Jaświłko nie zgodził się od razu. Po prostu nie ufał młodemu konspiratorowi. Po kilku dniach doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia, ryzyko dalszej zwłoki było bowiem zbyt duże. Wiele wskazuje jednak na to, że nadal miał wątpliwości co do szczerości intencji Zbyszka.

W nocy z 31 października na 1 listopada Rećko uspił strażników środkiem nasennym dosypanym do samogonu i wyprowadził kolejno trzech aresztowanych oficerów AK. Trafili oni bez problemów pod osłonę oczekujących żołnierzy, ale dalej nic już nie poszło zgodnie z planem. Chyba że właśnie taki był plan... Zbyszek powrócił do aresztu jeszcze raz, poproszono go bo-

wiem, aby uwolnił też łączniczkę Sztabu Okręgu AK – Kazimierę Horodyńską „Kazię”. Gdy oboje wyszli na ulicę, nikt na nich nie czekał. Ponoć samochód, który miał ich zabrać, zepsuł się, ale wydaje się bardzo prawdopodobne, że Jaświłko wciąż wątpił w lojalność Zbyszka i celowo zmienił sposób i drogę odwrotu. Uwolnieni oficerowie zostali przeprowadzeni pieszo do przygotowanego punktu przerzutowego. Akowcy z grupy osłonowej wycofali się zaś na chwilę za przyuliczne budynki, bo ulicą szedł niemiecki patrol. Tak przynajmniej brzmiała oficjalna wersja. Czy jest możliwe, że Jaświłko zdecydował o pozostawieniu Zbyszka i Kazi samym sobie, aby nie ryzykować dekonspiracji i bezpieczeństwa uwolnionych? Dzisiaj nikt nie jest w stanie tego rozstrzygnąć. W każdym razie tych dwoje uciekało dalej na własną rękę. Gdy na ich drodze stanął uzbrojony strażnik pocztowy, padły strzały. Strażnik zginął. W odwecie za jego śmierć Niemcy rozstrzelali 25 Polaków, w tym przyjaciela i kuzynkę Rećki.

Zbyszek i Kazia rozdzielili się. Ona ukryła się u znajomej, on pobiegł do domu Stroków. Matka Oleńki, Janina, ukryła chłopaka w chlewie u sąsiada – Feliksa Walczaka był jedynym, który zgodził się pomóc. Do rana gestapo przeprowadziło u Stroków trzy rewizje, przeszukiwało też posesję Walczaka, ale Zbyszek ocalał. Ukrywał się z pomocą znajomych jeszcze kilka dni, zanim AK zorganizowała mu przerzut za miasto. Dlaczego trwało to tak długo? Czy akowcy nadal mu nie ufali? Może po prostu przeszkodziły im w tym trwające cały czas intensywne poszukiwania gestapo. Ostatecznie Zbyszek znalazł się w terenie, a niedługo potem został przyjęty do AK pod pseudonimem „Trzynastka” i otrzymał przydział do komórki ochrony Sztabu Obszaru Białystok.

### Wśród akowców

Wreszcie zdobył zaufanie akowców oraz sympatię wielu z nich. Niektórzy uczestnicy akcji uwolnienia więźniów gestapo wciąż jednak patrzyli na niego



Fot. ze zbiorów Anny Wysibirskiej

► Zbigniew Rećko „Trzynastka” i Zenon Skawski „Szczęsny” w trakcie szkolenia wojskowego, rejon Kolak Kościelnych, lato 1943 roku

Fot. ze zbiorów Bantosa Kędziory



► Od lewej: Zygmunt Stokowski „Oliwa”, Tadeusz Westfal „Karaś”, Zbigniew Rećko „Trzynastka”; rejon Łap, wiosna 1944 roku

z niechęcią. Nie ukrywał bowiem żalu, że nikt go nie poinformował o zmianie planu ucieczki, czego skutkiem był incydent z pocztowcem i śmierć wielu Polaków, w tym jego bliskich. Poza tym to na niego spadł niemal cały splendor z powodu udanej operacji, o której było głośno w kraju. Dodatkową zazdrość budził Krzyż Walecznych, który po kilku miesiącach ozdobił pierś zaledwie dwudziestoletniego chłopca.

W czerwcu 1943 roku „Trzynastka” ukończył konspiracyjną szkołę podchorążych, uzyskał stopień kaprała podchorążego i został przydzielony do okręgowego oddziału Kierownictwa Dywersji. 1 marca 1944 roku objął funkcję zastępcy szefa Kedywu Okręgu AK Białystok, ppor. Tadeusza Westfala „Karasia”. Na początku lipca, po tragicznej śmierci Westfala, pełnił krótko obowiązki szefa Kedywu Okręgu. Potem dowództwo nad oddziałem objął pchor. Zygmunt Stokowski „Oliwa”, a Rećko, jako jego zastępca, wziął udział w akcji „Burza”. Po kilku potyczkach z żandarmerią oraz oddziałami

mi Wehrmachtu, starli się z niemiecką kolumną ewakuacyjną koło wsi Czarnowo-Undy. W trakcie walki Stokowski zginął, dowódzenie przejął Rećko. Niemcy zostali rozbici. Kedyw zdobył dużą ilość broni i uwolnił grupę jeńców sowieckich. Gdy w końcu lipca oddziałowi powierzono ochronę radiostacji Sztabu Okręgu Białystok, dowództwo nad nim przejął mjr Marian Świtalski „Sulima”. W pierwszych dniach sierpnia oddział, otoczony przez frontowe wojska niemieckie, został rozwiązany. „Trzynastka” wraz z „Sulimą” i kilkoma najbliższymi współpracownikami przeczekali przejście frontu w leśnym bunkrze.

### Przeciw Sowietom

Gdy wyszli, znaleźli się w nowej rzeczywistości – na Białostocczyznę powrócili Sowieci. Zbyszek (pod fałszywym nazwiskiem) podjął pracę w Zarządzie Lasów w Zambrowie. 10 października 1944 roku ożenił się z łączniczką, Anną Czajkowską „Plewką”. Oboje wrócili do konspiracji. Kilka tygodni później

Ania została aresztowana i wywieziona do sowieckiego łagru w Ostaszku.

Zbyszek rzucił się w wir działań konspiracyjnych. 10 listopada został awansowany do stopnia podporucznika i po raz drugi odznaczony Krzyżem Walecznych. W grudniu został adiutantem kpt. Ferdynanda Tokarzewskiego „Kruka”, komendanta Obwodu AK Zambrow. Otrzymał też zadanie specjalne. Miał przygotować serię zamachów na najgroźniejszych miejscowych przedstawicieli bezpieki, m.in. ppłk. Ilję Winoogradowa, lokalnego szefa sowieckiego kontrwywiadu wojskowego Smiersz (Specjalnyje Metody Rozobłaczenija Szpionow – Specjalne Metody Wykrywania Szpiegów), oraz por. Stanisława Zasztofta, szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Wysokim Mazowieckiem. Plany pokrzyżowała obława NKWD/UB – 21 stycznia 1945 roku ciężko ranny Rećko trafił do więzienia w rodzinnym Białymstoku.

Pomimo przestrzelonego płuca i wdającego się zakażenia przeszedł ciężkie śledztwo, w czasie którego próbowano go zwerbować do współpracy, żądając wydania ppłk. Liniarskiego „Mścisława”, komendanta nowo utworzonej organizacji – Armii Krajowej Obywatelskiej. Rećko był przetrzymywany w suterrenach więzienia, bez spacerów, pryczy i kubła na nieczystości (potrzeby fizjologiczne załatwiał na betonową posadzkę celi). 7 maja ubecy urządzili mu sfingowany proces, na którym zapadł wyrok śmierci. Zapowiedzieli, że zostanie wykonany za dwa dni, publicznie, przez powieszenie na rynku w Białymstoku. 9 maja, gdy pogodzony ze śmiercią oczekiwał na egzekucję, ogłoszono zakończenie wojny, a funkcjonariusze UB i więzienia hucznie świętowali. Kilku więźniów wykorzystało okazję i zorganizowało ucieczkę. Zbiegło ponad stu, wśród nich Rećko. AKO przerzuciła go do Warszawy, gdzie pod fałszywym nazwiskiem kurował się oraz przeszedł zabieg chirurgiczny. 1 czerwca 1945 roku za całokształt swych zasług został odznaczony Orderem Virtuti Militari V klasy. ►

## Nierówna walka

Na Białostoczną powrócił jesienią. Został adiutantem i najbardziej zaufanym człowiekiem ppłk. Mariana Świtalskiego, który pod pseudonimem „Juhász” kierował teraz Okręgiem Białystok Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. 31 stycznia 1946 roku z zesłania wróciła Anna Rećko. Szybko dołączyła do grona zebranego wokół ppłk. Świtalskiego i została jego łączniczką. W trakcie kolejnych miesięcy pracowali w konspiracji, ukrywając się w leśnych ziemiankach lub u znajomych gospodarzy. Komendant Okręgu wystąpił do Zarządu Głównego WiN o awans dla Rećki do stopnia porucznika i trzecie odznaczenie Krzyżem Walecznych. „Trzynastka” nie doczekał zatwierdzenia tych wniosków.

Kolejną akcję miał przeprowadzić w październiku 1946 roku. Żona aresztowanego komendanta Liniarskiego, Irena, nawiązała bardzo bliskie i – z punktu widzenia WiN-u – niebezpieczne kontakty z funkcjonariuszami UB. Przywłaszczyła sobie także część organizacyjnych funduszy. Niektórzy sądzą, że usiłowała wykupić męża. Nawet jeśli rzeczywiście tak było, to jej działania stanowiły zagrożenie dla organizacji. Prezes Obszaru Centralnego WiN, ppłk Wincenty Kwiecieński „Głóg”, i jego zastępca, ppłk Stanisław Sędziak „Wiatr”, wydali rozkaz likwidacji Liniarskiej. Niebezpieczną akcją na obcym terenie mógł wykonać tylko najlepszy, najbardziej zaufany człowiek – Rećko. Dobrze zresztą znał Liniarską, bo to w jej mieszkaniu kurował się po ucieczce z więzienia. To miało ułatwić zadanie, ale było też elementem szczególnego dramatu „Trzynastki”. Otrzymał jednak rozkaz, który – jak zawsze – zamierzał wykonać. Ponoć postawił jedynie warunek, że to nie on pociągnie za spust. Do pomocy otrzymał kolegę, Mariana Armatowicza „Delfina”. W pierwszych dniach października Liniarska została zlikwidowana.

Konspiratorzy wrócili z Warszawy 11 października rano. Wysiedli z pociągu koło Wysokiego Mazowieckiego

i ruszyli w kierunku swej bazy. Drogę zastąpił im pluton operacyjny milicji. Ucieczka się nie powiodła, na skraju lasu Zbigniew Rećko został trafiony śmiertelnie serią z broni maszynowej. Armatowicz rzekomo zbiegł, ale później okazało się, że podjął współpracę z UB. Czy zdradził już wcześniej? Czy milicja czekała na nich w ustalonym miejscu? A może właśnie wtedy złapali go i z obawy o życie zgodził się na współpracę? Na te pytania brakuje odpowiedzi. Ciało Rećki przewieziono do siedziby UB w Wysokiem Mazowieckiem. Po kilku dniach Rećkę pochowano w bezimiennym grobie na miejscowym cmentarzu. Rok później, dzięki niezwyklej determinacji i szczęściu, Anna Rećko ekshumowała zwłoki męża i pochowała je na cmentarzu parafialnym w Kobylinie.

## Przywracanie pamięci

Zbigniew Rećko „Trzynastka” pozostał na wiele lat zapomniany, zepchnięty w cień. Nawet gdy można już było pisać o AK i jej akcjach przeciwko Niemcom, o nim albo milczano, albo przedstawiano go w złym świetle. W iluż to publikacjach występował jako „gestapowiec” lub „volksdeutsch”, który „pomógł” przeprowadzić akcję uwolnienia więźniów gestapo. Także we wspomnieniach i opracowaniach historycznych byłych akowców nie doczekał się należytego upamiętnienia. Białostocka AK chlubiła się głośną akcją z 1942 roku i nie godziła się na oddanie największej w niej zasługi młodemu chłopakowi z BOW. Wielu byłych akowców nie potrafiło też zapomnieć wyroku na Irenie Liniarskiej. Dla nich komendant Liniarski pozostawał legendarnym dowódcą, a wyrok na jego żonie był oceniany jako co najmniej kontrowersyjny. Pewne znaczenie mogły też mieć wpływy w tym środowisku Armatowicza, który dożył sędziwych lat w glorii bohatera i którego świadectwo o byłym koledze nie zawsze było uczciwe.

O dobre imię męża walczyła niestannie wdowa – Anna. To dzięki niej Zbigniew Rećko wrócił na właściwe

miejsce w historii. W 1996 roku w Białymstoku zawisła tablica przypominająca o akcji uwolnienia więźniów gestapo. W 2009 roku prezydent Lech Kaczyński odznaczył Rećkę pośmiertnie Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. W 2011 roku Rećko został patronem jednej z białostockich ulic. Zwykły chłopak z Białegostoku, niezwykły bohater. Teraz już niezapomniany. 🍀

dr Marcin Zwolski – historyk, pracownik OBEP IPN w Białymstoku



Fot. ze zbiorów Anny Wysibińskiej

▶ Zbigniew i Anna Rećkowie, okolice wsi Krusze koło Kołak, wrzesień 1946 roku



Fot. ze zbiorów Anny Wysibińskiej

# Cinkciarz

Jerzy Kochanowski

Tak jak „baba z mięsem” była w PRL symbolem nielegalnego obrotu cieleciną lub schabem, tak też ikoną handlu dewizami, zwłaszcza dolarami, byli cinkciarze.

**N**azwa „cinkciarz” pochodzi od angielskiego zwrotu *change (money)*, którym posługiwali się Polacy proponujący cudzoziemcom wymianę pieniędzy na warunkach korzystniejszych niż w banku. Pojawiła się pod koniec lat pięćdziesiątych w Gdyni, która jako miasto portowe miała wtedy najszerzy kontakt z cudzoziemcami, lecz upowszechniła się dopiero dekadę później.

Przez pół wieku cinkciarze stanowili nieodłączny element krajobrazu społecznego, ekonomicznego, a nawet kulturowego polskich miast. Już w czasie II wojny światowej, ale także po jej zakończeniu, nielegalny handel dolarami i złotem był ważnym segmentem czarnego rynku. Włoski dziennikarz i dyplomata Alceo Valcini, mieszkający w Polsce w latach 1945–1946, pisał o warszawskiej czarnej giełdzie: „Można było [na niej] spotkać intelektualistę, przedstawiciela wolnych zawodów, nauczyciela, młodych złodziejasków [...], byłych studentów, młodych terminatorów, byłe służące i zwykłych przestępców; wszystkich ludzi, których z normalnego życia wytrąciły wojenne wypadki, a którzy po mistrzowsku, cierpliwie i zręcznie usiłowali utrzymać się na powierzchni morza śniegu pokrywającego Warszawę” (*Bal w hotelu „Polonia”*, Warszawa 1983, s. 32). Ta różnorodność była zresztą cechą cinkciarzy aż do końca PRL, a była ona skutkiem społecznej akceptacji nieoficjalnej wymiany i powszechnego uczestnictwa w tym w procederze. Środowisko waluciarzy, które w latach siedemdziesiątych

znacznie się poszerzyło m.in. o studentów i uczniów szkół średnich, zawsze było wspierane przez szatniarzy, kelnerów, taksówkarzy i barmanów.

Oplacalność nielegalnej wymiany była wysoka (bez trudu osiągnano dziesięciokrotność przeciętnej pensji!). Ryzyko również było duże, ale profesjonalni cinkciarze – korzystając z luk prawnych – potrafili wypracować skuteczne strategie obronne i dzięki temu wywijać się z najtrudniejszych sytuacji. „To zawód jest charakterystyczne – pisała Krystyna Świątecka – jeśli przyjrzeć się zorganizowanemu systemowi podziału ról i funkcji wśród waluciarzy. Jedni zajmują się tylko dostawami, inni rozprawdaniem, niejako akwizycją, jeszcze inni – skupem waluty czy przemytem. Podział ról jest swoistą gwarancją bezpieczeństwa: wpadka nie pociąga za sobą zagrożenia dla pozostałych” (*Waluciarze*, „Perspektywy” 1977, nr 49).

W pamięci zbiorowej – wspieranej m.in. przez filmy, realizowane zarówno przed 1989 rokiem, jak i później – utrwalił się stereotyp cinkciarza jako młodego, zaradnego, nigdzie oficjalnie niepracującego mężczyzny, zazwyczaj ubranego w charakterystyczną kusą kurteczkę (by mógł szybciej uciekać). W rzeczywistości było inaczej. Zawodowy cinkciarz zajmował się nie tylko nielegalną wymianą, lecz także wszelkimi innymi dochodowymi interesami. Nie stronił też od oszustw. W 1985 roku Komenda Główna Milicji Obywatelskiej przeanalizowała skład społeczny 3939 cinkciarzy. Większość – 2726 osób – legitymowała się stałym

miejsmem zatrudnienia, 515 było rencistami lub emerytami, tylko nieco mniej niż 14 proc. ani nie pracowało, ani się nie uczyło. Ponad 27 proc. (1062) stanowiły kobiety, 20 proc. (792) miało więcej niż 50 lat; 1992 osoby lokowały się w przedziale 40–49 lat, a tylko 675 miało 25–29 lat.

Epoka cinkciarzy zaczęła się kończyć wraz z wprowadzoną w marcu 1989 roku wewnętrzną wymienialnością złotego i dopuszczeniem koncesjonowanych kantorów do obrotu walutą. Część cinkciarzy wyczuła koniunkturę i zalegalizowała swoją działalność, większość jednak próbowała zarabiać w dotychczasowy sposób. Jeszcze przez kilka lat wydeptywali chodniki przed kantorami czy bankami. Stopniowo tracili jednak klientów, dla których coraz bardziej liczyła się nie tyle minimalna różnica w cenie, ile bezpieczeństwo i wygoda. O ile bowiem gazety pełne były (zwłaszcza w roku 1989 i 1990) informacji o oszustwach dokonanych przez cinkciarzy, o tyle na kantory z zasady nie narzekano. Cinkciarze tracili więc klientów i na początku lat dziewięćdziesiątych zniknęli. Pozostali jednak w zbiorowej pamięci i pewnie dlatego pierwszy wprowadzony w 2012 roku internetowy system wymiany walut nazwano „cinkciarz.pl”.

Choć zjawiska prezentowane w tej rubryce szczęśliwie przeminęły wraz z PRL, nie powinniśmy o nich zapominać. Przeszłość każdy pamięta jednak inaczej. Niech zamieszczane tu teksty staną się dla Czytelników pretekstem do sięgnięcia do szuflad lub pamięci i uzupełnienia naszej wiedzy. Historię można pisać wspólnie!

prof. dr hab. Jerzy Kochanowski – pracownik Zakładu Historii XX Wieku Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, autor m.in. *Tylnymi drzwiami*. „Czarny rynek” w Polsce 1944–1989 (2010)

# Miejsca pamięci o rewolucji węgierskiej

Konrad Białecki

Jesienią 1956 roku wojska radzieckie brutalnie stłumiły powstanie na Węgrzech, obalając rząd Imrego Nagya. Nowe komunistyczne władze na czele z Jánosem Kádárem, pierwszym sekretarzem Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, czyniły wszystko, aby nie tylko zatrzeć pamięć o zrywie z 1956 roku, lecz także wypaczyć jego sens.

**A**ż do roku 1989 jedyną dopuszczalną na Węgrzech formą upamiętnienia wydarzeń „kontrewolucyjnych” sprzed lat było uroczyste składanie wieńców pod pomnikiem poległych funkcjonariuszy ÁVH, węgierskiej służby bezpieczeństwa. Pamięć o prawdziwym obliczu rewolucji starali się jednak kultywować węgierscy emigranci. W kilku miastach Kanady i Stanów Zjednoczonych ufundowali oni pomniki przypominające obywatelom państw zachodnich o węgierskiej tragedii (fot. 1 – pomnik w Bostonie).

Na Węgrzech garstka opozycjonistów już w połowie lat osiemdziesiątych starała się publicznie czcić pamięć poległych. Prawdziwy przełom nastąpił jednak dopiero w roku 1989. 16 czerwca – w kolejną rocznicę stracenia premiera Imrego Nagya oraz jego towarzyszy – zorganizowano ich uroczysty pogrzeb, będący jednocześnie symbolicznym złożeniem hołdu wszystkim powstańcom-bohaterom, którzy oddali życie za wolność kraju lub padli ofiarą kadarowskich represji. Główne obchody ku ich czci odbyły się na pl. Bohaterów w Budapeszcie, gdzie zebrało się kilkaset tysięcy osób. Wydarzenie to można uznać za początek końca rządów komunistów nad Dunajem.

Od drugiej połowy 1989 roku w wielu punktach stolicy Węgier zaczęły powstawać pomniki i tablice, przypominające zarówno mieszkańcom, jak

i turystom o pełnych bohaterstwa i cierpienia dniach sprzed kilkudziesięciu lat.

Jedną z pierwszych tablic wmurowano 25 października 1989 roku we frontową ścianę gmachu Ministerstwa Rolnictwa, znajdującego się przy pl. Kossutha. Upamiętnia ona 75 ofiar masakry, do której doszło 25 października 1956 roku w trakcie pokojowej manifestacji. W podcieniach umieszczono imitację wystrzeliwanych wtedy kul (fot. 2). Na tym samym placu, bezpośrednio przed gmachem parlamentu, stanął pomnik w kształcie bloku czarnego granitu. Na jego szczycie co roku 23 października jest zapalany tzw. Płomień Rewolucji, który płonie do 4 listopada (fot. 3). Kilkanaście metrów dalej można zatrzymać się przy symbolicznej mogile upamiętniającej ofiary „czarnego czwartku”, jak nazwano 25 października 1956 roku. (fot. 4).

Tuż obok gmachu Ministerstwa Rolnictwa, na skwerze przy ul. Báthory, znajduje się oryginalny w formie pomnik Imrego Nagya. Ubrany w długi płaszcz i kapelusz premier spogląda z niewielkiego mostku w stronę parlamentu (fot. 5). Co interesujące, ten skromny pomnik spotkał się z dużo cieplejszym przyjęciem mieszkańców



Fot. ze zbiorów J. Kolodziejskiego

► Fot. 1.



Fot. ze zbiorów autora

► Fot. 2



Fot. ze zbiorów autora

► Fot. 3

► Fot. 5



Fot. ze zbiorów autora

► Fot. 4

Budapesztu niż największy z monumentów poświęconych rewolucji węgierskiej, znajdujący się na skwerze Powstańców 1956 roku, w miejscu gdzie niegdyś stał pomnik Józefa Stalina, obalony przez manifestantów 23 października 1956 roku. Przyczyną sceptycyzmu wielu mieszkańców stolicy jest zarówno abstrakcyjna forma pomnika (2006 stalowych belek zbiegających się w jedną strukturę przypominającą klin) jak i fakt, że tymi, którzy doprowadzili do jego powstania, a następnie odsłonięcia w 2006 roku byli przedstawiciele partii uważanej za spadkobierczynię dawnych władz komunistycznych (fot. 6).

Nie brak też licznych pamiątkowych tablic w miejscach walk, np. na gmachu Węgierskiego Radia przy ul. Bródy Sándor (fot. 7) czy w Pasażu Corvina w VIII dzielnicy, gdzie znajdowała się jedna z najsłynniejszych powstańczych redut. Przed znajdującym się w centrum tegoż pasażu kinem umieszczono pomnik małego powstańca (fot. 8). Nieopodal, po drugiej stronie ul. Üllői, na ścianie koszar, wmurowano tablicę upamiętniającą ministra obrony w rządzie Nagya, Pála Malétera.

Pamiątkowe tablice znajdują się też w wielu miejscach związanych z represjami, które dotknęły uczestników rewolucji, m.in. na budynku więzienia przy ul. Gyorskocsi, w którym skazano na śmierć Imrego Nagya i Pála Malétera (fot. 9) oraz więzienia przy ul. Kozma, w którym stracono obu polityków. W tym ostatnim znajduje się ponadto sala pamięci poświęcona zamordowanemu premierowi.

Zdjęcia wielu innych ofiar rewolucji można zobaczyć na ścianach znajdującego się przy al. Andrassy Domu Terroru, placówki muzealnej upamiętniającej czasy dwóch totalitaryzmów (fot. 10).

Specjalne miejsce na mapie pamięci o ofiarach 1956 roku zajmuje cmentarz Újköztemető, gdzie znajdują się groby wielu uczestników rewolucji, w tym Imrego Nagya. Większość mogił należy do osób, które zostały stracone po procesach w latach 1956–1961. Są też jednak i groby



Fot. 6

powstańców, którzy zmarli stosunkowo niedawno i chcieli spocząć obok swych dawnych towarzyszy walki. Warto w tym miejscu nadmienić, że na cmentarzu znajduje się dwujęzyczna tablica upamiętniająca zaangażowanie Polaków i Węgrów w walkę o wolność w 1956 roku (fot. 11).

Pamięć o wydarzeniach sprzed ponad pół wieku przywołują symboliczne mogiły, tablice i pomniki w centrum miasta i w dzielnicach peryferyjnych. Nie brak też obiektów architektonicznych, które choć powstały przed rokiem 1956,



przez mieszkańców Budapesztu są kojarzone z czasem rewolucji. Należą do nich bez wątpienia pomniki Józefa Bema (fot. 12) i Sándora Petőfięgo, pod którymi zbierali się zrewoltowani studenci, gmach parlamentu, z którego okien przemawiał do zgromadzonych tłumów Imre Nagy, czy budynek będący ongiś siedzibą zniechęconych organów bezpieczeństwa ÁVH. Jeśli do tego dołożymy wiele nazw ulic, placów i skwerów upamiętniających bohaterskich powstańców, otrzymamy obraz miasta, którego władze i zwykli mieszkańcy starają się zachować pamięć o jednym z najwspanialszych, najbardziej chwalebnych, ale i tragicznych wydarzeń w historii Węgier.

**dr Konrad Białecki** – historyk, pracownik OBEP IPN w Poznaniu i Instytutu Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, ostatnio wydał monografię *Klub Inteligencji Katolickiej w Poznaniu w latach 1956–1991* (2012)

Fot. 11



Fot. 7



Fot. 8



Fot. 9



Fot. 10

Fot. 12



Fot. ze zbiorów autora

Fot. ze zbiorów autora

Fot. ze zbiorów autora

Fot. ze zbiorów autora

Fot. ze zbiorów autora

Fot. ze zbiorów autora

Fot. ze zbiorów autora



# Giuseppe w Warszawie

Jerzy Eisler



► Kadr z filmu: Jan Matyjaszkiewicz, Wojciech Siemion, Antonio Cifariello

Fot. FilMOTEKA Narodowa

„Buty żołnierzy włoskich jako zdobywców nie stukwały po brukach Warszawy, Poznania czy Krakowa. W Grecji i Jugosławii, gdzie – agresorzy i okupanci – zapisali się wieloma okrucieństwami, widziano ich podobnie jak Niemców. W Polsce natomiast na stereotyp żołnierza włoskiego z czasów II wojny światowej składa się sporo powstałych ówczesznie dowcipów i kpiarskich wierszy oraz komedia filmowa o szeregowcu uciekającym z włoskiej armii ekspedycyjnej w Związku Radzieckim – *Giuseppe w Warszawie*. Banał o czarnowłosym muzycznym amancie, kochającym piękne kobiety, śpiew, wino i makaron. Nie dramat, a właśnie komedia”. W taki sposób o stałe żywym wśród wielu Polaków stereotypie Włochów pisał w latach siedemdziesiątych jeden z najwybitniejszych znawców faszyzmu Jerzy W. Borejsza.

**C**hociaż – pozostając jeszcze na moment przy tytule książki, z której zaczerpnąłem powyższy cytat – rzeczywiście *Mussolini był pierwszy...*, a faszyzm włoski poprzedzał niemiecki narodo- wy socjalizm, to jednak w Polsce – ze względu na ogrom niemieckich zbrodni popełnionych tutaj w latach II wojny światowej – często i łatwo zapominamy o tym, że „ludzie Mussoliniego” potrafili być nie mniej okrutni i brutalni od „ludzi Hitlera”. Nie ma jednak tutaj miejsca na porównywanie totalitaryzmu czarnego z brunatnym.

## Jak mówić o wojnie?

Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na zupełnie inną sprawę. Pamiętając o tym, że II wojna światowa była bodaj najważniejszym, a na pewno najtragiczniejszym wydarzeniem w ponadtysiącletnich dziejach Polski, trudno się dziwić, iż przez prawie dwadzieścia lat od jej zakończenia w kinie polskim powracano do niej niemal zawsze w tonie martyrologiczno- dramatyicznym. Zresztą przez kilka lat, w okresie apogeum stalinizmu w Polsce, o ile nie liczyć kilku obrazów o charakterze jawnie propagandowym, prawie wcale nie realizowano filmów wojennych. Potem, po przemianach politycznych 1956 roku, w ramach określonych przez cenzurę odreagowywano to w wielu dziełach „polskiej szkoły filmowej”.

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych powstały obrazy, które na zawsze weszły do kanonu polskiego filmu wojennego. Ukazywały one, jak *Wolne miasto* w reżyserii Stanisława Różewicza, *Orzeł* Leonarda Buczkowskiego czy *Lotna* Andrzeja Wajdy – przy wszystkich ograniczeniach oraz historycznych błędach, nieścisłościach czy wręcz przekłamaniach – różne aspekty Września 1939 roku. Częściowo zapomniane, a zawierający znakomite dokumentalne wstawki z walk lotniczych w czasie Bitwy o Anglię, film *Historia jednego myśliwca* w reżyserii Huberta Drapelli opowiadał o udziale w tych walkach polskich lotników. Z kolei *Zamach* Jerzego Passendorfera – nawiązujący do najgłośniejszej akcji bojowej Armii Krajowej w okupowanej Warszawie, czyli zastrzelenia w biały dzień w centrum tzw. niemieckiej dzielnicy gen. Franza Kutschery – początkowo krytykowany za nadmierną swobodę w traktowaniu faktów (na przykład ukazanie akcji, która w rzeczywistości została przeprowadzona 1 lutego 1944 roku, w realiach wiosenno-letnich), z czasem został zaakceptowany także przez przedstawicieli środowiska akowskiego, a nawet niektórych uczestników tamtej głośniejszej akcji. Wreszcie, w *Kanale* i *Eroice* Andrzej Wajda oraz Andrzej Munk sięgnęli po wątki związane z Powstaniem Warszawskim, o którym do niedawna w Polsce publicznie mówiono jedynie w sposób skrajnie tendencyjny, urągający pamięci bohaterów.

Na parę rzeczy warto jednak zwrócić uwagę. Po pierwsze – w latach triumfów „polskiej szkoły filmowej” – od czasu wprowadzenia na ekrany w 1955 roku filmu w reżyserii Jana Rybkowskiego *Godziny nadziei* przez ponad dziesięć lat – nie zrealizowano ani jednego filmu, który opowiadałby o zwycięskich walkach „ludowego” Wojska Polskiego w końcowym okresie II wojny światowej. Po drugie – w przeciwieństwie do pierwszych lat powojennych, kiedy to m.in. w *Zakazanych piosenkach*, *Mieście nieujarzmionym*, *Ostatnim etapie* czy zwłaszcza w *Ulicy granicznej* podejmowano kwestię relacji polsko-żydowskich w czasie okupacji i poruszano problematykę Zagłady ludności żydowskiej – w popaździernikowym filmie problematyka ta była raczej słabo reprezentowana, co było nie tylko następstwem ograniczeń cenzuralnych.

Wreszcie, po trzecie, a to dla niniejszych rozważań jest najważniejsze, chociaż wątki komediowe, nawiązujące do okupacyjnej codzienności, pojawiały się już we wcześniej zrealizowanych filmach, takich jak *Zakazane piosenki*, *Café pod Minogą* czy *Eroica*, to jednak długo nie mogła powstać polska komedia wojenna. Wydaje się, że filmowcy trafnie odczytywali nastroje społeczne i dobrze rozumieli, że po tak wielkiej traumie, jaką społeczeństwo przeżyło w latach 1939–1945, Polacy sami zdecydują, w którym momencie będą w stanie śmiać się na filmach tego typu. Pewien precedens zresztą już był. W początku lat sześćdziesiątych sporym powodzeniem w Polsce cieszyła się francuska komedia *Babette idzie na wojnę* w reżyserii Christiana-Jaque’a, w której

tytułową rolę zagrała będąca u progu wielkiej międzynarodowej kariery Brigitte Bardot.

### Okupacja na wesoło

Jednak na oryginalną polską komedię wojenną trzeba było poczekać jeszcze parę lat. Dopiero w 1964 roku w odstepie siedmiu miesięcy miały swoje premiery dwa pierwsze filmy tego typu: najpierw w styczniu obraz Tadeusza Chmielewskiego *Gdzie jest generał* (nawiasem mówiąc, zarazem jeden z pierwszych filmów o walkach żołnierzy „ludowego” Wojska Polskiego z Niemcami w końcowym okresie wojny), później, w sierpniu, *Giuseppe w Warszawie* w reżyserii Stanisława Lenartowicza. Te dwa filmy łączy osoba grającej główne role kobiece, jednej z najpopularniejszych ówczesnych polskich aktorek, Elżbiety Czyżewskiej.

W filmie *Giuseppe w Warszawie* wcieliła się w rolę Marii, młodziutkiej harcerki mieszkającej w okupowanej Warszawie i działającej w konspiracji. Jej starszy brat Stanisław jest artystą malarzem, który zarabia na utrzymanie domu malowaniem tandetnych obrazów. Bardzo śmiałym, ale i udanym pomysłem twórców filmu było powierzenie roli nieco safandulowatego, nieco załężnionego, nieco zwariowanego malarza Zbigniewowi Cybulskiemu, który od chwili gdy w *Popiele i diamentach* Andrzeja Wajdy wcielił się w rolę Maćka Chełmickiego, dla wielu ludzi był prawdziwym idolem i symbolem akowskiego pokolenia.

Jednak prawdziwą gwiazdą filmu okazał się grający tytułową rolę włoski aktor Antonio Cifariello, który w momencie przyjazdu na zdjęcia do Polski miał 33 lata i w dorobku około dwudziestu kreacji filmowych. Niestety, *Giuseppe w Warszawie* był jednym z jego ostatnich filmów. 12 grudnia 1968 roku Cifariello zginął bowiem w Lusace w Zambii w katastrofie samolotu podchodzącego do lądowania. Przygotowywał się tam do kolejnej roli filmowej.

Przygody włoskiego żołnierza w okupowanej Warszawie, z czasem dezertera z armii ekspedycyjnej na Froncie Wschodnim, są same w sobie zabawne. Dodatkową atrakcją filmu są oczywiście podejmowane przez Włocha próby mówienia po polsku. Jest przy tym zrozumiałe, że zgodnie z konwencją mamy do czynienia z czymś na kształt komedii pomyłek. Śmieszne są perypetie Stanisława paradującego po mieście we włoskim mundurze – żołnierza bądź co bądź wrogiej armii. Zabawne są podejmowane przez Włocha próby zdobycia (nawet drogą symulowania ataku wyrostka robaczkowego) względów ślicznej Polki. W filmie jest też trochę celnych obserwacji codziennego życia okupacyjnego: jest scena ze szmuglerami w pociągu nieodparcie nasuwająca skojarzenia z podobną sekwencją w *Zakazanych piosenkach*, jest „łapanka” na dworcu i na targowisku, jest pokazany pokątny handel dosłownie wszystkim, nawet skradzioną bronią palną, jest rzucanie wydmuszkami z tuszem w wystawy lokali „Nur für Deutsche”, są ukazane karykaturalnie zajęcia „podchorążówki” z konspiracyjnymi hasłami ▶



Fot. FilMOTEKA Narodowa

► Kadr z filmu: na pierwszym planie Elżbieta Czyżewska i Zbigniew Cybulski

w rodzaju: „Czy żaba zniosła skrzek?” albo zakonspirowanymi komunikatami w stylu: „Przywieziono pokarm dla kanarków” itp.

Ale jest także w filmie scena jak gdyby nakręcona „ku pokrzepieniu serc”, kiedy to niemieccy żołnierze z różnych formacji wzajemnie rozbijają się na ulicach, przy okazji niejednokrotnie ostrzeliwując się i wywołując chaos w całym mieście. Następnie jesteśmy świadkami, jak są karani przez przełożonego karą śmierci bądź zesłaniem na front wschodni. Szczególna rola w całej tej sekwencji przypadła Jaremu Stępowskiemu, który brawurowo zagrał będącego sprawcą całego zamieszania strażnika więzienia Wehrmachtu. Zgodnie z zasadami obowiązującymi w filmach tego typu historia kończy się dobrze. W ostatniej scenie widzimy, że nawet włoskiemu żołnierzowi, któremu śnił się powrót do domu nad morzem na południu Włoch, udało się zrealizować to marzenie.

### Ochy i achy

Ciekawe, że ta bezpretensjonalna komedia filmowa zyskała całkiem przychylne recenzje, także wśród zwykle surowych krytyków filmowych. Janusz Skwara napisał w „Filmie”: „*Giuseppe w Warszawie* jest już zabawą pełną gębą”. Zygmunt Kałużyński na łamach „Polityki” poszedł jeszcze dalej i stwierdził: „*Giuseppe w Warszawie* jest to wydarzenie sensoryjne w dziejach martyrologii polskiej: pierwsza gro-

teska na temat wojny”. Z kolei Aleksander Jackiewicz pisał: „Komedia Lenartowicza, wydaje się, osiągnęła to, czego nie osiągnęła u nas chyba żadna, w każdym razie w takim stopniu; pośrodku białego dnia, pośrodku zainscenizowanego wiernie życia – pokazała okupacyjny swoisty dowcip jednego z najdziwniejszych miast”.

Na koniec jeszcze jedna uwaga natury ogólnej. W 2011 roku *Giuseppe w Warszawie*, podobnie jak w ostatnich latach wiele innych polskich filmów, został poddany rekonstrukcji cyfrowej. Muszę jednak stwierdzić, że w tym wypadku efekt nie jest tak piorunujący, jak na przykład w wypadku kolorowych *Krzyżaków* Aleksandra Forda czy czarno-białego filmu *Pociąg* w reżyserii Jerzego Kawalerowicza, które nigdy nie wyglądały tak, jak obecnie po remasteringu. U Lenartowicza bodaj najwięcej zyskała ścieżka dźwiękowa filmu. Mam tutaj na myśli wspaniałą, inspirowaną włoskimi motywami, muzykę autorstwa Wojciecha Kilara, którą obecnie w pełni możemy podziwiać i docenić jej wartość. W następnych latach Kilar – między innymi za sprawą iście „westernowej” muzyki do *Pana Wołodyjowskiego*, *Hubala* i w końcu wspaniałego poloneza z *Pana Tadeusza* – stał się królem polskiej muzyki filmowej. ■

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), „*Polskie miesiące*”, czyli *kryzys(y) w PRL* (2008)

# Cichociemny z „czterdziestką piątką”

Michał Mackiewicz



**Dzięki pośrednictwu Ambasady Polskiej w Londynie kolekcja broni Muzeum Wojska Polskiego wzbogaciła się w 1982 roku o amerykański pistolet Colt wz. 1911, należący niegdyś do cichociemnego Tadeusza Gaworskiego, zrzuconego w czasie II wojny światowej do Polski. Właśnie ze względu na właściciela pistolet ten okazał się szczególnie cennym eksponatem.**

**C**olt wz. 1911 był dziełem jednego z najgenialniejszych konstruktorów broni na świecie – Johna Mosesa Browninga. Na przełomie XIX i XX wieku pracował on nad udoskonaleniem konstrukcji pistoletu samopowtarzalnego. Mimo że szlak przetarto kilka lat wcześniej (konstrukcje Mannlichera, Borchardta, Mausera), to właśnie Browning wprowadził dwa najbardziej udane rozwiązania w działaniu tej broni – zasadę odrzutu zamka swobodnego oraz odryglowania poprzez przekoszenie lufy.

W pierwszym przypadku zamek i osadzona nieruchomo lufa pozostawały niezaryglowane, a łuska oddziaływała na zamek przytrzymywany jedynie sprężyną powrotną. Ten system był bardzo prosty, niezawodny i sprawdzał się przy słabszej amunicji. Znalazł swoje ucieśnienie w jednym z najsłynniejszych

pistoletów z początku XX wieku – wzorze 1900 kal. 7,65 mm oraz jego następcach produkowanych w belgijskiej wytwórni Fabrique Nationale d’Armes de Guerre z Liège (tzw. belgijska linia pistoletów Browninga).

Drugi sposób został wykorzystany w pistoletach strzelających silniejszą amunicją wojskową i działających na zasadzie krótkiego odrzutu lufy. W trakcie strzału broń była zaryglowana. Zamek i lufa, sprzęgnięte ze sobą, cofały się odpychane ciśnieniem gazów prochowych; i dopiero kiedy spadło ono do odpowiedniego poziomu

(chodziło o zapobieżenie rozerwaniu łuski), następowało odryglowanie (zamek cofał się dalej już sam, powodując wyrzucenie pustej łuski). W drodze powrotnej zamka – inicjowanej sprężyną główną – następowało wybranie kolejnego naboju z magazynka i ponowne zaryglowanie, już z nabojem w komorze. Dotychczasowe sposoby ryglowania były ▶



Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego



Fot. AIPN

► Cichociemny, por. Tadeusz Gaworski „Lawa” (z prawej) na kwaterze Zgrupowania AK „Kampinos” w Wierszach pod Warszawą, sierpień 1944 roku

skomplikowane, zaś patent Browninga polegający na przekoszeniu lufy w płaszczyźnie pionowej okazał się prosty, niezawodny i jest stosowany do dziś. Zwieńczeniem jego prac był Colt wz. 1911.

W 1911 roku amerykańskie siły zbrojne przyjęły na uzbrojenie Colta (ta wytwórnia nabyła Browningowskie prawa patentowe) strzelającego nowo opracowanym nabojem pistoletowym 0,45 cala (45 ACP – automatic colt pistol). Colt wz. 1911 to samoczynny pistolet działający na zasadzie krótkiego odrzutu lufy. Ryglowanie odbywa się za pomocą dwóch półpierścieniowych występów na lufie, które odpowiadają dwu wycięciom – oporom na zamku. U spodu komory nabojeowej znajduje się ruchomy łącznik, który sprzęga lufę ze szkieletem. W trakcie strzału zamek wraz z lufą cofają się na pewnym odcinku razem, po czym łącznik powoduje pociągnięcie lufy w dół i tym samym wyjście występów lufy z opór zamka. Broń wyposażona jest w mechanizm uderzeniowy kurkowy

(kurek zewnętrzny) z iglicą przerzutową oraz trzy bezpieczniki: chwytowy, nastawny skrzydełkowy i ząb zabezpieczający kurka. Zasilanie odbywa się z jednorzędowego siedmionabojowego magazynka pudełkowego.

„Jedenastka” doskonale zdała egzamin podczas I wojny światowej. Do roku 1918 w wytwórniach Colta i Remingtona wyprodukowano ok. 700 tys. sztuk. Broń stała się inspiracją dla wielu znakomitych konstrukcji, w tym polskiego Visa wz. 35, belgijskiego Browninga HP wz. 35 i radzieckiego TT wz. 33. Po wojnie wz. 1911 pozostał etatowym pistoletem sił zbrojnych USA aż do lat osiemdziesiątych. Doświadczenia frontowe z I wojny zaowocowały jedynie niewielkimi i absolutnie kosmetycznymi zmianami w wersji oznaczonej w 1926 roku jako A1 i produkowanej masowo podczas kolejnego światowego konfliktu. I właśnie taki pistolet trafił w 1982 roku do Muzeum Wojska Polskiego.

W piśmie dołączonym do zabytku znalazła się wzmianka informująca o tym, że broń przekazał do ambasady Wiktor Cepiński, były lotnik 301. Dywizjonu Bombowego „Ziemi Pomorskiej”. Uczynił tak na prośbę poprzedniego właściciela pistoletu, nieżyjącego już kolegi Tadeusza Ga-

worskiego „Lawy”, skoczek spadochronowego i członka polskiej konspiracji. Nikt wówczas w ambasadzie i w muzeum nie zdawał sobie sprawy z tego, kim był tajemniczy Gaworski. Dopiero po jakimś czasie okazało się, że „Lawa” był jednym z 316 cichociemnych zrzuconych podczas okupacji do Polski.

Ten weteran, zmarły w 1963 roku w Anglii, mógł się poszczycić imponującym szlakiem bojowym. Zaczął go we wrześniu 1939 roku, broniąc Lwowa w szeregach Oddziału Zapasowego 5. Dywizji Piechoty. Potem znalazł się we Francji i Wielkiej Brytanii, gdzie trafił do 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej. W 1942 roku przeszedł kurs dywersji dla cichociemnych i w styczniu następnego roku został zrzucony do kraju. W marcu został dowódcą elitarnego, szturmowego plutonu lotniczego podporządkowanego bezpośrednio Wydziałowi Lotniczemu KG AK, z którym dokonał szeregu akcji dywersyjnych i partyzanckich, a 1 sierpnia 1944 roku przystąpił do Powstania Warszawskiego. Wskutek ewidentnych błędów wyższego dowództwa i nieudanego ataku na Okęcie już w pierwszych godzinach powstania oddział „Lawy” znalazł się w beznadziejnym położe-



Fot. AIPN

► „Lawa” (klęczy) prowadzi szkolenie nowych żołnierzy, okolice Łbisk pod Warszawą, sierpień 1944 roku



Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

niu i został zmuszony do opuszczenia stolicy. Późniejsze próby powrotu zakończyły się niepowodzeniem. Oddział Gaworskiego, stacjonujący na obrzeżach Warszawy, dzięki napływowi ochotników i wchłonięciu pomniejszych oddziałów, rozrósł się do stanu kompanii. Była to samodzielna kompania lotnicza do zadań specjalnych. Działając w ramach Zgrupowania „Kampinos”, uczestniczyła ona w wielu starciach z Niemcami. Dzięki dowódcy zachowała także zwartość podczas katastrofalnego w skutkach wyjścia całego akowskiego zgrupowania z Puszczy Kampinoskiej w Góry Świętokrzyskie (bitwa pod Jaktorowem). Dopiero 8 października „Lawa” zdecydował o demobilizacji swojego oddziału. Wielokrotnie ranny, odznaczony za zasługi Krzyżem Virtuti Militari V Klasy, skończył wojnę w stopniu kapitana. Od 1945 roku przebywał na emigracji.

**Dane taktyczno-techniczne pistoletu Colt wz. 1911**

Zasada działania	krótki odrzut lufy
Kaliber	0,45 cala (11,43 mm)
Nabój	11,43 x 23 mm
Masa własna	1,130 kg
Masa broni z pełnym magazynkiem	1,360 kg
Długość	219 mm
Lufa	gwintowana, 6 bruzd lewoskrętnych
Długość lufy	127 mm
Pojemność magazynka	7 nabojów
Prędkość początkowa pocisku	250 m/s

Pistolet Colt wz. 1911 A1, należący niegdyś do Tadeusza Gaworskiego „Lawy”, został wyprodukowany w zakładach Remingtona, jego numer seryjny to 1291730. Wraz z pistoletem przekazana została oryginalna amerykańska kabura naramienna M3. Pistolety Colt stanowiły standardowe wyposażenie cichociemnych, dlatego też należy założyć, że muzealna „czterdziestka piątka” towarzyszyła „Lawie” od stycznia

1943 roku, kiedy to lądował ze spadochronem niedaleko Radomia. Dzisiaj broń, jako depozyt Muzeum Wojska Polskiego, jest eksponowana w rembertowskiej sali tradycji Jednostki Specjalnej „Grom” – spadkobiercy polskich cichociemnych. 🇵🇱

**Michał Mackiewicz** – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

**Sprostowanie**

W nr. 6/2012 „Pamięci.pl” w artykule *Siedmiotonowy polski kontra Panzerwaffe* zamieściliśmy zdjęcie czołgu PzKpfw IV zamiast PzKpfw II – który prezentujemy obok. Za pomyłkę przepraszamy Czytelników i Autora.



Fot. AIPN

# Emblematy galicyjskich ochotniczych Straży Ogniwowych

Tomasz Zawistowski

**Do polskich organizacji niepodległościowych działających przed rokiem 1918 należy z całą pewnością zaliczyć powstające od drugiej połowy XIX wieku ochotnicze Straże Ogniwowe. Konieczność ich istnienia uznawali zarówno Polacy, jak i władze zaborcze.**

**S**traże zrzeszały najaktywniejszą część ludności, a będąc jedyną legalną formacją polskojęzyczną, uprawnioną zresztą do posiadania własnego umundurowania, z biegiem lat stawały się namiastką organizacji niepodległościowych. W latach poprzedzających wybuch I wojny światowej to właśnie z nich wywodzili się członkowie polskich organizacji paramilitarnych. Wiele Związków Strzeleckich, Drużyn czy Gniazd Sokolich powstało na bazie struktur wcześniej istniejących Straży Ogniwowych, a ich członkowie łączyli służbę w organizacji z obowiązkami druhów straży. Dyscyplina, umundurowanie, musztra z polską komendą – to wszystko było dla polskiej młodzieży namiastką armii narodowej. Zdawali sobie z tego sprawę również urzędnicy władz zaborczych. Nawet w monarchii habsburskiej, prowadzącej stosunkowo łagodną politykę narodowościową, przedstawiciele administracji patrzyli na polskich strażaków podejrzliwie.

Umundurowanie straży w zaborach rosyjskim i pruskim nie mogło, rzecz jasna, mieć charakteru polskiego. Za to w zaborze austriackim udało się przemycić pewne elementy narodowe.

## Pierwsze formy umundurowania

W wieku XIX na terenie Galicji działało kilka typów Straży Ogniwowych; były wśród nich straże ochotnicze, gminne



▶ Emblemat niezrzeszonej Straży Ogniwowej, Galicja, przed 1914 rokiem

i fabryczne. W zakresie umundurowania i oznak starszeństwa panowała dowolność. W latach 1872–1875 utworzony został Krajowy Związek Ochotniczych Straży Pożarnych w Galicji i Lodomerii z Wielkim Księstwem Krakowskim. Pierwszy okres istnienia związku nie przyniósł zmian w kwestii umundurowania, aczkolwiek sprawa ujednoczenia go była wielokrotnie poruszana w prasie i w publicznych dyskusjach. W roku 1891 kwestia ta była wręcz rozważana przez namiestnictwo Galicji, ministerstwo wojny wniosło bowiem skargę z powodu używania przez niektóre straże umundurowania i oznak naśladujących wojskowe.

Na ilustracjach zostały przedstawione emblematy z polskim orłem,

noszone w Galicji na hełmach straży niezrzeszonych w Krajowym Związku. Musimy pamiętać, że sprawa przynależności poszczególnych straży do związku była płynna – w 1897 roku należało do niego 206 straży, a pozostałych 109 działało na podstawie własnych statutów. Do roku 1914 nowo powstające straże wstępowały do Krajowego Związku bądź działały poza nim. Jako że prezentowane tu emblematy nie są przypisane do konkretnych straży, nie możemy też datować ich dokładnie. Niemniej można przypuszczać, że emblematy te pochodzą z lat bliższych dacie wybuchu wojny niż początku stulecia. We wcześniejszym okresie używanie orłów byłoby niemożliwe z racji braku zgody władz austriackich; stosowano wówczas emblematy neutralne, najczęściej wyobrażające panoplia ze sprzętu strażackiego. Przedstawione tu dwa przykładowe emblematy z wizerunkiem orła, re-



▶ Emblemat niezrzeszonej Straży Ogniwowej, Galicja, przed 1914 rokiem

Fot. ze zbiorów autora

Fot. ze zbiorów autora



► Helmy według *Regulaminu* z 1902 roku: 1 – strażaka ochotnika i dziesiętnika; 2 – komendanta i jego zastępcy; 3 – zastępcy naczelnika; 4 – naczelnika, członków Rady Zawiadawczej i urzędników Krajowego Związku

prezentujące znacznie większą grupę oznak hełmowych, są wykonane starannie, co świadczy o produkowaniu ich w większych seriach. Każdy z nich był zatem używany niemal na pewno w więcej niż jednej straży. Z pewnością niektóre z nich pozostały w użyciu jeszcze w latach międzywojennych.

### Nowe, jednolite mundury

Przełomem w kwestii umundurowania stał się *Regulamin umundurowania, uzbrojenia i oznak starszeństwa dla związkowych straży pożarnych w Galicji, uchwalony na posiedzeniu Rady Zawiadawczej Krajowego Związku Ochotniczych Straży pożarnych we Lwowie, w dniu 25 stycznia 1902 r.* i zatwierdzony reskryptem namiestnictwa 5 lipca tegoż roku. Nie mogąc użyć symbolu polskiego orła, projektodawcy munduru przemycili symbol bardzo zbliżony, ozdabiając związkowe helmy wizerunkiem sokoła w locie, z monogramem związanym „SO” na piersi. *Regulamin* zawierał wizerunki czterech rodzajów hełmów, zróżnicowanych w zależności od stopnia starszeństwa. Wynikać by z niego mogło, że w 1902 roku helmy ozdobione godłem sokoła przysługiwały wyłącznie druhom od stopnia zastępcy komendanta w górę. Niemniej załączona do przepisu litografia przedstawia strażaka-ochotnika, czyli najniższego stopnia, w hełmie z sokołem. Można więc stwierdzić, że identyczne emblematy pojawiały się na hełmach wszystkich członków związkowych straży pożarnych w Galicji od roku 1902.

Prezentowany tu sokół ma wybite wtórne otwory w celu przymocowania go do hełmu. Wskutek użycia bardzo

słabych drutów mocujących urywanie się ich i konieczność wybijania wtórnych otworów były na porządku dziennym. Innym rezultatem marnej jakości wykonania godła było częste urywanie się nóg sokoła.

Nieco inaczej wyglądała sprawa emblematów przeznaczonych do noszenia na czapkach. W 1902 roku została wprowadzona do użytku czapka



► Sokół Straży Ogniowej według *Regulaminu* z 1902 roku

z sukna koloru bluzy względnie guńki, ozdobiona od przodu odznaką strażacką (dwa toporki i hełm). Identyczne emblematy z toporkami i hełmem były umieszczane na kołnierzach bluz. Kilka lat później zmodyfikowano wygląd oznaki czapkowej. Zamiast dotychczasowej została umieszczona miniaturowa wersja sokoła z monogramem, noszonego dotąd jedynie na hełmach. Skrzydła sokoła mocowane na hełmach miały ponad 180 mm rozpiętości, a jego zmniejszona wersja na czapki – 35 mm.

### Długi żywot strażackiego godła

Nowe mundury były modyfikowane kilkakrotnie, lecz wygląd sokoła z monogramem „SO” nie uległ zmianie aż do wybuchu I wojny światowej. Należy pamiętać o jego dużej roli w historii polskiego munduru. Wobec niemożności użycia orła, sokół został zaprojektowany jako jego substytut w roku 1902. Był wówczas – obok orła Prztyliska Weteranów Powstania 1863/1864 – jednym z dwóch legalnych, regulaminowo noszonych polskich emblematów na mundurach. Ten stan rzeczy utrzymał się przez dziesięć lat – do roku 1912.

Symbol sokoła rozpowszechnił się szeroko i stał się rozpoznawalnym elementem strażackim. Domy członków straży były oznaczane tabliczkami metalowymi, na których umieszczano sokoła i napis „Ochotniczy strażak ogniowy”.

Godła związkowe przetrwały I wojnę światową i były używane jeszcze w latach międzywojennych. Znana jest dość duża liczba egzemplarzy wtórnie ►



► Sokół Straży Ogniowej, wersja noszona na czapkach

Fot. ze zbiorów autora

Fot. ze zbiorów autora





Fot. T. Marszałek

► Sokół z helmu ofiarowanego w 1933 roku naczelnikowi OSP Jedlnia, od pierwowzoru z 1902 roku różni się obecnością korony

odlanych z aluminium. W latach międzywojennych, kiedy nic już nie stało na przeszkodzie pojawieniu się orłów na strażackich czapkach i hełmach, sokół z monogramem „SO” był wciąż traktowany jako emblemat tradycyjny, podlegający jeszcze ewolucji. Została uruchomiona produkcja emblematów przeznaczonych na hełmy wykonywane jako tradycyjne nagrody i prezenty. Znakiem odzyskanej niepodległości stała się korona, którą dodano na głowie sokola. Hełmy ozdobione wizerun-

kiem ukoronowanego sokola wręczano zasłużonym aż do roku 1939, wobec czego strażackiego sokola z monogramem SO można uznać za najdłuższy noszony wzór emblematu.

### **Strażacy w walce o niepodległość**

W roku 1913 odbyły się w Pilźnie „Dni strażackie”. Korespondent „Gazety Ludowej” tak pisał w swojej relacji: „Wśród dźwięków marsza Sokolego szły zastępy strażaków w wojskowym ordynku. Naczelnicy w błyszczących hełmach szli na czele swych korpusów, a sześć bogatych sztandarów kraśniało ponad szeregami. I miało się żywe uczucie, że te umundurowane szeregi synów chłopskich to coś więcej niż straż pożarna, że gdyby sprawa wymagała, to te szeregi pójdą ochoczo w ogień i z karabinem w rękę”. I tak się właśnie stało. Strażacy działali w Polskiej Organizacji Wojskowej i zaciągali się do Legionów Polskich. Po roku 1918 brali udział w plebiscytach, powstaniach na Śląsku i w Wielkopolsce,

a także współdziałali w tworzeniu nowych władz administracyjnych i samorządowych. Spośród nich rekrutowali się członkowie Straży Obywatelskich i Straży Bezpieczeństwa w roku 1920. Na apel Zarządu Związku Floriańskiego, liczącego wówczas około 50 tys. strażaków, wielu z nich wstąpiło do Armii Ochotniczej gen. Józefa Hallera. W uznaniu zasług w wojnie bolszewickiej trzydziestu strażaków zostało kawalerami Orderu Wojennego Virtuti Militari, zaś 151 otrzymało Krzyże Walecznych. 🇵🇵

**Tomasz Zawistowski** – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917-1945* (kolejne dwa tomy w przygotowaniu)



► Polscy strażacy ze Lwowa w mundurach według *Regulaminu* z 1902 roku, lata dwudzieste XX wieku

Fot. ze zbiorów Ośrodka Karta

# Zbrodnia w Kisielinie

Tomasz Stańczyk

Fot. z książki Włodzimierza Sławosza Dębskiego *Było sobie miasteczko*



► Obraz Włodzimierza Sławosza Dębskiego przedstawiający mord w Kisielinie

**Tragiczna niedziela 11 lipca 1943 roku krwawo zapisała się w historii miasteczka Kisielin – jednej z blisko stu miejscowości na Wołyniu, w których tamtego dnia Ukraińska Powstańcza Armia dokonała masowych mordów na Polakach.**

**W** Kisielinie (powiat horochowski) nad Stochodem mieszkało przed wojną 250 Polaków i tyłu samo Ukraińców oraz około pięciuset Żydów. We wrześniu 1939 roku na powitanie Armii Czerwonej część Żydów wywiesiła czerwone flagi. Ludność żydowska została wymordowana przez Niemców i policjantów ukraińskich w sierpniu 1942 roku. Rok później przyszła kolej na Polaków. 11 lipca 1943 roku, podczas wołyńskiej „krwawej niedzieli”, żołnierze partyzanckiej UPA otoczyli kościół, w którym odbywała się msza św. Brało w niej udział około 180 osób z Kisielina i pobliskich miejscowości. „Upowcy podbiegli do ludzi wychodzących z kościoła, co spowodowało ich cofnięcie się do wewnątrz, lecz drzwi od głównego wejścia nie można było zamknąć. [...] Wszyscy, którzy poddali się, zostali spędzeni do nawy głównej kościoła, pod przymusem rozebrani do naga i rozstrzelani z karabinu maszynowego. Ranni byli dobijani różnymi narzędziami, a najczęściej klucy bagnetami”. Tak zbrodnię tę opisali Władysław i Ewa Siemaszkowie w pracy *Ludobój-*

*stwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945.*

Rzeź w Kisielinie, której ofiarą padło 86 Polaków i Polek, w tym troje dzieci do lat dziesięciu i dziewięcioro nastolatków, ma także swoje literackie odbicie w powieści Włodzimierza Odojewskiego *Zasypie wszystko, zawieje...* Autor inspirował się najwyraźniej relacją Włodzimierza Dębskiego: „Aż wreszcie ta chwila nadeszła. Ta pierwsza, zaciskająca krtań jakby kleszczami wprost do bólu chwila grozy. Gdy wyjrzała przez okienko, słysząc wrzaski i strzały, i gdy nagle zobaczyła tych czarnosiecznych, rojących się niby robotwo wokół bramy przykościelnej, wskakujących do środka kościoła, wywlekających za włosy te biedne kobiety, które zdecydowały się nie ukrywać, ale zdać się na ich łaskę, i pod murem je strzałem pistoletu mordujących. Gdy zobaczyła, jak jednego z nich znęciła widać bluzka wyprowadzonej dziewczyny, więc strzelił jej w brzuch i jeszcze z kopiącej nogami ziemię tę bluzkę ostrożnie, żeby nie zabrudzić, ściągnął”. Włodzimierz Sławosz Dębski, jeden z ocalałych, autor książki *Było sobie miasteczko*, zapamiętał taneczny krok upowca odchodzącego z bluzką od konającej.

Dębski był jedną z osiemdziesięciu osób, które uciekły na plebanię i tam się zabarykadowały. Drzwi zastawiono meblami. „Patrzyłem przerażony, jak ta dająca tyle nadziei zaporą pęka pod razami siekiery. Nieoczekiwanie poderwał się stary Kurpiński i także zaczął z wściekłością rąbać w tym samym miejscu. Po kilkunastu minutach siekiery się spotkały. ►



Fot. D. Greszczuk

► Ruiny kościoła w Kisielinie

Nagle stojący za drzwiami bandyta zaprzestał uderzeń. Dziura była spora. Nie namyślając się wiele, podałem Kurpińskiemu cegłę. Rzucił w otwór. Podałem następną i one poleciały tą samą drogą. Usłyszałem tupot butów na schodach i głos z dołu: »Cehlamy kiedaje, ne można wejty!«. Odetchnęliśmy z ulgą» – pisał we wspomnieniach Dębski.

Był to dopiero początek nierównej, dramatycznej, wielogodzinnej walki o ocalenie życia. Napastnicy podpalili drzwi, obrońcy gasili pożar moczem zbieranym do wiader. Ukraińcy próbowali wchodzić po drabinie, by wdrzeć się na piętro. Polacy nie mieli innej broni oprócz cegieł i kafli z pieca, którymi razili uzbrojonych upowców. Od ukraińskich kul oraz granatów zginęło czterech spośród kilkunastu Polaków, którzy wzięli udział w obronie. Ranny został ksiądz proboszcz Witold Kowalski, w obliczu śmierci słuchający spowiedzi i udzielający rozgrzeszenia wszystkim, którzy schronili się na plebanii. Po jedenastu godzinach oblężenia, przed północą upowcy odstąpili. Ocaleni Polacy opuścili plebanię. Rannego w nogę Włodzimierza Dębskiego pomagał przenieść na wóz Ukrainiec Wiktor Padlewski, żonaty z Polką. Jego ojciec i brat byli upowcami.

Aniela Dębska, która także była na plebanii, wspominała: „Sawka Kołtoniuk poszedł do lasu sprawdzić, czy nie ma tam upowców. Upiekł nam chleb. Matka wróciła do Kisielina, chcąc namówić rodziców mojego przysłego męża do wyjazdu. Zamieszkiwali wtedy u zaprzyjaźnionych Ukraińców. Do stodoły, w której nocowała, przyszedł Ukrainiec: »Stasiu, uciekaj, bo

Dębskich wzięli«. Ślad po porwanych przez upowców zaginał. Rodzinę Romanowskich ostrzegła matka upowca Maciuka. Przyszedł pijany. Zanim rzucił się na łóżko, powiedział: »Jak Romanowscy są w stodole, to niech idą, bo jak wstanę, będzie nieszczęście«. Moje ciotki wyprowadzał z Kisielina Petro Parfeniuk, żonaty z Polką. Za pomoc Polakom zabili mu rodzinę».

Po kilku dniach Ukraińcy pozwolili przenieść ciała zamordowanych na teren przykościelny i tam pochować. Z zeznań jednej z niedoszłych ofiar: „Gdy klęczałam nad ciałem siostry (siedem ran kłutych), płakałam i złorzeczyłam, podszedł Jęfrem Padlewski: »Nie krzycz! Zaraz tobie te samo bude!«”.

Zdaniem Anieli Dębskiej, między tymi, którzy zabijali, byli zapewne i Ukraińcy z Kisielina. A w każdym razie pomagali mordercom. Potwierdzają to zeznania złożone w śledztwie IPN w sprawie mordów na Wołyniu.

Włodzimierz Sławosz Dębski pisał w książce *Było sobie miasteczko*: „W 1989 roku spotkałem się z gestem przyjaźni i przeprosin za popełnioną zbrodnię. Mogiła przestała być śmietniskiem, oczyszczono ją, zasiano trawę i ogrodzono”. W pięćdziesięciolecie zbrodni z inicjatywy Włodzimierza Dębskiego na zbiorowym grobie postawiono krzyż z nazwiskami pomordowanych i poległych podczas obrony plebanii. We mszy św. w ruinach kościoła wzięli udział Polacy i Ukraińcy. ❀

**Tomasz Stańczyk** – dziennikarz zajmujący się tematyką historyczną, głównie dziejami Polski w XX wieku

Redakcja dziękuje rodzinie Włodzimierza Sławosza Dębskiego i wydawnictwu Polihymnia za udostępnienie reprodukcji obrazu

## UWAGA KONKURSI!

Szanowni Czytelnicy, „Pamięć.pl” to miesięcznik tworzony z myślą o miłośnikach historii najnowszej. Chcemy, aby był tworzony także z pasją, a któż ma więcej pasji niż miłośnik tematu? Dlatego ogłaszamy konkurs na artykuł popularnonaukowy dotyczący historii Polski XX wieku. Zachęcamy do pisania przede wszystkim studentów, uczniów, nauczycieli i wszystkich, którzy interesują się dziejami najnowszymi. Tekst powinien być utworem oryginalnym, dotychczas niepublikowanym, nie dłuższym niż 15 tys. znaków ze spacjami, mieć charakter popularnonaukowy, napisany przystępnie i ciekawie – z myślą o którymś z istniejących działów „Pamięci.pl” bądź jako załączek zupełnie nowego.

**Termin nadsyłania artykułów: 31 stycznia 2013 roku. Czekamy na nie pod adresem [pamiec@ipn.gov.pl](mailto:pamiec@ipn.gov.pl)**

Nagrodą główną, oprócz publikacji na łamach naszego pisma (i standardowej umowy autorskiej wraz z honorarium), będzie bon na 30 dowolnie wybranych publikacji IPN do zrealizowania w ciągu roku. Nagrodą za zajęcie II miejsca – bon na 20 publikacji, za III miejsce – 10.

Pełny regulamin konkursu znajdą Państwo na naszej stronie internetowej.

**Czytelnicy do piór!**

# Znicz pamięci

Z Anną Gruszecką, dziennikarką poznańskiego Radia Merkury, pomysłodawczynią akcji „Zapal znicz pamięci”, rozmawia Agnieszka Łuczak

W lasach, na rynkach miast i w dawnych więzieniach 21 października po raz kolejny zapłoną znicze. Zapalimy je na grobach osób zamordowanych przez Niemców podczas II wojny światowej – nie tylko w Wielkopolsce, lecz także na innych ziemiach wcielonych w 1939 roku do III Rzeszy. Zaczęło się od inicjatywy Radia Merkury, rozgłośni regionalnej Polskiego Radia w Poznaniu, w siedemdziesiątą rocznicę wybuchu wojny...

Pomysł jest rezultatem naszych spotkań, podczas których przygotowaliśmy cykl programów radiowych, opowiadających o życiu Wielkopolan pod okupacją niemiecką. Wtedy uświadomiłam sobie, że pomimo ukończenia studiów historycznych i tego, że zajmuję się historią jako dziennikarka w radiu publicznym, o wojnie wiem przede wszystkim z opowieści rodzinnych. Ograniczało się to do wspomnień o wysiedleniu, kiedy to moim bliskim dano kwadrans na wyjście z domu bez bagażu, albo o wujku, który stracił wszystkie zęby podczas przesłuchania w siedzibie gestapo w Domu Żołnierza w Poznaniu, czy o dziadku, który „zwiedził” pół Europy, naprawiając tory kolejowe w czasie pracy przymusowej. Wiedziałam, że warunki życia Polaków w Kraju Warty były znacznie gorsze niż w Generalnym Gubernatorstwie, ale dopiero podczas rozmów z historykami z IPN przełożyłam sobie to suche stwierdzenie na konkrety. Zakaz poruszania się bez przepustek, używania publicznie języka polskiego, odebranie wszelkich nieruchomości i większości wartościowych przedmiotów, przesiedlenia z lepszych mieszkań do gorszych połączone z „zagęszczeniem” mieszkańców, wprowadzenie przymusu pracy od 12. roku życia, zakaz zawierania małżeństw przez kobiety przed 25. i przez mężczyzn przed 28. rokiem życia – a to jeszcze nie wszystko. Matki musiały zostawiać małe dzieci bez opieki, bo szły do wielogodzinnej pracy. Polacy mogli na kartki kupić tylko połowę tego, co



**Anna Gruszecka** – dziennikarka radiowa, absolwentka historii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu; w 2010 roku otrzymała nagrodę „Ślad” im. bp. Jana Chrapka

przysługiwało Niemcom, musieli się im kłaniać i ustępować miejsca na chodniku. Tworzyło to atmosferę zastraszenia, upokorzenia, powodowało wyczerpanie fizyczne i psychiczne. Polacy na ziemiach wcielonych do Rzeszy mieli dogłębnie odczuć, że są podludźmi, którzy mają tylko jedno prawo: pracować dla III Rzeszy Niemieckiej.

**Ta niewiedza jest zaskakująca, bo przecież nie brakuje książek wspomnieniowych i naukowych na ten temat.**

Tak, ale obronę się trochę żartem: mamy szkoły historyczne warszawską i krakowską, a brakuje poznańskiej... A mówiąc serio, historia Wielkopolski ostatnich dwóch stuleci wydaje się insurekcyjnie nastawionym badaczom nudna, dla lewicy jest zbyt prawicowa i chrześcijańska, a dla prawie wszystkich jest to po prostu margines „prawdziwej” historii Polski. W rezultacie fakty z historii Wielkopolski są niemal niewzględniane w syntezach, a co za tym idzie – w podręcznikach i programach nauczania. Kiedy spojrzałam na wstrząsające, nieznanie powszechnie zdjęcia z jesieni 1939 roku, opublikowane w wydanym przez IPN albumie *Polityczne oczyszczenie gruntu. Zagłada polskich elit w Wielkopolsce (1939–1941)*, pomyślałam, że trzeba te wydarzenia przypomnieć nam samym.

**Te zdjęcia to m.in. robione z ukrycia fotografie publicznych egzekucji na rynkach i w innych centralnych miejscach wielkopolskich miejscowości.**

To także fotografie zamordowanych wówczas ludzi i ich krótkie charakterystyki: lekarz, powstaniec, nauczyciel, harcerz, ziemianin, ksiądz, urzędnik – każdy, kto mógł stanąć na czele choćby małej społeczności. Wtedy zobaczyłam, ▶





Fot. T. Woźniak

► Uczniowie Szkoły Podstawowej im. Astrid Lindgren w Dąbrowie od wielu lat opiekują się Grobami Zakrzewskimi.

kogo mijam, od dwudziestu lat przejeżdżając rowerem koło miejsc pochówku w lasach zakrzewskich. W miejscowym opisie były tylko nazwy „groby studentów” i „groby księży”, bez nazwisk, bez tabliczek, tylko zaznaczone miejsca zbiorowych mogił. To nawet nie są groby, gdyż Niemcy kazali wykopać pomordowanych i spalić ich szczątki. I pomyślałam, że ktoś powinien o nich przypomnieć, że wszyscy powinniśmy sobie o nich przypomnieć. W czasie wycieczek przez wielkopolskie lasy wiele osób mijają podobne miejsca, nie mając świadomości, co się tam zdarzyło.

**Jak jednak mówić o martyrologii – a taka jest ta opowieść o wojennej historii Wielkopolski – aby zainteresować ludzi zalewanych atrakcjami rozrywki masowej?** Myślę, że trzeba im pokazać, że są potomkami bohaterów naszej opowieści. Dzieci pytają rodziców, gdzie i kiedy się poznali, i z niedowierzaniem słuchają o czasach, gdy nie było telefonów komórkowych. Później gdzieś tę naturalną ciekawość dotyczącą przeszłości gubimy, pytania wracają, gdy nie mamy już komu ich zadać. Dlatego mój pomysł na przypomnienie zdarzeń sprzed siedemdziesięciu lat polega na prostych gestach i jest związany z najbliższym otoczeniem. Dzięki współpracy z historykami z poznańskiego IPN zamieściliśmy na naszej stronie internetowej listę miejsc, w których doszło do mordów na Polakach, i zaprosiliśmy słuchaczy, aby zapalili tam znicze w południe w październikową niedzielę. Chodziło o to, by do miejsc położonych często kilka kilometrów od uczęszczanych dróg można było dojść za dnia. Chcieliśmy także, aby uczestnicy akcji mogli się zobaczyć, poprosiliśmy zatem o przesyłanie zdjęć na

stronę internetową Radia Merkury. Patronat nad akcją „Zapal znicz pamięci” na początku w 2009 roku objął marszałek województwa wielkopolskiego Marek Woźniak. Z wielką życzliwością patronuje jej do dziś i sam bierze w niej udział. To jedyny urzędnik, którego zaangażowaliśmy w tę akcję – zależało nam na tym, aby było to wydarzenie, którego głównym uczestnikiem nie są instytucje, ale ludzie, obywatele.

**Jak Pani ocenia zaangażowanie Wielkopolan w tę sprawę? Na stronie internetowej corocznie publikują Państwo kilkadziesiąt zdjęć i wpisów.**

Oczywiście, chciałabym, żeby zdjęcia zostały przesłane ze wszystkich miejsc, a jest ich ponad sto... Niezwykła jest reakcja ludzi, do których nasze zaproszenie dociera. Na przykład w Koninie zapalenie znicza jest połączone z opowieścią historyka, który opisuje egzekucję na rynku dwóch koninian – Polaka i Żyda – udokumentowaną na znanym zdjęciu. Spotykają się pod tablicą m.in. uczniowie II LO, członkowie Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego i Towarzystwa Miłośników Konina. Pilscy rowerzyści z koła PTTK co roku jadą w inne miejsce – w ubiegłym uczcili pamięć pomordowanych na Wzgórzach Morzewskich. Podczas rajdu rowerowego w południowej Wielkopolsce znicze zapalili członkowie PTTK z Rawicza. Wychowankowie Salezjańskiego Ośrodka Wychowawczego z Trzcianca odwiedzają kilka miejsc w północnej Wielkopolsce. Uczniowie ze szkoły podstawowej w Dąbrowie nie tylko zapalili znicze na grobach zakrzewskich, lecz także je wcześniej posprzątały. Uczniowie I LO w Gnieźnie zamieścili serię zdjęć na szkolnej stronie internetowej. Biorą udział w tej akcji także harcerze, samorządowcy, regionaliści, kibice, członkowie Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego, rodziny pomordowanych. Wielkopolska jest także miejscem masowych mordów chorych psychicznie – ich pamięć w szpitalu psychiatrycznym w Gnieźnie uczcili rok temu młodzi Niemcy, którzy poznają polską historię wspólnie ze studentami Uniwersytetu Adama Mickiewicza. Znicze płoną na rynkach w Kostrzynie Wlkp., Śremie, Środzie Wlkp., Mosinie, Lesznie i dziewięciu innych miejscowościach, w których Niemcy w ciągu trzech dni października 1939 roku wymordowali elity.

**Wpisy na stronie internetowej pokazują, że ta sprawa stała się dla ludzi ważna. Zaczyna stanowić część historii kraju, a nawet Europy. Opowieść o losie konkretnej osoby daje młodym ludziom impuls do wyobrażenia sobie życia podczas okupacji.**

Nie chodzi tylko o martyrologię – choć osobom, które straciły życie, ponieważ były Polakami, należy się pamięć. To pretekst do szerszej opowieści o nieznannej, okupacyjnej codzienności. Kultura masowa, a przede wszystkim seriale, pokazują dzielnych konspiratorów w Generalnym Gubernatorstwie, pomijając specyfikę ziem wcielonych do Rzeszy. A przecież była to połowa terytorium Polski zajętego przez Niemcy.

Warunki życia na tym obszarze opisuje prasa konspiracyjna („Be Zet” 1/1942): „Polakom na ziemiach włączonych do Rzeszy nie wolno pod groźbą surowych kar: uczęszczać do opery, teatru, na widowiska, do muzeów, bibliotek i instytucji naukowych, na koncerty, wystawy, do większości kin, odwiedzać lokali publicznych, restauracji, kawiarni, barów, korzystać z urządzeń sportowych [...] posiadać aparatów fotograficznych, radia, gramofonów, płyt”. Trzeba dodać, że wszystkie polskie instytucje kulturalne i naukowe zostały w 1939 roku przejęte przez Niemców. Skonfiskowano także prywatne księgozbiory. Polskie szkolnictwo zostało zlikwidowane. Polacy mieli być niewolnikami.

Występowały jednak pewne różnice w poszczególnych okręgach Rzeszy utworzonych z polskich ziem – czyli między sytuacją w Kraju Warty, Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie, na Górnym Śląsku i w rejencji ciechanowskiej.

**Wszystko zależało od polityki namiestnika i jego pozycji w strukturach nazistowskiej władzy. Dlatego w różnych okręgach były różne reguły zapisywania na niemiecką listę narodowościową. W Wielkopolsce znalezienie się na volklsłście było trudne, natomiast na Pomorzu i Śląsku było to w zasadzie przymusowe – za odmowę groziły represje do osadzenia w obozie koncentracyjnym i kary śmierci włącznie. Mieszkańcy tych regionów byli traktowani jako mięso armatnie – mężczyźni przymusowo wcielano do armii niemieckiej.**

Już w pierwszych dniach wojny Polacy mogli sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała niemiecka władza na tych terenach. Wkraczające wojska niemieckie dokonywały zbrodni wojennych, mordując mieszkańców wsi Torzeniec czy obrońców na przykład KłECKA, Mogilna i Gniezna. Organizator obrony tych miast, ks. Mateusz Zabłocki, wcześniej powstaniec wielkopolski, był postacią przybliżaną podczas ubiegłorocznej akcji „Zapał znicz pamięci”. Do ks. Zabłockiego niemieccy żołnierze strzelali, gdy jechał z białą flagą parlamentarzysty. Uwięziony w szpitalu, został rozstrzelany po parodii procesu.

Oprócz Wehrmachtu zbrodnie popełniali też na swoich sąsiadach obywatele polscy pochodzenia niemieckiego, szczególnie z tzw. oddziałów samoobrony (Selbstschutz). Uprawdzali Polaków i brutalnie mordowali za wsią. Morderców objęła amnestia ogłoszona przez władze okupacyjne już w roku 1939. Ludność niemiecka dostarczała też informacji o Polakach, których dziesiątki tysięcy umieszczono jeszcze przed wybuchem wojny na listach proskrypcyjnych. Były to wykazy osób szczególnie aktywnych w życiu społecznym, potencjalnych przywódców oporu wobec okupanta.

Po zajęciu Pomorza, Śląska i Wielkopolski grupy operacyjne policji bezpieczeństwa (Sipo) i służby bezpieczeństwa (SD) realizowały tam akcję o kryptonimie „Tannenberg”, której celem było pozabawienie społeczeństwa polskiego elit. Aresztowano i mordowano ludzi według przygotowanych list. Akcję nadzorował Reinhard Heydrich, szef Sipo i SD. Adolf Hitler we wrześniu 1939 roku nazwał tę eksterminację „politycznym oczyszczaniem gruntu”.

Już w pierwszych miesiącach okupacji zginęło kilkadziesiąt tysięcy osób – ale oczywiście nie tylko ich chcemy przypomnieć podczas tegorocznej akcji „Zapał znicz pamięci”. Obejmuje ona swoim zasięgiem dawne ziemie wcielone do III Rzeszy – od Gdyni przez Bydgoszcz, Poznań, Łódź, aż do Katowic. Współorganizatorami jest pięć Rozgłośni Regionalnych Polskiego Radia, których zasięg obejmuje tę przestrzeń: Radio Katowice, Radio Pomorza i Kujaw (PiK), Radio Łódź, Radio Gdańsk i Radio Merkury Poznań. Zasada pozostaje taka sama: na grobach, miejscach pochówku czy pamięci narodowej w południe 21 października zapalamy znicz i przesyłamy zdjęcie do organizatorów. Do akcji włączają się także muzea, na przykład w Wielkopolsce uczestnicy akcji dowiedzą się więcej o okupacji w Muzeum Martyrologicznym w Żabikowie oraz w Forcie VII w Poznaniu (pierwszym obozie koncentracyjnym na ziemiach polskich, gdzie po raz pierwszy użyto gazu do mordowania ludzi). Mój redakcyjny kolega, Sławomir Bajew, organizuje rajd rowerowy, którego trasa będzie prowadzić od Kościana przez kilka miast, w których 73 lata temu ginęli Polacy. Takich inicjatyw jest więcej. Znicze zapłoną także w Niemczech, gdzie wykonywano wyroki śmierci na polskich konspiratorach, m.in. w więzieniach w Dreźnie i Berlinie.

**W tym roku chcemy również podkreślić podobieństwo losów wszystkich mieszkańców ziem wcielonych do III Rzeszy, nie tylko Wielkopolski. Dlatego do akcji włączyły się pionierzy edukacyjne IPN z Gdańska, Bydgoszczy, Łodzi i Katowic. Chcemy pokazać te wydarzenia poprzez losy konkretnych ludzi. Każdy region wybrał postaci, których dzieje tworzą obraz tamtych dni. Wymieńmy choćby: s. Marię Jadwigę Kotowską, zamordowaną w Piaśnicy; konsula RP Leona Barciszewskiego rozstrzelanego w Bydgoszczy; kostrzyńskiego nauczyciela i harcerza Gerarda Linkego, łódzkiego lekarza Aleksandra Margolisa, ppłk. Władysława Kielbasę....**

Gest zapalenia znicza bywa początkiem głębszego zainteresowania ludzi przeszłością swojego regionu i jego mieszkańców. Niekiedy po raz pierwszy uczestnicy akcji dowiadują się o wydarzeniach z najbliższej okolicy, spotykają potomków ich uczestników albo wchodzą do Fortu VII czy innych więzień i obozów i mogą historii dotknąć, a nie tylko o niej usłyszeć. 🕯

## Zrozumieć powojnie

Czym żyli Polacy, gdy skończyła się prawie sześciolatna wojna? Jacy byli ci, którzy ją przeżyli? Książka Marcina Zaremby to próba znalezienia klucza do historii społecznej powojnia w Polsce (1944–1947). Kluczem tym jest strach. Pomimo końca wojny trwał on nadal, co więcej – ukazywał wciąż nowe oblicza. Próbując wniknąć w emocje Polaków, autor stawia tezę, że „trwoga” stała u źródła wielu ówczesnych wydarzeń i zjawisk społecznych.

W czasie II wojny światowej Polacy doświadczyli traumy, z której niełatwo było się otrząsnąć. Wszechobecność śmierci, rozpad dawnego świata, nędza – to tylko niektóre z powszechnych wojennych doświadczeń, mogące prowadzić do agresji, zaburzeń psychicznych, alkoholizmu. Zaraz po wojnie świat nie wrócił do normy, wręcz przeciwnie: zapanował chaos.

Z chaosu tego wyłoniła się najpierw złowroga twarz sowieckiego żołnierza. Marcin Zaremba w poruszający sposób opisuje kradzieże, rabunki i gwałty, których dopuszczali się żołnierze Armii Czerwonej. Szczególnie temat gwałtów na polskich kobietach był do niedawna słabo znany. Powojenny krajobraz zabudnili także tzw. zbędni: zdemobilizowani żołnierze, inwalidzi, którzy – nie mogąc się odnaleźć w powojennej rzeczywistości – dźwigali poczucie klęski, stawali się często sfrustrowani i agresywni. Równie duży problem społeczny stanowili żebracy i włóczędzy. Do grona „zbędnych” autor zaliczył też demonizowanych przez propagandę „spekulantów”. Można jednak mieć co do tego wątpliwości, bo czy dziesiątki tysięcy handlujących nie przystosowywało się do sytuacji?

Bardzo ciekawy jest rozdział opowiadający o „gorączce szabru”. Autor wyróżnił kilka jego rodzajów – „drobny” i „bardziej zorganizowany”, „specjalistyczny”, a nawet „kulturalny”. Wreszcie – najbardziej makabryczny, bo związany z rozkopywaniem grobów.

Skutkiem wojny była też przestępczość, w szczególności bandytyzm. Fala rabunków, napadów, kradzieży miała u źródeł nie tylko obniżenie standardów moralnych podczas wojny czy skłonność do przemocy zatrutych wojną byłych żołnierzy i cywilów. Nędza i głód także do tego motywowały. Jeszcze przez wiele lat zdarzały się w Polsce kradzieże butów i odzieży.

Na tym lista lęków się nie kończy. Wprowadzenie rządów komunistycznych w Polsce łączyło się z celową „polityką strachu” i terrorem. Polacy bali się też wybuchu kolejnej wojny, głodu, chorób zakaźnych. Obraz powojnia pełen jest przemocy i okrucieństwa, które były zarówno źródłem strachu, jak i jego konsekwencją.

Część z opisywanych w książce zjawisk doczekała się już opracowań historycznych; do klasyki historiografii należą choćby prace Krystyny Kersten. W kontekście „wielkiej trwogi” częściowo znane fakty nabierają jednak nowego znaczenia. Wszystkie mają poprzec tezę o strachu jako dominującej emocji w powojennej Polsce. Jest w tym z pewnością wiele prawdy, chociaż wydaje się, że pojęcie strachu staje się momentami zbyt szerokie. Strach mieszał się – jak sam autor zauważa – z innymi emocjami, takimi jak: chęć zemsty, nienawiść, rozczarowanie, złość, poczucie krzywdy... Z drugiej strony w tej wielkiej ramie strachu z trudem mieszczą się takie zjawiska jak szabier, bo przecież można by rzec, że szabier był przejawem raczej odwagi niż strachu.

Zaletą opracowania Zaremby jest obfitość świadectw osobistych: wspomnień, dzienników i listów, w tym bezcennej kolekcji korespondencji zatrzymanej przez cenzurę. Ostrość i bliskość osobistego przekazu wzbogacają suchość urzędowych sprawozdań.

Przedstawione w książce nastroje i wydarzenia prowadzą ku ostatniej części, w której autor podejmuje temat przemocy etnicznej, w szczególności wobec Żydów. Autor stara się zrozumieć, jak mogło dojść do pogromów i innych aktów agresji. Wśród przyczyn wymienia skutki wojny, przedwojenny antysemityzm, dramatyczne „rozminięcie się prawd” dużej części Polaków i Żydów po wojnie. Analizując dwa powojenne pogromy – w Krakowie i Kielcach – oraz kilka innych zdarzeń, przedstawia interesującą interpretację społecznej funkcji mitu o mordzie rytualnym (czyli przekonania, że Żydzi potrzebują krwi chrześcijańskich dzieci). Nagle ożywienie mitu Zaremba tłumaczy właśnie powojennymi lękami; pisze, że był on „formą artykulacji lęku i wrogości”. Rozdział ten jest dyskusją z tezami prezentowanymi w głośnych nie tak dawno książkach Jana Tomasza Grossa. Marcin Zaremba nie neguje wszystkich tez Grossa, w jednym miejscu nawet zgadza się, że powodem przemocy wobec Żydów było „poczucie winy” – choć z rozważań autora *Wielkiej Trwogi* wynika raczej coś innego. Odpowiedź Zaremby na niewątpliwie ważne pytanie z historii relacji polsko-żydowskich jest odmienna przede wszystkim dlatego, że jest dociekliwa, komplikująca, wreszcie – rozumiejąca. Historia rozumiejąca nie polega na poszukiwaniu usprawiedliwienia dla zła w przeszłości, ale na dostrzeżeniu całego kontekstu, wyjaśnieniu sensu. Rozdział o pogromach, ale i cała książka są takiego podejścia świetnym przykładem.

Elementy „atmosfery pogromowej” Zaremba dostrzega w każdym opisywanym na kartach książki zjawisku i zdarzeniu. Chwilami wydaje się to przesadzone: czy rzeczywiście wszystkie negatywne emocje Polaków przekładały się na nienawiść etniczną? W pewnym momencie autor twierdzi, że niezależnie od tego, czy wyniki referendum 1946 roku byłyby sfałszowane czy nie, wybuchłaby agresja wobec Żydów, powodowana bądź triumfem zwycięstwa, bądź goryczą porażki. To zbyt daleko posunięta dowolność interpretacji.

Obraz powojnia ma czarne barwy. Z pewnością nie jest on pełny, książka zresztą nie miała takich ambicji. Gdzieś w tym obrazie powinna się pewnie pojawić także i radość z końca wojny, z odbudowy, z odnajdywania bliskich, z nauki w polskiej szkole, wreszcie – nadzieja na budowę Polski, lepszej niż ta przedwojenna. Musiały silnie oddziaływać jeszcze inne emocje i poglądy; bez nich nie da się zrozumieć oporu wobec władzy komunistycznej, jakże silnego w tych latach.

Na społeczeństwo „wielkiej trwogi” można patrzeć dwojako: jak na kilkumilionowy tłum szabrowników, trudniących się nielegalnym handlem, prymitywnych i zacofanych, z satysfakcją patrzących na wieszanych Niemców, zdolnych do rabunków i przemocy wobec „obcych”; albo jak na tragiczne ofiary wojny, sowieckiego i rodzimego terroru, powojennych przesiedleń, złowrogiej sytuacji politycznej, głodu, chorób i bezrobocia.

Książka Zaremby prowokuje do stawiania kolejnych pytań i szukania nowych interpretacji. Jest to też lektura dla każdego, komu bliskie są dzieje społeczeństwa. 🍷

Natalia Jarska



Marcin Zaremba, *Wielka Trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Wydawnictwo Znak, Instytut Studiów Politycznych PAN, Kraków 2012 ss. 694

## Biografia Chruszczowa

W tym roku ukazał się polskojęzyczny przekład biografii Nikity Chruszczowa pióra Williama Taubmana, amerykańskiego profesora nauk politycznych. Osiem lat temu autor otrzymał za tę książkę Nagrodę Pulitzera.

Biografia rozpoczyna się przewrotnie – od kulis upadku I sekretarza KC KPZR. W 1964 roku spisek współtowarzyszów z KC doprowadził do „dymisji” Chruszczowa. To właśnie opis posiedzenia Prezydium KC, na którym zaskoczony przywódca ze łzami w oczach odpiera ataki niedawnych stronników, otwiera opowieść o jego karierze politycznej. Pozostałe rozdziały mają układ chronologiczny. Wydaje się, że przebieg życia Chruszczowa to dla Taubmana przede wszystkim okazja do przybliżenia mechanizmów, które wyniosły niepozornego sowieckiego polityka na szczyty władzy. Trzeba przyznać, że autor wywiązał się z tego naprawdę dobrze.

Determinantą kariery Chruszczowa były burzliwe wydarzenia, które rozgrywały się w państwie rosyjskim w pierwszej połowie XX wieku. Na kartach książki panoramę epoki rozpoczyna rewolucja przemysłowa, kontrastująca z biedą rosyjskiej wsi. Wiejski pastuch Nikita Chruszczow zostaje ślusarzem w kopalniach ukraińskiego Donbasu. Stąd już tylko krok do włączenia się w rewolucyjną zawieruchę 1917 roku. Chruszczow błyskawicznie przechodzi kolejne stadia sowieckiej „przebudowy”. Jest bolszewikiem, żołnierzem Armii Czerwonej, sekretarzem *rejkomu*, *gorkomu*, wreszcie – pupilem Stalina, członkiem Biura Politycznego KC WKP(b) i I sekretarzem na Ukrainie. Tłem ostatnich awansów jest Wielki Terror, w trakcie którego Chruszczow jest jednym z najgorliwszych kibiców linii stalinowskiej, żądającym krwi tych, którzy „podnieśli rękę na tow. Stalina”. Jako sekretarz komitetu moskiewskiego i członek tzw. trójki, osobiście sprawuje nadzór nad czystką w stolicy i podpisuje listy skazanych na karę śmierci. Lojalność, a przede wszystkim duża doza szczęścia powodują, że sam Chruszczow wychodzi cało z upiornego okresu czystek. Jeszcze wówczas, według autora książki, „cierpi na ciężki przypadek kultu Stalina”. Podczas II wojny światowej i zaraz po niej odpowiada za sowietyzację ziem włączonych do Ukraińskiej SRR oraz deportację setek tysięcy mieszkańców tych terenów. „Sukcesy” pozwalają Chruszczowowi znaleźć się w ścisłym gronie pretorianów Stalina, rywalizujących ze sobą o schedę po dyktatorze. W jaki sposób udało mu się pokonać Berię, Mołotowa i Malenkowa? Według Taubmana, w kuluarach Kremla Chruszczow miał opinię rubasznego błazna, dlatego też rywale podchodzili do niego z lekceważeniem. Tymczasem okazał się wyrachowanym graczem i spiskowcem. Umiał także dostosowywać się do nowych realiów. Wyprzedził „twardogło-

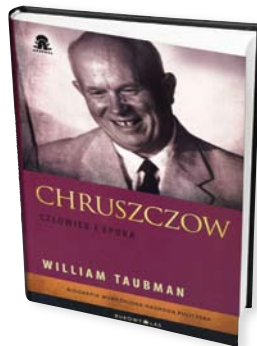
wych” i szybko „ozdrowiał” z kultu Stalina, który potępił na XX zjeździe KPZR w 1956 roku, pobudzając proces odwilży w bloku komunistycznym.

Kolejne rozdziały koncentrują się na polityce zagranicznej prowadzonej przez ZSRR w dobie zimnej wojny. Od II kryzysu berlińskiego, poprzez wyścig zbrojeń, zestrzelenie amerykańskiego samolotu U-2 nad ZSRR w 1960 roku, rywalizację kosmiczną oraz kryzys kubański, który Taubman przyrównuje do szachowego gambitu. Wycofanie sowieckich rakiet z Kuby, wbrew oficjalnej propagandzie, Chruszczow odczuł jako wielką porażkę.

Taubman jest wytrawnym znawcą historii politycznej ZSRR. Z łatwością prowadzi czytelnika przez meandry polityki sowieckiej, pokazując ją w niezliczonych odsłonach: od relacji międzynarodowych i sytuacji wewnątrz bloku (Polska, Węgry, Jugosławia), poprzez warunki gospodarcze w ZSRR, kreślone jakby mimochodem, przy okazji napomykania o wizytach Chruszczowa w kołchozach i fabrykach. Być może polski czytelnik poczuje się rozczarowany, że niewiele miejsca w książce poświęcono relacjom ZSRR–PRL (polski Październik '56 zajmuje zaledwie dwie strony z 910). Wydaje się jednak, że szeroki kontekst geopolityczny, w jakim autor nakreślił poczynania I sekretarza KC KPZR, usprawiedliwia te proporcje.

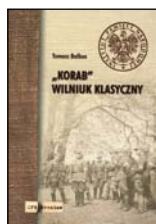
Ważne, że Taubman konstruuje narrację nie tylko na podstawie materiałów archiwalnych, pamiętników Chruszczowa, protokołów dyplomatycznych czy pierwszych stron gazet. Sięga do relacji świadków i niezliczonych anegdot. Przywołuje plotki i kuluarowe szeptki, towarzyszące politycznym przesileniom. Lista jego rozmówców zawarta na końcu książki liczy 82 osoby, drugie tyle to opublikowane wspomnienia i wywiady. Właśnie materiały tego typu pozwalają autorowi nakreślić portret psychologiczny Chruszczowa. Taubman nie poprzestaje jednak na prostej charakterystyce. Ukazuje różne, zmieniające się z biegiem lat twarze polityka: bezgraniczne uwielbienie dla władzy, wyrachowanie, makiawelizm kryjący się za maską błazna, „maniakalną ambiwalencję” na krótko przed XX zjazdem, temperament graniczący z nieobliczalnością.

Wszystko to powoduje, że książka Taubmana spełnia kryteria dobrej biografii. Skomplikowane relacje polityczne równoważą się na jej stronach z okraszonym analizą psychologiczną życiorysem Chruszczowa. Autor nie rości sobie prawa do usprawiedliwiania jego politycznych grzechów, choć niekiedy wyraźnie eksponuje zasługi Chruszczowa jako „prekursora *pierestrajki*”. Na szczęście nie przekracza granicy sugestii, zostawiając czytelnikowi możliwość własnej interpretacji. 🍷



William Taubman, *Chruszczow. Człowiek i epoka*, Wydawnictwo „Bukowy Las”, Wrocław 2012, ss. 910



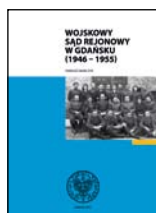


■ Tomasz Balbus, *„Korab”. Wilniuk klasyczny*, IPN, Wrocław 2012, ss. 630 + ss. 120 wkł. il.



■ Piotr Barański, Aleksandra Czajkowska, Agata Fiedotow, Agnieszka Wochna-Tymińska, *Kłopoty z seksem w PRL. Rodzenie nie całkiem po ludzku, aborcja, choroby, odmienności*,

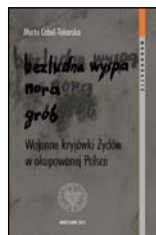
Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, IPN, Warszawa 2012, ss. 362.



■ Dariusz Burczyk, *Wojskowy Sąd Rejonowy w Gdańsku (1946–1955)*, IPN, Gdańsk 2012, ss. 504.



■ Magdalena Heruday-Kielczewska, *Reakcja Francji na wprowadzenie stanu wojennego w Polsce: grudzień 1981 – styczeń 1982* (seria „Monografie”, t. 82), IPN, Warszawa 2012, ss. 208.

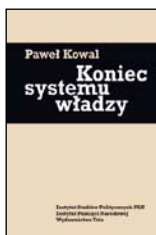


■ Marta Cobel-Tokarska, *Bezludna wyspa, nora, grób. Wojenne kryjówki Żydów w okupowanej Polsce* (seria „Monografie”, t. 83), IPN, Warszawa 2012, ss. 304 + ss. 24 wkł. il.

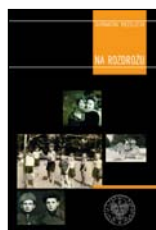


■ *Sprawa kwidzińska. Internowanie, pobicie, proces 1982*, tekst Karol Nawrocki, wybór i oprac. mat. ikonograficznych Karol Lisiecki, współpraca Tomasz Żuroch-Piechowski,

Maszoperia Literacka, IPN, Gdańsk–Kwidzyn 2012, ss. 280.



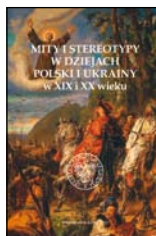
■ Paweł Kowal, *Koniec systemu władzy. Polityka ekipy gen. Wojciecha Jaruzelskiego w latach 1986–1989*, Instytut Studiów Politycznych PAN, IPN, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2012, ss. 524.



■ Shimon Redlich, *Na rozdrożu. Żydzi w powojennej Łodzi 1945–1950*, IPN, Łódź 2012, ss. 251 + ss. 16 ilustr.



■ Krzysztof Michalski, *Działalność Komisji Wspólnej przedstawieli Rządu PRL i Episkopatu Polski 1980–1989*, IPN, Warszawa 2012, ss. 296.



■ *Mity i stereotypy w dziejach Polski i Ukrainy w XIX i XX wieku*, red. Andrzej Czyżewski, Rafał Stobiecki, Tomasz Toborek, Leonid Zaskilniak, IPN, Warszawa–Łódź 2012, ss. 496.



■ *Nie można zdradzić Ewangelii. Rozmowy z abp. Ignacym Tokarczukiem*, rozmawiał, wstępem i przypisami opatrzył Mariusz Krzysztofiński, IPN, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Rzeszów–Kraków 2012, ss. 136.



■ *Piełgrzymki Jana Pawła II do Krakowa w oczach SB. Wybór dokumentów*, oprac. Rafał Łatka, IPN, Kraków 2012, ss. 381.



■ *Oskar Halecki i jego wizja Europy*, red. Małgorzata Dąbrowska, t. 1, IPN, Warszawa–Łódź 2012, ss. 286 + ss. 18 wkł. il.



■ *Poznański Czerwiec 1956. Wybór dokumentów*, oprac. Stanisław Jankowiak, Rafał Kościański, Edmund Makowski, Rafał Reczek, IPN, Poznań 2012, ss. 599.



■ *Szkice z dziejów NSZZ „Solidarność” na Pomorzu Nadwiślańskim i Kujawach (1980–1990)*, red. Igor Hałagida, IPN, Bydgoszcz–Gdańsk 2012, ss. 240.



■ Kamila Kędziora, *Nazewnictwo ulic Wrocławia w latach 1945–1994*, IPN, Warszawa 2012, ss. 238.



■ Daniel Wicenty, *Załamanie na froncie ideologicznym. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich od Sierpnia '80 do stanu wojennego*, IPN, Gdańsk 2012, ss. 649.



■ *Ostatnia dekada. Lata 1980–1990 w Łodzi i regionie okiem fotoreportera „Głosu Robotniczego”*, zdjęcia Marek Kowal, wstęp i oprac. Paweł Spodenkiewicz, IPN (Biblioteka Instytutu Pamięci Narodowej w Łodzi, t. XXIV), Łódź 2012, ss. 192.

Spodenkiewicz, IPN (Biblioteka Instytutu Pamięci Narodowej w Łodzi, t. XXIV), Łódź 2012, ss. 192.

# Lenin w październiku – a koty w marcu

**K**awał polityczny był bronią obywateli w walce z bezwzględnym systemem, który utożsamiali nie tylko z rodzinnymi komunistami, lecz przede wszystkim z „ojczyzną proletariatu” – ZSRR i jego przywódcami. Jednym z ulubionych tematów żartu w PRL byli właśnie wodzowie wschodniego sąsiada. Im groźniejszy był aktualny przywódca, tym więcej dowcipów o nim opowiadano. W ten sposób przynajmniej częściowo osławiano strach.

Włodzimierz Lenin nie zdążył (choć próbował w 1920 roku) rozszerzyć swojej władzy na Polskę, był jednak hołubiony jako najważniejszy z komunistycznych „świętych” i traktowany śmiertelnie poważnie. Ośmieszanie jego kultu należało więc do stałej tematyki peerelowskiego kawału politycznego. Sprzyjały temu liczne rocznice, jak obchodzona w 1970 roku setna rocznica urodzin czy celebrowana rokrocznie rocznica rewolucji październikowej.

Z okazji stulecia urodzin wodza rewolucji znany polski malarz miał namalować obraz *Lenin w Polsce*. Na otwarcie wystawy przybyli towarzysze partyjni z Polski i ZSRR. Gdy zastona z obrazu spadła, oczom zdumionej publiczności ukazała się żona Lenina, Nadieżda Krupska, w niedwuznacznej pozycji z Dzierżyńskim. Aby zatuzszować skandal, minister kultury i sztuki zwraca się do malarza:

– Świetnie ujęte, bardzo realistycznie oddane, ale gdzie jest Lenin?

– Jak to gdzie? – dziwi się malarz. – W Polsce.

W rocznicę rewolucji październikowej na słupach ogłoszeniowych poprzyklejano plakaty z napisem: „Lenin w Październiku”. Następnego dnia na wielu plakatkach ktoś dopisał: „A koty w marcu”.

Władzę Stalina Polacy poczuli już w pełni. Propaganda niemal na każdym kroku atakowała portretami wodza oraz cytatami z jego świątliwych myśli. Dziennikarze używali 336 synonimów nazwiska generalissimusa, m.in.: natchnienie milionów, wódz i nauczyciel, genialny ekonomista, słońce ludzkości, troskliwy opiekun i świątły doradca Polski Ludowej. Ulica miała jednak o krwawym tyranie własną opinię.

W ZSRR wyemitowano znaczki z podobizną Stalina. Nadeszły skargi, że znaczki nie chcą się przyklejać. Przeprowadzono badania i okazało się, że znaczki są dobre, tylko ludzie pluli na niewłaściwą stronę.

Śmierć dyktatora w 1953 roku spowodowała wręcz eksplozję antystalinowskich kawałów.

– Na co umarł Stalin?

– Na szczęście!

– Czy to prawda, że na wiadomość o śmierci Stalina dwaj murarze z waszej budowy skoczyli z trzeciego piętra?

– Prawda. Skoczyli. Jeden po wódkę, drugi po zagrychę.

Kolejny wysyp kawałów poświęconych radzieckim przywódcom nastąpił na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. To w ZSRR czas gerontokracji, czyli rządów starców. Średnia wieku czternastu członków Biura Politycznego KPZR wybranego w 1981 roku wynosiła 70 lat (poważnie ją zaniżał pięćdziesięcioletni Michaił Gorbaczow). Nic dziwnego więc, że sztucznie animowane kierownictwo radzieckie nie obroniło się przed żądłem polskiego kawału politycznego.

**W 65. rocznicę rewolucji październikowej w Moskwie odbył się pokaz siły: było nim wejście Breżniewa na trybunę.**

Stary rybak złowił złotą rybkę, która w zamian za uwolnienie obiecała spełnić jedno jego życzenie. Myśli starzec dość długo, aż wreszcie prosi:

– Chciałbym się znaleźć w luksusowym domu starców.

Rybka plusnęła do wody, a rybak znalazł się na... Kremlu.

Breżniew zmarł 10 listopada 1982 roku, a 12 listopada zwolniono z internowania Lecha Wałęsę. Ulica szybko żartobliwie połączyła te dwa wydarzenia:

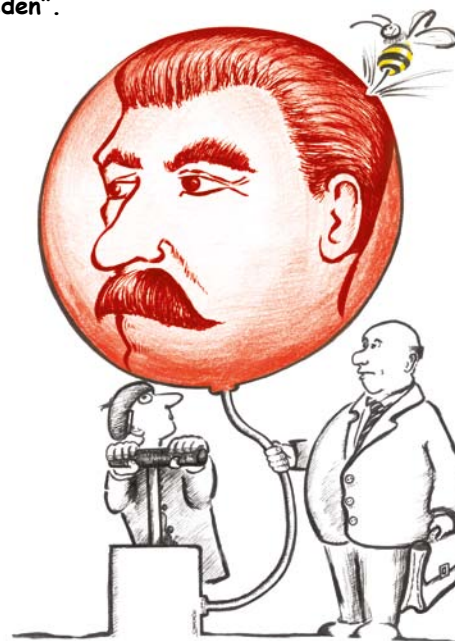
– Jaka była przyczyna śmierci Breżniewa?

– Zatelefonował do niego Jaruzelski i powiedział: „Zwalniamy Wałęsę”.

– Czym był dla Polaków pogrzeb Breżniewa?

– Kroplą w morzu potrzeb...

Informację o śmierci Breżniewa pierwszy w Polsce podał Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej: „Na zachodzie bez zmian, a na wschodzie minus jeden”.



AZ